

Sawyer Bennett

*Cała
prawda
o szczęściu*

Będę tu bez względu na wszystko...



FILIA

Sawyer Bennett

*Cała
prawda
o szczęściu*

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

*Rannemu żołnierzowi – bez nogi i z połową dłoni –
którego spotkałam na lotnisku w Orlando.*

Natchnął mnie Twój ból.

Semper Fi[1].

[1] *Semper fidelis* (pol. zawsze wierny) – łacińska dewiza używana przez różne formacje i organizacje wojskowe. W wersji *semper fi* stanowi motto Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych [przyp. tłum.].

ROZDZIAŁ 1

Czasami sam dziwię się głupotom, które robię. Kiedy miałem siedem lat, sprawdzałem, ile mleczy zmieści się w nosie mojej trzyletniej siostry. Udało mi się wepchnąć aż cztery. Wymagało to ode mnie wiele koncentracji, zwłaszcza gdy mała nie była przekonana do swojej roli w tym eksperymencie. Ale wsadziłem jej tylko po dwa mlecze do każdej dziurki, więc nie sądziłem, by był to jakiś wielki wyczyn.

Jednak nie to było najgłupsze w całej tej sytuacji. Kiedy siostra zaczęła się denerwować z powodu nosa zapchanego kwiatkami, spróbowałem je wyciągnąć. Okazało się, że mlecze znacznie łatwiej wsadzić niż wyjąć, zwłaszcza niezdarnymi palcami siedmiolatka. Wpadłem więc na kolejny „genialny” pomysł, by użyć do tego wielkiej igły należącej do naszej matki.

Choć, ściśle rzecz ujmując, nie wydlubałem siostrze mózgu, nie byłem też za bardzo ostrożny, dlatego połała się krew. Dostałem za to lanie od ojca – oczywiście pasem – przez które nie byłem w stanie siedzieć trzy dni.

Matka wygłosiła jedynie kazanie:

– Christopherze Jamesie Barlow... Jestem mocno rozczarowana twoim zachowaniem. Mogłeś uszkodzić swojej siostrze mózg.

Nie, mam... Jestem pewien, że nie mogłem.

W liceum wpadliśmy z kumplami na pomysł, że fajnie będzie włamać się nocą do gabinetu dyrektora i poprzyklejać wszystkie ruchome przedmioty do podtrzymujących je powierzchni. Mniej fajne było to, że nas przyłapano.

Spotykając się z Cici Carlan, myślałem, że mogę umawiać się w tym samym czasie z Kim Flick i że nikt się o tym nie dowie.

Okazało się jednak, że laski plotkują.

I to sporo.

Wpakowałem się w gówno po uszy.

Oczywiście te rzeczy były umiarkowanie głupie. Mam na sumieniu o wiele

poważniejsze idiotyzmy, które doprowadziły do ~~poważnych konsekwencji~~ śmierci lub uszkodzenia wszystkich osób w nie zaangażowanych. To brzmi, jakbym przesadzał, ale taka jest prawda.

Jednak w tej chwili, jadąc na zachód drogą I-40... mając dwadzieścia sześć lat... rozważam swój ostatni akt głupoty. Prowadzę wielkiego czarnego suburbana wypełnionego dziwnymi ludźmi, których z trudem toleruję, a mimo to postanowiłem spędzić z nimi w podróży kilka następnych dni.

– Christopherze, możesz nieco zwiększyć nawiew klimatyzacji? – pyta nieśmiały głos z tylnego siedzenia znajdującego się bezpośrednio za mną.

Natychmiast spoglądam w lusterko wsteczne, w którym pojawia się odbicie Martwego Dzieciaka. Chłopak ciągnie nerwowo za kołnierzyk swojej koszulki. Zauważam pot na jego czole, a także na łysej głowie i usianych trądzikiem policzkach.

– Niedobrze ci? – pytam podejrzliwie, podkreślając klimatyzację. Ponownie spoglądam w lusterko, starając się dostrzec, czy jego cera przybiera zielonkawą barwę.

– Nie – zapewnia mnie, ponownie szarpiąc kołnierzyk. – Po prostu mi gorąco.

– Powiedz, jeśli zrobi ci się niedobrze – nalegam, ujmując nieco gazu i zerkając w lusterko boczne, by sprawdzić, czy zdołam zmienić pas, w razie gdyby chciało mu się rzygać.

Kręci głową i patrzy na mnie w lusterku, posyłając mi uspokajający uśmiech, który rozjaśnia jego brązowe oczy. Nie są one tak puste, jak jeszcze kilka tygodni temu.

– Nie będę wymiotował.

Wierzę mu na słowo i z powrotem skupiam uwagę na drodze.

Nie będziesz wymiotował, ale z pewnością umrzesz. Taka prawda, młody.

– Masz. Jeśli będziesz musiał, puść pawia do tego worka – mówi siedząca obok niego Gotka, co sprawia, że moje spojrzenie natychmiast wraca do lusterka wstecznego. Dziewczyna podaje mu torebkę z McDonalda, w której znajdowały się kanapki, zanim zjedliśmy je na śniadanie.

– Nie będę rzygał – zapewnia ją stanowczo, ale zauważam, że mimo wszystko bierze worek.

– Lepiej, żebyś nie rzygał – ostrzega Gotka z uśmiechem. Jej zęby wydają się znacznie bielsze z powodu czarnej szminki na ustach.

– Powiedział, że nie jest mu niedobrze, więc dajcie mu spokój – napomina cichy głos dobiegający z przedniego siedzenia pasażera.

Muszę się opanować, by nie obrócić głowy w tamtą stronę. Nawet przelotne spojrzenie na Jillian Martel i te jej wielkie niebieskie oczy są dla mnie niebezpieczne. Zapewne to właśnie ona jest powodem, dla którego popełniłem błąd

i zdecydowałem się na tę podróż.

Z powodu złego stanu zdrowia kobieta twierdzi, że cierpi na depresję, ale za cholerę tego u niej nie widać. Ma tak wesołe i pogodne usposobienie, tak jasne jak jej złote włosy, które jeśli na nią spojrzę, będą dosłownie błyszczeć od wpadających przez szyberdach promieni popołudniowego słońca. Kiedy poznałem Jillian, nazwałem ją Seksowne Oczka. Określenie to jest prawdziwe po dziś dzień, dlatego robię, co mogę, by na nią nie patrzeć.

Nie potrzebuję przypomnienia, że ta laska stanowi moje całkowite przeciwieństwo.

Spotkałem tę cholernie dziwaczną załogę – Seksowne Oczka, Gotkę i Martwego Dzieciaka – na terapii grupowej, na której nasza nieugięta liderka Mags Bundy desperacko starała się rozbudzić w nas uczucia przyjaźni, podczas gdy my próbowaliśmy okiełznać nasze problemy.

Nic mnie nie łączy z tymi ludźmi, choć widzę niewielkie podobieństwo między moim położeniem a sytuacją Martwego Dzieciaka. Chłopak umiera, więc trochę mu zazdroszczę, skoro sam chciałem rozstać się z życiem przy tak wielu okazjach. Widzę też minimalną zgodność pomiędzy mną a Gotką. Dziewczyna jest zgorzkniała, wściekła na świat i lubi palić trawę. Ja również jestem zgorzkniały, wściekły na świat i lubię palić trawę.

Jednak nie potrafię znaleźć niczego, co łączyłoby mnie z Seksownymi Oczkami.

Kobieta roztacza wokół siebie jakąś dziwną aurę. Słysząc to w tonie jej głosu, wypowiedzianych przez nią słowach. Widać w sposobie, w jaki kąci jej oczu marszczą się nieznacznie, gdy się uśmiecha, co jest ich najsilniejszym ruchem, biorąc pod uwagę stan zdrowia dziewczyny. Sposób, w jaki patrzy, a także to, że zawsze jest rozluźniona, wpływa na jej pewność siebie, jak i całe otoczenie. Z nas wszystkich to właśnie ona najlepiej pogodziła się ze swoim losem. Znacznie wyprzedza tę grupę i wydaje się nie smuć swoimi problemami.

Właściwie nie potrafię zrozumieć, dlaczego zapisała się na tę terapię, ponieważ Jillian Martel niezależnie od stanu swojego zdrowia po prostu do nas nie pasuje.

Kobieta promienieje światłem.

Szczęściem.

Radością.

Niezmiennością nastroju bez względu na sytuację.

Przepelnia ją tak wielka rozkosz życia, że po części jej przez to nie znoszę.

Jednak powodem, dla którego podjąłem głupią decyzję, by wyruszyć na tę wyprawę, jest to, że Jillian Martel zarówno mnie odpycha, jak i intryguje. Moja ciekawość wygrała, więc przystałem na ten idiotyczny pomysł i dołączyłem do grupy, by być blisko niej.

Zgodziłem się pojechać, ponieważ muszę się dowiedzieć, jak ona to robi.

Jak mając przed sobą tak ponurą przyszłość, może się uśmiechać, jakby z jej światem wszystko było w porządku.

ROZDZIAŁ 2

Proszę pracownika stacji o zatankowanie SUV-a, po czym idę do budynku, by sprawdzić, co mają do zaoferowania w dziale słodczy. Szukam ulubionych przekąsek, ponieważ śmieciowe żarcie jest nieodłączną częścią każdego dłuższego wyjazdu. Muszę przyznać... Mam pewne gorzkie wspomnienia związane z wycieczkami, ponieważ w jedyną podróż w swoim życiu udałem się z Marią, jednak nie zamierzam pozwolić, aby moja miłość do kwaśnych żelek, chrupek orzechowych i popcornu z serem została zagłuszona wspomnieniami o tym, co niegdyś miałem, ale to straciłem.

– Chrupki orzechowe? – pyta stojąca za mną Jillian, gdy sięgam po torebkę.

– Esencja podróznego ekwipunku – odpowiadam, nie patrząc na nią. Pogodny nastrój, jaki nieustannie jej towarzyszy, rani ~~moją duszę~~ moje oczy. Czuję się, jakbym patrzył bezpośrednio na słońce.

– Dobrze?

– Tak.

Nadal stojąc plecami do Jillian, biorę z półki kwaśne żelki, następnie przechodzę do działu z chipsami, by poszukać popcornu. Słyszę za sobą jej kroki, spinam się więc, podejrzewając, że zapragnie kontynuować rozmowę.

Takie pogaduchy... są dla mnie bolesne. Nie jestem najbardziej rozmownym typem na świecie i wiem, że chociaż Mags nalegała na tę wyprawę dla dobra Martwego Dzieciaka, miała też nadzieję, iż reszta ekipy również się otworzy.

A zwłaszcza Gotka i ja.

Znam tych ludzi od jakichś sześciu tygodni, zetknąłem się z nimi na naszym pierwszym spotkaniu terapii grupowej. Wątpię, bym tamtego dnia zamienił więcej niż kilka słów z członkami grupy, podobnie jak Gotka. Jednak wcale mi to nie przeszkadzało.

Naprawdę nie mam nic do powiedzenia.

Unoszę głowę i widzę, że na końcu alejki z chipsami Gotka bierze ze stojaka

paczkę gum do żucia i wkłada ją do biustonosza. Nie trzodzi się nawet, by się rozejrzeć i upewnić, że nie przygląda się jej kasjerka. Dzieje się tak, ponieważ ona naprawdę ma w dupie to, czy zostanie przyłapana.

Unosi głowę i patrzy na mnie, przez co nasze obmierzłe spojrzenia krzyżują się na chwilę. Dziewczyna znajduje się jakieś trzy metry ode mnie, dlatego widzę, że błyszczą jej piwne tęczołki. Gdybym stał zaraz obok niej, wyczułbym woń trawki, ponieważ – gdy tylko zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej – poszła na jej tyły, by zapalić. Zabiłbym w tej chwili za porządnego macha, ale prędzej mnie szlag trafi, niż ją o niego poproszę. Poza tym obiecałem Mags, że będę prowadził trzeźwy. Być może zazwyczaj zachowuję się jak drań, ale jestem honorowym człowiekiem.

Gotka naprawdę nosi imię Barb, jednak przez jej wygląd nadałem jej tę ksywę. Ma czarne, krótko obcięte włosy – nieco dłuższe na czubku głowy, a wygolone po bokach i z tyłu. Dwa kolczyki w brwi, trzy w dolnej wardze i ciężki tunel w uchu, w którym zmieściłaby się zapewne ćwierćdolarówka. Na obu rękach dziewczyny widnieją tatuaże, metalowe obrączki zdobią jej palce, a paznokcie pomalowane ma czarnym lakierem. Mroczna osobowość Gotki podkreślona jest także czarną kredką wokół oczu i czarną szminką, przez co jej blada cera wygląda jeszcze jaśniej. Dziś dziewczyna włożyła glany, kabaretki, czarną miniówkę i koszulkę w tym samym kolorze z poprzecznym napisem „Jebać demokrację”. Nie mam pojęcia, o co chodzi z tym tekstem, podejrzewam, że ona też tego nie wie. Zapewne założyła ten ciuch tylko po to, by obnosić się publicznie z tym wulgaryzmem.

– To było śmiałe – stwierdza cicho Jillian, niemal z szacunkiem.

Zauważam, że stanęła obok mnie w alejce z chipsami. I nie mogąc się powstrzymać, obracam się, by popatrzeć na nią z góry – jestem wyższy o dobre trzydzieści centymetrów – i stwierdzam, że obserwuje Gotkę z uśmiechem rozbawienia.

– To jej druga natura – mówię oschle. Gotka ma na sumieniu drobne zatargi z prawem, zupełnie jak ja.

– Może – szepcze Jillian, nie patrząc na mnie, lecz nieustannie wpatrując się w naszą małą złodziejkę. – Ale wzięła to dla Connora, który jest uzależniony od gum do żucia.

Unoszę brwi... zdziwiony tą uwagą. Skąd, u diabła, Gotka może o tym w ogóle wiedzieć? Z tego, co mi wiadomo, nawet ze sobą nie rozmawiają. Dziewczyna nie odzywa się w grupie, rzuca jedynie oschle komentarze na temat czyjogoś bólu. Może Martwy Dzieciak coś wspominał, a choć ja ignoruję, co się dzieje w tym towarzystwie, Gotka jednak go słuchała?

Mimo to muszę zapytać:

– Skąd wie o uzależnieniu Martwego Dzieciaka od gum?

Jillian powoli obraca ku mnie twarz. Obserwuję jej stan przez kilka ostatnich tygodni, więc wiem, że to najszybsze tempo, w jakim może to zrobić, ponieważ jej mięśnie są dość słabe. Jednak z ognia w jej oczach wyczytuję, że gdyby tylko mogła, natychmiast poderwałaby głowę.

– Nie nazywaj go tak – prycha na mnie, wydając przy tym odgłos wkurzonego tygrysa.

No może raczej kociaka. Jillian Martel nie ma w sobie agresji, by być czymś więcej niż rozgniewanym kotkiem. Jest cholernie miła, nawet gdy się złości.

Powinienem się zawstydić, że tak obraziłem chłopaka. Wiem, że powinienem mieć wyrzuty sumienia.

Jednak niczego takiego nie czuję, więc tylko wzruszam ramionami.

– Dlaczego nie? I tak umrze.

– Wszyscy umrzemy. – Praktycznie na mnie syczy.

– Tak – drwię, pochylając głowę, by wyraźnie mnie usłyszała. – Ale to on zejdzie z tego świata najszybciej. Byłoby lepiej, gdybym się poprawił i nazywał go Wkrótce Martwym Dzieciakiem?

Moje chamstwo sprawia, że Jillian gwałtownie wciąga powietrze.

Słyszając to, szczerzę zęby w uśmiechu.

Nie żałuję swoich słów, ponieważ dawno temu przestało mnie obchodzić, co myślą o mnie inni. Jestem cholernie pewny, że nie interesuje mnie również zdanie Jillian.

Przygotowuję się solidnie i czekam na kłótnię. Pomimo że poznałem tę kobietę na tyle, by wiedzieć, że nie ma ciętego języka, wiem też, że potrafi być brutalna, gdy kogoś karci. Jest w tym bardziej dosadna niż niejeden szyderca. Kobieta z dobrotliwym sercem i osobowością Pollyanny mocno we mnie uderzy, choć w zupełnie niewulgarny sposób.

Oczy Jillian, których spojrzenie zmiękcza choroba, otwierają się nieco szerzej, a kąciki jej ust unoszą się nieznacznie we współczującym uśmiechu. Kobieta zbliża się do mnie i kładzie dłoń na moim przedramieniu, niezrażona poszarpaną, naznaczoną bliznami skórą.

– Rozumiem.

– Niby co? – pytam, spoglądając na miejsce, gdzie spoczywa jej opalona dłoń dotykająca zniekształconej pozostałości mojej ręki.

– Dlaczego czujesz potrzebę bycia złośliwym.

– Myślisz, że jestem złośliwy? – dociekam, pokazując jej zęby w szyderczym uśmieszku. *Jestem o wiele gorszy.*

– Uważam, że masz w sobie wiele żalu i gniewu, co sprawia, że czujesz się usprawiedliwiony, zachowując się jak palant. Myślę, że ulgę w bólu przynosi ci sprawianie innym przykrości. Wydaje mi się, że odsuwasz się od potencjalnie dobrych rzeczy w swoim życiu, by pozostać pogrążonym w tym całym gniewie.

Jednak, Christopherze, możesz się wyżywać, ile tylko zechcesz, na mnie albo na Barb, bo ona jest twarda i jakoś to zniesie, ale, proszę, zostaw Connora w spokoju, dobrze? Jego dni są policzone, chłopak nie potrzebuje, byś mu o tym przypominał.

Mówi to wszystko tak łagodnie... tak czule. W jej głosie nie ma ani grama drwiny.

Jej słowa budzą we mnie wściekłość – jestem wkurzony, bo śmiała powiedzieć mi, jak mam żyć. I zrobiła to z empatią i litością. Nie mogę tego zniesić, zaakceptować przyjaznego uśmiechu, jaki mi w tej chwili posyła.

Ale właśnie gdy otwieram usta, by ją zbluzgać – poinformować zdziwę, że moja złośliwa postawa to nic w porównaniu do wszelkiej niegodziwości, jaka się we mnie znajduje – zaznaję wyraźnie niepokojącego uczucia, zaczynającego zakorzeniać się w centrum mojej klatki piersiowej. Tępy ból. Być może ukłucie żalu. Albo, co gorsza... dziwna fascynacja jej stwierdzeniem, że w moim życiu mogą istnieć potencjalnie dobre rzeczy.

Lepiej, by to, co czuję, nie było pieprzoną nadzieją. Wiele miesięcy temu pozbyłem się tego cholernego uczucia i niech mnie szlag trafi, jeśli ponownie dopuszczę do siebie to gówno. Strach, że mogłem znów stanąć z dobrem oko w oko, rozprasza we mnie potrzebę przywołania tej kobiety do porządku.

Furia mija tak szybko, jak uderzyła, pozostawiając mnie bez dobrego argumentu, który mógłbym rzucić Jillian w twarz.

Zamiast wrzeszczeć, biorę głęboki wdech, wypuszczam powoli powietrze i decyduję się zapytać:

– To wszystko?

– Sprawiłbyś mi niezmierną radość, gdybyś nie nazywał Connora Martwym Dzieciakiem – mówi z błyskiem w oku. – W ten sposób mnie uszczęśliwisz. Na razie.

Na razie? Co u licha oznacza „na razie”?

Chce, bym w przyszłości też sprawiał jej radość?

W ten sam sposób, w jaki Maria szukała przy mnie szczęścia i bezpieczeństwa? W sposób, w jaki na mnie polegała, dzięki czemu czułem się tak cholernie dobrze, ponieważ byłem odpowiedzialny za uśmiech na jej twarzy?

Tego właśnie chce ode mnie Jillian „Pollyanna” Martel?

Jasne, ale tak się nie stanie.

Kiwam zdawkowo głową, odwracam się do niej plecami i zbliżam do kasy. Kątem oka zauważam, że Jillian idzie w kierunku drzwi. Podchodzi do dystrybutora, przy którym Gotka wyciąga paczkę gum ze stanika i wręcza je ~~Martwemu Dzieciakowi~~ Connorowi. Nawet z tej odległości widzę, że chłopak się rumieni, przez co niemal muszę się powstrzymać od uśmiechu, lecz ta chwila szybko mija.

Za ladą stoi młoda dziewczyna ubrana w czerwoną kamizelkę z logo stacji

benzynowej na jednej piersi i zawieszka informująca, że ma na imię Natalie, na drugiej. Uśmiecha się do mnie zalotnie, a gdy podchodzę, przesuwa powoli spojrzeniem po moim ciele. Kiedy dociera do nóg, widzę, że się spina – spodziewałem się tego. Kiedy ponownie spogląda na moją twarz, cały flirt znika zastąpiony współczuciem.

Nie odzywam się, kładąc rzeczy na blacie, i wkładam rękę do kieszeni spodenek sięgających za kolano po portfel. Dziewczyna w milczeniu kasuje produkty. Nie patrzy mi w oczy, gdy wsuwam kartę kredytową do czytnika ani gdy pakuje moje zakupy do siatki.

Mam wrażenie, że uda mi się wyjść z budynku, nie usłyszawszy od niej ani słowa, ale przysuwając do mnie reklamówkę, przełyka z trudem ślinę i mówi:

– Eee... chciałam tylko podziękować panu za służbę.

To żadna tajemnica... Koszulka z logo Korpusu Piechoty Morskiej daje dość dobrą wskazówkę, że byłem żołnierzem. To, co znajduje się poniżej pasa, jest równie znaczące.

Wpatruję się w nią przez chwilę, zauważając w jej oczach nadzieję. Nadzieję, że moje poświęcenie było dla mnie zaszczytem, a to, że dziewczyna może spać pod bezpiecznym kocem wolności, jest zasługą wyłącznie amputacji mojej nogi, która mocno ucierpiała podczas przejazdu przez prowincję Helmand w Afganistanie. Ma nadzieję, że podziękuję jej za miłe słowa i tym samym sprawię, że poczuje się lepiej pomimo świadomości, iż jej bezpieczeństwo zostało okupione moją krwią.

– Spierdalaj – warczę. Właściwie czerpię przyjemność z zadania jej bólu, z upokorzenia malującego się na jej twarzy, nim biorę siatkę i wychodzę z budynku. Odczuwam olbrzymią satysfakcję z powodu jej wstydu i nie mam wątpliwości, że moja brudna dusza nigdy nie zostanie oczyszczona i ocalona. Że jestem człowiekiem, który nie zazna odkupienia.

Choć ostatnimi czasy mam paskudny charakter, nie zawsze traktowałem ludzi w ten sposób. W pierwszych miesiącach po wyjściu ze szpitala próbowałem dziękować każdemu, kto doceniał moją służbę i poświęcenie.

Ale mi się znudziło.

Naprawdę mi to zbrzydło.

Ciężar stał się zbyt wielki. Spoczął na moim sercu niczym beton. Sprawił, że klatka piersiowa kurczy mi się z niepokojem, ilekroć ktoś otwiera usta, by ze mną porozmawiać, dlatego odwracam się od wszystkich, nim słowa wdzięczności zdążą przeniknąć do mojej głowy. Mogłoby się wydawać, że zamieszkała we mnie zupełnie inna istota, ponieważ zacząłem wymyślać przeróżne kłamstwa.

„Och, nie zostałem ranny w walce. To atak rekina”.

Albo...

„Wypadek z udziałem kombajnu na farmie dziadka”.

Albo...

„Wkurzona dziewczyna. Próbowła odrąbać mi fiuta, ale trafiła w nogę i palce”.

Nieważne.

Chodzi o to, że zmęczyli mnie ludzie dziękujący za coś, czego nie planowałem robić. Nie zamierzałem dać się rozerwać na kawałki. Kiedy podpisywałem kontrakt z armią, nie robiłem tego z głęboko zakorzonego patriotyzmu, ale dlatego, że był to sposób na wyrwanie się z okropnego życia w mieście znajdującym się przy kopalni węgla. Moje kłamstwa zaczęły robić się coraz bardziej absurdalne, aż w końcu z nimi skończyłem. Nie potrafiłem wymyślić już ani jednego zdarzenia, które musiałyby zakończyć się takim uszczerbkiem na zdrowiu.

Zacząłem więc informować ludzi, co naprawdę czuję. Mówiłem, by się ode mnie odwalili. To naprawdę najlepszy sposób na zakończenie rozmowy.

Kiedy posyłałem ich do diabła, nie padały kolejne uwagi, takie jak:

„Och, wow... Rekin? Niesamowite”.

Albo...

„Rany... Myślałem, że kombajny mają specjalne zabezpieczenia”.

Albo...

„Twoja dziewczyna poszła siedzieć, stary? Za coś takiego z pewnością należy jej się odsiadka”.

Słowo „spierdalaj” nie zachęca do dalszych komentarzy, więc stało się metodą, którą wykorzystuję w stu procentach, aby ludzie zostawiali mnie sam na sam z moją niedolą.

Nie jest to miejsce, w którym jestem najszczęśliwszy, ale czuję się w nim niemal dobrze.

ROZDZIAŁ 3

Sześć tygodni wcześniej...

Zaciągnąłem się głęboko papierosem.

Tak głęboko, że poczułem żar na opuszkach kciuka i palca wskazującego, ale to zignorowałem. Odczuwałem już w życiu gorszy ból. Wprawnym ruchem pstryknąłem niedopałkiem, który przeleciał ponad kwiatową rabatką i wylądował w wyschniętych petuniach. Przez chwilę przyglądałem się roślinom, mając nadzieję, że może ich łodygi się zapalą. Jeśli tak by się stało, nie poszedłbym na to głupie spotkanie, ale jak zwykle los mi nie sprzyjał. Spostrzegłem, że resztką papierosa dopaliła się, nie powodując żadnych zniszczeń, przez co moja dola zdała się być przesądzona.

Spóźniłem się na spotkanie dziesięć minut, czego byłem świadomy, stojąc przed drzwiami biblioteki, paląc Marlboro Red. Wiedziałem, że to nie najlepszy sposób na zrobienie dobrego pierwszego wrażenia, jak również zdawałem sobie sprawę, że niepojawienie się tutaj będzie równoznaczne z czterdziestopięciodniowym pobytem w areszcie.

Mimo to wciąż miałem to w dupie.

No bo... co z tego? Mogłem się założyć, że więzienna cela nie byłaby gorsza od mojego beznadziejnego czterdziestopięciometrowego mieszkania z plamami na suficie i karaluchami na ścianach. I zapewne tamtejsze posiłki byłyby lepsze.

Przez ostatnie półtora roku obrzucano mnie podobnym gównem.

Pieprz się za całą tę twoją służbę dla kraju. Stracileś nogę, ale na pocieszenie damy ci nowiutką, błyszczącą protezę.

Albo...

Co się stało, żołnierzu? Wiemy, że w wyniku odniesionych ran masz pewne „problemy”, ale to nic, czego nie naprawi mała terapia.

Dodajcie do tego poklepanie mnie po głowie, gdy dostałem buteleczkę

antydepresantów wraz z instrukcją, jak dojść do biblioteki w Wake Country, gdzie powinienem dołączyć do terapii grupowej, by uniknąć więzienia.

Z kieszeni spodnek wyciągnąłem telefon. Zdążył się obić o moją metalową protezę, nim zdołałem go złapać sztywnymi placami. Pomyślałem, że jeśli mam siedzieć pośród frajerów z depresją, to równie dobrze mogę się dobić już teraz, zanim wejdę na tę salę.

Ikonka skrzynki odbiorczej pokazywała trzy nieodebrane wiadomości, jednak tym razem moje serce nie przyspieszyło na myśl o kontakcie z Marią. Chciałem ją usłyszeć, ale nie miałem już poczucia, jakby zależało od tego moje życie, podejrzewałem więc, że był to już jakiś postęp.

Natychmiast przed oczami stanęły mi poprzednie cztery miesiące. A właściwie wypełniająca je pustka.

Ani słowa od Marii.

Nic, co mogłoby wskazywać, że poszła po rozum do głowy i zdała sobie sprawę, że zrywając ze mną, popełniła fatalny błąd. No bo poważnie... któż by nie chciał niepełnosprawnego mężczyzny z potężnie spieprzoną psychiką?

W skrzynce znalazłem wiadomość od mojego brata Jody'ego mówiącą, że w kopalni Leeds River potrzebują pracowników.

Skasowałem ją natychmiast. Nie mogłem odpowiedzieć, ponieważ nie udałoby mi się później powstrzymać Jody'ego przed nakłanianiem mnie do powrotu do Zachodniej Wirginii, by kontynuować rodzinną tradycję i stać się górnikiem. Nie wiedziałem, dlaczego było to dla niego tak ważne, zwłaszcza że rodzina jasno dała mi do zrozumienia, że ma w dupie, co się ze mną stanie.

Kolejna wiadomość była od Fergusona... koleś, z którym służyłem w Afganistanie. Nawet nie trudziłem się czytaniem, mogłem się domyślić, co w niej było. Zapewne coś w stylu: „Pamiętam o Tobie, stary. Trzymaj się. Boże, błogosław. *Semper Fi*. Bla, bla, bla...”.

Skasowałem.

Trzecia była od Diggera, mojego dilera, który napisał tylko, że będzie u mnie o dziewiątej.

Tej akurat nie skasowałem. Perspektywa zapalenia trawy i chwili zapomnienia, a także możliwość skopania Diggerowi dupy w *Call of Duty* naprawdę wywołała uśmiech na mojej twarzy. Cóż, przynajmniej według mnie był to uśmiech. Mam pięciocentymetrową bliznę biegnącą od lewego kącika ust aż do podbródka, której lekkie naciągnięcie zazwyczaj oznacza, że się uśmiecham. Jednak bez patrzenia w lustro nie jestem tego pewien.

Wsadziłem telefon do kieszeni, wszedłem do biblioteki, gdzie natychmiast stałem się wdzięczny za chłód stworzony przez klimatyzację. W Raleigh w stanie Karolina Północna było właśnie trzydzieści pięć stopni – trochę za dużo jak na maj – a niektórzy nie chcieli włączać klimatyzacji do czasu, gdy oficjalnie nie

ogłoszono lata. Choć ci kretyni nie przekonają się, jak wygląda prawdziwy upał, póki nie przespacerują się po spieczonej słońcem pustyni z czterdziestoma kilogramami wojskowego sprzętu i broni na plecach.

Za biurkiem znajdowały się drewniane drzwi, obok których wisiała mosiężna tabliczka z napisem: „Czytelnia Andersona”. Nie zapukałem, tylko od razu wszedłem do pomieszczenia. Powitał mnie widok ustawionych w koło krzesel. Było ich minimum dziesięć, ale przynajmniej połowa stała pusta. Z miejsca znajdującego się najbliżej mnie wstała niewysoka kobieta i gestem zaprosiła mnie do środka.

– Proszę, wejść – powiedziała z południowym akcentem. Była mała... Nie mierzyła nawet metra pięćdziesięciu. I była stara. Starsza od mojej babci Kaylene, matki mojego ojca, która miała obecnie ponad sześćdziesiąt lat, a za sobą ciężkie życie, skomplikowane przez narkotyki i alkohol. Mimo to kobieta stojąca przede mną wyglądała jeszcze starzej. Miała krótkie włosy w kolorze chmur śniegowych i naznaczoną głębokimi zmarszczkami skórę, która była jeszcze bardziej pomarszczona w kącikach jej oczu, ust oraz na dekolcie. Błyszczące błękitne oczy spojrzały na mnie niemal z rozbawieniem. Z dokumentów, które wcześniej otrzymałem, dowiedziałem się, że kobieta nazywa się Mags Bundy i jest motywatorką, jak również opiekunką.

– Skoro Christopher w końcu do nas dołączył, możemy zaczynać – powiedziała, ponownie siadając na plastikowym krześle.

Wybrałem miejsce bez sąsiada po obu stronach. Mags założyła nogę na nogę, przez co nogawka jej jeansów przesunęła się ku górze, ujawniając różową skarpetkę ze wzorem w czerwone usta. Z jakiegoś powodu wcale mnie to nie zdziwiło.

– To grupa wsparcia dla wszystkich cierpiących z powodu traumatycznego stresu i depresji. Finansowana przez państwo z waszych podatków. Jej celem nie jest zapewnienie wam profesjonalnej pomocy psychologicznej. Ma być bezpiecznym miejscem, w którym możecie się zebrać i porozmawiać o swoich problemach. Zgromadziliśmy się tutaj z różnorodnych powodów i mamy za zadanie dobrze się poznać. Dziś zajmiemy się mówieniem o sobie. Może zacznę od siebie.

Wbiłem wzrok w podłogę, starając się zagłuszyć głos kobiety. Po akcencie zgadywałem, że z pewnością wychowała się na Południu, choć mówiła szybko i dobitnie. Gdybym po tym krótkim czasie miał ją opisać, używając zaledwie trzech słów, powiedziałbym: stara, twarda, szorstka.

– Zajmuję się prowadzeniem takich grup już przeszło trzynaście lat. Na kwartał przypada dwanaście cotygodniowych sesji, a każde spotkanie trwa ponad godzinę. Cierpię na przewlekłą depresję spowodowaną licznymi nieszczęściami, jakie mnie spotkały, poczynając od ojca, wykorzystującego mnie seksualnie przez kilka lat, kończąc na agresywnym mężu, który dla rozrywki lubił przypalać mnie

papierosami.

Wyprostowałem się i poderwałem głowę, zauważając, że Mags patrzyła prosto na mnie. Przypomniałem sobie toczący się po ziemi niedopałek, który wyrzuciłem pięć minut temu. Wyobraziłem sobie, że rzucam nim ponownie... prosto w głowę tej kobiety. Jednak myśl ta nie poruszyła mnie za bardzo, ponieważ, choć to przerabane być wykorzystywanym przez własnego ojca, nie potrafiłem się do tego ustosunkować, bo mnie to nie dotyczyło.

Znacząco różnił się od siebie.

Mags miała dwie zdrowe nogi, ale najwyraźniej brak jej było silnej woli. Mogła uciec od swojego horroru, a przecież ja od swojego nie mogłem się nawet odczołgać. Musiałem zostać zeskrobany z podłogi.

Mags kontynuowała monolog. Mówiła o poufności między nami i podsunęła pomysł wspólnego wyjazdu... Jakbyśmy byli na jakimś letnim obozie. Przestałem jej słuchać i zacząłem przyglądać się współosadzonym.

Natychmiast skupiłem spojrzenie na kobiecie siedzącej naprzeciw mnie, która jak urzeczona wsłuchiwała się w słowa opiekunki grupy. Miała zrelaksowaną postawę, choć złączyła razem kolana. Jedną delikatną dłoń trzymała na udzie, podczas gdy drugą bawiła się pasmem długich blond włosów spoczywających na jej ramieniu.

Twarz kobiety była interesująca. Wysokie kości policzkowe, płaski nos z zadartym końcem i wielkie oczy w kształcie migdałów, dzięki którym wyglądała jak wróżka. Nie potrafiłem stwierdzić, jakiego koloru miała tęczówki, ponieważ trzymała powieki opuszczone dość nisko, niemal jakby była senna. Właściwie było to nawet seksowne.

Sypialniane spojrzenie. Właśnie tak wyglądał jej wzrok, przez co zakłóła mnie tęsknota za Marią, która niegdyś leżała naga na łóżku, wpatrując się we mnie z pożądaniem. Boże, jak bardzo brakowało mi tego spojrzenia. I seksu, cholera. Nienawidziłem jej za to, że mi go odebrała.

Blondynka przechyliła nieznacznie głowę i spojrzała wprost na mnie. To było dziwne, ponieważ spodziewałem się, że wytrzeszczy nieco oczy, gdy zda sobie sprawę, że się jej przyglądam, jednak jej powieki pozostały opuszczone i ponownie posyłały mi to senne spojrzenie. Zgadywałem, że kobieta była naćpana.

Niezależnie od powodu miała wspaniałe sypialniane spojrzenie. Patrzenie w jej oczy nie będzie sprawiało mi trudności przez następne kilka miesięcy.

Przestałem wpatrywać się w Seksowne Oczka i przeniósłem uwagę na osobę siedzącą po lewej. Chłopak... Nastolatek z trądzikiem i wystającą grdyką. Chudy, patykowaty i łysy. Z pewnością chory. Błady, ze zmęczonymi oczami, co podpowiedziało mi, że przeszedł chemioterapię lub radiację. Podczas rehabilitacji widziałem wielu weteranów walczących z rakiem. Postanowiłem ochrzcić go mianem Martwego Dzieciaka. Współczułem mu nieco, ponieważ czasami

wyobrażałem sobie udanie się do miejsca, do którego on zmierzał, co nie wydawało mi się taką złą opcją.

Przeniosłem spojrzenie...

Pozostała mi tylko jedna osoba, siedząca po mojej lewej, choć dzieliło nas puste miejsce. Musiałem obrócić głowę, by móc na nią spojrzeć, więc oczywiste było to, że się na nią gapiłem. Dziewczyna również przechyliła swoją i popatrzyła na mnie, w związku z czym nasze złowrogie spojrzenia się skrzyżowały. Wcześniej tego nie zauważyłem, ale teraz stało się to dla mnie jasne. Bił od niej kwaśny, cierpki zapach dymu marihuany, a jej brązowo-zielone tęczówki były zdecydowanie przeszkłone. Wydawała się ładna, choć nieco mroczna, pokryta tatuażami i kolczykami. Biła od niej aura nienawiści do świata.

Była nietypowa i wkurzona, co mnie w niej pociągało. Zastanawiałem się, czy zrobiłaby mi laskę w zamian za skręta, którego miałem w kieszeni.

Po chwili zastanowienia stwierdziłem jednak, że wyglądała na tak bardzo wkurzoną, że bałbym się, iż odgryzie mi fiuta, a nie mogłem pozwolić sobie na utratę kolejnych części ciała. Kiedy mina eksplodowała pod moim humvee, podwozie pojazdu zaabsorbowało większość wybuchu. Rozdarta blacha poharatała mi nogę, strzaskała kości i odcięła dwa palce u prawej dłoni. Klejnoty na szczęście nie ucierpiały – nie żebym w tej chwili miał z nich jakiś pożytek. Lewa strona mojego ciała wyszła z tego bez szwanku, choć niewielki kamień wbił mi się w podbródek.

– Rozruszajmy się więc trochę i przedstawmy pozostałym – powiedziała Mags, przerywając moją śmiertelną potyczkę na spojrzenia z Gotką. – Kto chciałby zacząć?

Zapadła grobowa cisza, wszyscy zaczęli się wiercić, następnie Seksowne Oczka podniosła rękę i z niewielkim uśmiechem stwierdziła:

– Ja mogę.

– Odważnie, Jillian – pochwaliła Mags, promieniejąc radością.

Jillian?

Hm.

Ładne imię dla ślicznotki. Mogłem się jednak założyć, że ta dziewczyna nie zrobi mi laski za jointa. Wyglądała na to zbyt słodko i niewinnie.

– Więc, eee – zaczęła niezdarnie, jedną ręką zakładając włosy za ucho. – Nazywam się Jillian Martel. Jestem tutaj z powodu mojej depresji. Zdiagnozowano u mnie zespół Kearnsa-Sayre’a. – Założyła włosy za drugie ucho i znów się uśmiechnęła. – Choroba ta wpływa na mnie na kilka różnych sposobów, jednak głównie chodzi o to, że w końcu całkowicie stracę wzrok. W tej chwili brakuje mi postrzegania peryferyjnego i niekiedy obraz mi się rozmywa... jakbym patrzyła przez mgłę, ale ten stan nie trwa cały czas, tylko pojawia się i znika. – Zamilkła na chwilę, rozejrzała się po sali, posyłając każdemu ciepły, przyjacielski uśmiech,

i dodała: – Z tego względu, że to zaburzenie nerwowo-mięśniowe, mięśnie w moich oczach zostały porażone. Ciężko mi do końca unieść powieki, przez co jeszcze trudniej mi patrzeć.

Co? Więc to nie było zamierzone sypialniane spojrzenie? Choć teraz nabrało to znacznie więcej sensu. Jej słodki, niewinny wygląd powinien mi podpowiedzieć, że nie była „tego rodzaju dziewczyną”.

Zauważyłem, że jej oczy miały niebieską barwę.

Jillian machnęła lekceważąco ręką i spojrzała na Mags.

– Ta choroba ma także inne następstwa. Słabe mięśnie, kardiomiopatia, jednak nie będę o tym mówić, bo wszystkich bym zanudziła.

Jasne, zanudzilibyśmy się.

Ziewnąłem ostentacyjnie, na tyle głośno, by dać jej do znać, że ta historia naprawdę była nudna. Moja reakcja sprowokowała uniesienie głowy przez Jillian. Dziewczyna spojrzała bezpośrednio na mnie. Widziałem, że ten niewielki ruch kosztował ją wiele wysiłku. Jej spojrzenie było obojętne, jednak z tego, co zaobserwowałem w ciągu ostatnich dwudziestu sekund, wiedziałem, że działa się tak dlatego, że nie miała zbytnej kontroli nad mięśniami. Nie potrafiła przekazać powiekami i brwiami tego, co widać było w jej nagle pociemniałych tęczęwkach.

Zraniłem ją.

A może nawet wkurzyłem.

Rety, już się boję.

– Dziękujemy, Jillian – powiedziała Mags, przerywając niezręczną ciszę. Kiedy zerknąłem na opiekunkę grupy, kobieta spoglądała na mnie z dezaprobatą. Uniosłem prawą rękę, wyprostowałem środkowy palec i potarłem nim kącik oka, jednocześnie patrząc niewinnie na Mags.

Kobieta posłała mi znaczące spojrzenie i powiedziała bezceremonialnie:

– Widywałam takich jak ty. Bez liku. Tak, jesteś twardzielem, ale przeżuję cię i wypluję, chłopcaku.

W tej chwili zrozumiałem, że nie mogę lekceważyć małej staruszki.

Mags odwróciła wzrok ode mnie i rozejrzała się po grupie.

– Zanim będziemy kontynuować przedstawianie się, chyba powinnam wyjaśnić, dlaczego zachowanie dynamiki między wami jest tak ważne. Będę inicjowała rozmowy, a wy powinniście czuć się na tyle swobodnie, by zabierać głos, gdy tylko zechcecie.

Spojrzałem na Jillian, która posłusznie obserwowała Mags. Dobrze wiedziałem, że jej gniew w stosunku do mnie kompletnie się ulotnił. Zachowałem się wobec niej jak dupek, całkowicie zlekceważyłem jej problemy, a mimo to kobieta siedziała, słuchając Mags ze słodkim uśmiechem na twarzy, jeszcze bardziej pragnąc należeć do tej grupy.

Boże, była cholernie dziwna.

Zmrużyłem oczy, wpatrując się w nią.

Niezależnie od tragicznej opowieści o chorobie i niepełnosprawności, instynkt podpowiadał mi, że to nie było miejsce dla niej. Terapia grupowa jest przeznaczona dla ludzi z „problemami”, a mówiąc konkretniej, dla ludzi, którzy nie potrafią poradzić sobie z tymi „problemami”. Jillian nie wydawała się zasmucona nadchodzącą ślepotą i tym kardio czymś tam. Emocje bijące od każdego z obecnych widoczne były jak na dłoni, począwszy od starej dobrej melancholii, skończywszy na gorzkiej nienawiści do życia.

Ale nie u Seksownych Oczek.

Dziewczyna zdawała się promienieć wewnętrzną radością, która według mnie w ogóle nie pasowała do tej sali.

Tak... Jillian Martel była cholernie dziwna.

ROZDZIAŁ 4

Obecnie...

Kiedy przednim prawym kołem wjechałem na minę, początkowo nie czułem bólu.

Pamiętam krzyk, dym i więcej wybuchów w oddali, które wstrząsnęły ziemią, ale wszystkie dźwięki były przytłumione, ponieważ eksplozja pod samochodem wywołała tymczasowy uraz moich uszu. Spojrzałem na siedzenie pasażera, gdzie jeszcze kilka sekund wcześniej siedział Jelonek, gadając nieustannie o swojej żonie, która za kilka dni miała rodzić. Pomyślałem przez to o Marii, zastanawiając się, jak szybko po ślubie chciałyby zostać matką. Miałem nadzieję, że szybko.

W jednej chwili Jelonek siedział obok mnie na fotelu pasażera, nawijając jak katarynka, a w kolejnej tego fotela w ogóle nie było.

Cała prawa część humvee przestała istnieć.

Jelonek po prostu... zniknął.

Nic nie pozostało z niego ani z naszej rozmowy prócz mgiełki krwi, która wydawała się zawisnąć w powietrzu wokół mnie. Swoim pierwszym mimowolnym oddechem wciągnąłem szczątki Jelonka do płuc, posmakowałem miedzi i natychmiast spróbowałem się go pozbyć, kaszłąc i dławiąc się okrutnie.

Odkaszałem raz... drugi... po czym struga wymiocin wylała się na kierownicę, która, jak zauważyłem, wygięła się pod wpływem wybuchu.

Dopiero wtedy poczułem ból.

Przez dwanaście miesięcy w Afganistanie udawało mi się bezpiecznie prowadzić mój wypełniony rakietami przeciwczołgowymi pojazd.

Jednak raz skręciłem nieopatrznie i przednie prawe koło samochodu najechało na minę.

Następne dwadzieścia cztery godziny spędziłem w szpitalu polowym, gdzie

próbowano ustabilizować mój stan.

Trzydzieści sześć godzin w Regionalnym Centrum Medycznym w Landstuhl w Niemczech, by przygotować mnie do transportu medycznego do Stanów.

Trzydzieści miesięcy spędziłem w Centrum Medycyny Wojskowej Waltera Reeda w Bethesdzie, gdzie lekarze przez trzy miesiące próbowali uratować moją zmasakrowaną nogę, z której z powodu zakażenia ciekła ropa. Kończyna trzymała się jedynie na śrubach. Pręty wystawały na zewnątrz, tworząc coś w rodzaju klatki, jakby medycy bali się, że moja noga po prostu wstanie i ode mnie ucieknie.

To były trzy najgorsze miesiące mojego życia. Naprawdę mi ulżyło, gdy amputowali ten gnijący kawał mięsa. To jedna z niewielu chwil po eksplozji, w której czułem się szczęśliwy.

Nie jestem pewien, czy od tamtej pory to się powtórzyło.

Zaciągam się głęboko papierosem, kładąc łokieć na oknie mojego suburbana. Samochód ma dopiero dwa lata, niski przebieg i dość sporo fajnych funkcji. Był jedną z pierwszych rzeczy, jakie nabyłem po zakończeniu rehabilitacji za pieniądze, które rząd wysłał mi wraz z dokumentacją zwalniającą mnie ze służby. Jedyna przeróbka, na jaką się zdobyłem, to dodanie pedału gazu na lewą nogę, choć urządzenie nie jest zamontowane na stałe. Łączy się z pedałem z prawej strony, abym mógł w ten sposób przyspieszać. Jestem w stanie samodzielnie to zdemontować, gdyby ktoś posiadający zdrową prawą nogę zechciał poprowadzić mój samochód.

Nie żebym miał komukolwiek na to pozwolić.

To mój i tylko mój pojazd, więc mogę bezkarnie w nim palić. Jednak Jillian zaczyna cicho kaszleć, mimo to z uporem nie chce otworzyć okna. Ustępuję i opuszczam swoją szybę.

W tej chwili kobieta trzyma głowę odwróconą, wyglądając na zewnątrz, gdy przemierzamy drogę I-64. Znajdujemy się zaledwie kilka kilometrów od kempingu, na którym mamy zatrzymać się w Louisville w stanie Kentucky.

Poruszając głową na boki, słyszę trzaski w karku, więc unoszę ramiona, by rozluźnić sztywne mięśnie. Prowadzę auto już nieco ponad dziewięć godzin i trochę ścierpłem. Ponownie zaciągam się papierosem, który kończy się już prawie przy filtrze. Wprawnym ruchem wyrzucam go przez okno, a na asfalcie za suburbanem tworzą się iskry. Podnoszę szybę, napominając się w myślach, by przypadkiem się nie pomylić i nie nazwać Connora Martwym Dzieciakiem. Powtarzam to sobie jak mantrę, by utrwalić to w pamięci. Nie chodzi o to, że boję się, by nie urazić jego uczuć, ale robię to dlatego, że gdy kilka godzin temu na stacji benzynowej skinąłem Jillian głową, złożyłem w ten sposób obietnicę.

I choć jestem honorowym człowiekiem, nie mam zamiaru obiecywać tej grupie niczego więcej podczas tej ~~piekielnej~~ podróży wycieczki. Spełnię swój obowiązek i zniknę.

Skończę z tą błazenadą.

W przeciwieństwie do terapii grupowej ta ~~wielka przygoda~~ kiepska przejażdżka jest dobrowolna. Sąd stwierdził, że terapia nie podlega negocjacom, a jeśli na nią nie pójdę, trafię do więzienia. Jednak podróż jest jej częścią, a Mags namawiała mnie, bym pojechał. Targowała się, mówiąc, że jeśli wyruszę, nie będę musiał brać udziału w kolejnych spotkaniach, a ona wyda zaświadczenie dla sądu, że dopełniłem wymagań. Wybrałem zatem tydzień w samochodzie, w którym nikt nie zmusi mnie do zwierzeń zamiast sześciu dodatkowych tygodni spotkań.

Wtedy ta zamiana wydawała mi się korzystna. Wciąż uważam, że to dobry pomysł, bo nie ma mowy, bym otworzył się na tych ludzi i zaczął się przejmować ich problemami. I tak mam wystarczająco własnych, by jeszcze przejmować się czyimiś.

Wszyscy mamy za sobą smutną przeszłość, ale ich nie może się równać z moją, więc nie obchodzą mnie sprawy tej grupy.

Kiedy postanowiliśmy wyruszyć grupą na wyprawę przez kraj, Mags jasno określiła, że nie zamierza nam towarzyszyć. Stwierdziła, iż ma inne obowiązki i nie może ich porzucić. Oprócz tego jesteśmy dorośli – poza Connorem, który był niemal pełnoletni i dostał zgodę od rodziców na tę wyprawę – i musimy podejmować decyzje jako grupa. Widziałem błysk triumfu w jej oczach, kiedy utwierdziła się w przekonaniu, że porozmawiamy przynajmniej o planie podróży.

Mieliśmy więc kilka rzeczy do przedyskutowania.

Na przykład czyim samochodem pojedziemy.

To akurat nie podlegało dyskusji. Zdaje mi się, że powiedziałem wtedy:

– Pojedziemy moim suburbanem i tylko ja prowadzę.

Spodziewałem się kłótni, ponieważ podczas sześciu poprzednich tygodni jedynie to potrafiliśmy robić. Cóż, przynajmniej Gotka i ja. Naszą specjalnością stało się szydzenie z Jillian i Connora, kiedy oni próbowali poważnie porozmawiać. Jednak nikt nie chciał podważać mojej decyzji co do pojazdu. Dostałem w odpowiedzi jedynie zblazowane wzruszenie ramion.

Dodałem więc:

– Planuję również całą trasę i decyduję, gdzie się zatrzymujemy.

Tak, mam świra na punkcie kontroli, pozwijcie mnie za to.

Kiedy siedzieliśmy w kółku, Connor ostrożnie uniósł rękę. Ten gest podpowiedział mi, że chłopak może chcieć zaprotestować.

– Eee, Christopherze, sądzisz, że moglibyśmy zatrzymywać się podczas całej podróży na kempingach?

– Dlaczego? – zapytałem zaskoczony.

Rodzice Connora bez wahania zgodzili się na tę wyprawę, choć do

osiemnastki brakowało mu jeszcze kilku miesięcy. Dzieciak umierał, więc zgadzali się na każdy jego kaprys. Mieli także sporo kasy i stwierdzili, że jeśli zechce, może spać w pięciogwiazdkowych hotelach.

– Ponieważ nigdy wcześniej nie korzystałem z kempingu – odparł z zawstydzonym uśmiechem. – Nasze rodzinne wakacje były zawsze nieco bardziej wyrafinowane. A kemping jest na mojej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią.

Parsknąłem śmiechem, ale natychmiast poddałem się życzeniu młodego. Cała ta wyprawa miała na celu uszczęśliwić umierającego Connora. Na szczycie tej jego listy znajdowała się wyprawa przez Stany i zobaczenie Zachodniego Wybrzeża. Okazuje się, że ja również lubię kempingi. To jedna z niewielu rzeczy, za jakimi tęsknię, nie mieszkając już w Wirginii.

– W takim razie przez całą drogę będziemy sypiać na kempingach – stwierdziłem, patrząc na wszystkich członków grupy po kolei, nakłaniając ich spojrzaniem, by się sprzeciwili.

Gotka powiedziała:

– Nie mam zamiaru srać w lesie.

– Luzik – odparłem ze spokojem, jaki tylko udało mi się z siebie wykrzesać.

– Na kempingach są łazienki i prysznice.

W efekcie postanowiliśmy spędzić kilka nocy na kempingach, a resztę w hotelach.

Słońce znajduje się nisko na niebie, gdy wjeżdżamy na Kemping Bluegrass. Staję przy recepcji, zaraz za główną bramą. Staram się za bardzo nie kuśtykać, gdy wchodzę do środka, aby zarezerwować miejsce. Choć nigdy nie próbowałem ukrywać swojej niepełnosprawności, nie mogę się płynnie poruszać i wciąż czuję się, jak nie w pełni wartościowy człowiek. Długie godziny spędzone za kółkiem sprawiły, że zeszywniałem, dlatego nie mogę nic poradzić na to, iż kilka moich pierwszych kroków jest chwiejnych, nim wszystkie mięśnie i łóżyska zaczną działać.

Płacę dodatkową dychę za miejsce przy jeziorze w kształcie litery „S”, znajdującym się na środku pola namiotowego. Gdy wracam za kierownicę, informuję resztę, ile są mi winni, wliczając w to zakupy, za które również zapłaciłem, nim tu przyjechaliliśmy. Kolejne pięć minut zajmuje przejazd suburbanem na miejsce, by cała ekipa mogła zobaczyć bulgoczącą wodę opływającą kamienie i gnijące pnie drzew na brzegu.

To nasza pierwsza noc, zakończenie pierwszego dnia podróży. Jechaliśmy dzisiaj dziewięć godzin, czyli dotarcie do celu w takim tempie powinno zająć nam jeszcze ze trzy dni. Dam Connorowi zerknąć na Pacyfik, po czym wrócę na wschód, by uwolnić się od tych dziwaków.

Wyciągam rzeczy z bagażnika. Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy spakowali niewielkie torby, tak jak sugerowałem. Kiedy wczesnie rano pojechałem po Connora, jego ojciec podał mi sporą, wyglądającą na zupełnie nową, torbę z namiotem. Chłopak z zaczerwienionymi policzkami przyznał:

– Nie miałem namiotu, więc tata mi kupił. Jest dość duży, więc Jillian może ze mną mieszkać, skoro nie ma własnego.

Wzruszyłem ramionami, bo miałem w dupie, kto gdzie będzie spał. Nie obeszło mnie nawet to, że Gotka stwierdziła, iż zajmie tylną kanapę mojego suburbana. Miałem gdzieś również to, że dziewczyna zabrała tylko poduszkę, gdy odbierałem ją z mieszkania.

W tej chwili wszyscy stoją w rzędzie, by zabrać swoje rzeczy. Rzucam na ziemię torbę z wielkim namiotem Connora, następnie mówię szorstko, wskazując pewne miejsce:

– Weź to tam, za chwilę pomogę ci go rozłożyć.

Podaję mu jego bagaż – wysokiej jakości torbę, w której zapewne są ubrania i lekarstwa. Wręczam mu również zwinięty śpiwór, zupełnie jak namiot pachnący nowością. Gotka bierze ode mnie spory plecak, cały ozdobiony naszywkami z hasłami typu: „Kwas – najlepszy odłot” i „Możesz mi skoczyć, suko”. Podaję jej także zawiązaną poszewkę, którą wrzuciła rano do bagażnika. Ta powłoczka wydaje się wypchana ubraniami. Dziewczyna mamrocze coś pod nosem, ale z pewnością mi nie dziękuje. Właściwie wydawało mi się, że usłyszałem „kretyn”, ale mam to gdzieś.

I w końcu Jillian, wpatrująca się we mnie tymi swoimi ładnymi niebieskimi ślepkami, które w tej chwili mają barwę ciemnego jeansu, ponieważ słońce zachodzi za jej plecami, a jego promienie nie padają wprost na jej twarz. Pospiesznie odwracam się do niej plecami, gdyż obawiam się, że nie będę w stanie zerwać kontaktu wzrokowego, i wyciągam jej śpiwór. W przeciwieństwie do poprzedniego ten wydaje się być często używany. Nie uznałbym Jillian za taką, która lubi biwakowanie, lecz natychmiast pozbywam się tej myśli z głowy. Mam gdzieś, jaka jest jej historia.

– Dziękuję – mówi słodko, gdy podaję jej śpiwór. Ignoruję ją jednak i odwracam się, by wyciągnąć jej podłużną, różowo-czarną torbę.

– Christopherze – mówi zza moich pleców miękko, tajemniczym głosem. Brzmi niemal na zakłopotaną.

– Co? – pryham, gdy ponownie się do niej obracam.

– Eee... chyba zostawiłam portfel w domu – przyznaje, zwieszając głowę i patrząc na swoją stopę, którą kopie trawę. I tak, stopy też ma ładne. Włożyła klapki z kryształkami na paskach, a paznokcie u nóg pomalowała jasnoróżowym lakierem. – I, ee, nie mam przy sobie żadnej gotówki.

– Jaja sobie robisz? – pytam, nie kryjąc zdumienia, ponieważ dziewczyna

wykazała się kolosalną głupotą.

Odpowiada zawstydzonym uśmiechem.

– Przepraszam. Zazwyczaj jestem zorganizowana. Położyłam portfel na łóżku wraz z innymi rzeczami do spakowania i... nie wiem, musiałam go pominąć czy coś. Zwrócę ci za benzynę i całą resztę, jak tylko wrócę do domu, dobrze?

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś od razu, gdy zorientowałaś się, że go nie masz? Mogliśmy zawrócić.

Nie patrzy mi w twarz.

– Nie wiedziałam, że go nie zabrałam, póki nie było za późno.

– Chwila – mówię, mrużąc oczy, przypominając sobie nasze przystanki w drodze z Karoliny Północnej do Kentucky. – Jadłaś coś dzisiaj?

Pamiętam, że nie zamówiła niczego na śniadanie, kiedy stanęliśmy w McDonaldzie po kilku godzinach naszej podróży. Nie kupiła też niczego na stacji benzynowej, gdzie naskoczyła na mnie za nazywanie Connora Martwym Dzieciakiem, choć wszyscy zaopatrzyli się w kanapki i jakieś chipsy. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz sobie przypominam.

– Jadłaś? – pytam ponownie. – W ogóle?

Kręci głową, następnie szybko wyjaśnia:

– Nie jestem głodna. Spakowałam w domu batoniki proteinowe i przekąski.

– I co? – drwię. – Planujesz je sobie porcjować przez całą wycieczkę?

Jej policzki oblewają się rumieńcem, gdy syczy przez zęby:

– Nie.

Unoszę brew.

– Dobra... Nie postanowiłam jeszcze, co zrobię, ale niewiele mi trzeba do przeżycia. Jakoś sobie poradzę.

– Jezu Chryste, ale z ciebie sierota – mówię, obracając się i chwytając jej bagaż. Mało delikatnie podaję jej różową torbę, przez co dziewczyna patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek. Nie pozbywam się rozdrażnienia z głosu, gdy mówię: – Opłacę twoje wydatki. Zapisuj, ile jesteś mi winna, by oddać po powrocie.

Kiwa z wahaniem głową, a ja mijam ją, nim zdoła mi podziękować. Szczerze mówiąc, w tej chwili nie jestem w stanie przyjąć od niej słów wdzięczności.

ROZDZIAŁ 5

Nie będąc już dzieckiem, stojąc na progu dorosłości, Connor cierpi na mięśniakomięsaka prązkowanokomórkowego. Trzykrotnie musiał powtarzać tę nazwę, byśmy wreszcie załapali. Choroba zaczęła się od guza w rękę. Chłopak przeszedł operację, chemioterapię i radiację, jednak nowotwór powrócił z jeszcze większą siłą i przerzuty rozprzestrzeniły się po całym ciele.

Młody już pierwszego dnia terapii grupowej niezłe to podsumował:

– Lekarze nie mogą go wytepić, choć są jednak dobrej myśli i twierdzą, że pozostało mi jakieś pół roku życia.

Dlatego nadałem mu przydomek „Martwy Dzieciak”.

Przez cały czas muszę powtarzać sobie w myślach jego prawdziwe imię, bojąc się, że nieumyślnie nazwę go tą pieszczotliwą ksywką, za co zarobię od Jillian kolejną reprimendę podszytą litością zamiast uogólnionym niesmakiem. Stawiam namiot młodego – budowla jest wielkości Taj Mahal – a on przygląda się temu zaciekawiony. Podejrzewam, że jutro wieczorem sam spróbuje go ustawić.

Popijając piwo, przygotowuję również ognisko, obok stawiam kuchenkę z niewielką butlą gazową, by przyrządzić prosty posiłek składający się z hot-dogów, pieczonych ziemniaków i cebuli. Gotka znika w lesie, zapewne aby zapalić trawkę, reszta usadawia się przy ogniu. Na twarzy Connora rozciąga się uśmiech szeroki na milę, chłopak nie potrafi pohamować radości z powodu nocowania na łonie natury, jedzenia przygotowywanego na ognisku butli gazowej i spędzania czasu z innymi wyrzutkami przy ognisku, gdy niebo zmienia barwę na wspaniałą pomarańczowo-różową, a słońce zaczyna znikać za horyzontem na zachodzie.

Jemy w ciszy, głównie dlatego, że wszyscy umieramy z głodu – a zwłaszcza Gotka, która w końcu wróciła z lasu. Dziewczyna pochłania też pół paczki chipsów, co zapewne jest skutkiem gastrofazy. Jillian nalega na umycie naczyń w misce, którą kupiłem w sklepie z przyborami kuchennymi.

Niebo jest już atramentowe i zasnuwają je chmury, przez co nie widać gwiazd. Robi się późno, jednak nikt nie jest zainteresowany schowaniem się w śpiworze, by iść spać. Rozkoszujący się ogniskiem Connor gada z Jillian jak najęty. Rozmowa toczy się głównie na temat literatury, ponieważ oboje uwielbiają twórczość Hermana Melville'a. Palę papierosa, przysłuchując się ich dialogowi. Gotka również słucha, jednak nie tak uważnie. Dziewczyna leży na stole piknikowym z głową na swoim plecaku, wpatrując się w nocne niebo. Kiedy wydaje mi się, że nie zniosę już ani minuty paplania o *Moby Dicku*, uświadamiając sobie jednocześnie, że Jillian w blasku płomieni ogniska wygląda jeszcze piękniej, biorę torbę i idę w kierunku parterowego budynku, w którym mieszczą się prysznice i toalety podzielone na męskie i damskie.

Idę się odlać, myję zęby, a następnie biorę szybki prysznic. Czuję się tu niepewnie, biorąc pod uwagę brak uchwytów poręczy dla niepełnosprawnych. Odczepiłem protezę i oparłem ją o ścianę na tyle daleko od strumienia wody, by nie zmokła, ale nadal móc po nią sięgnąć. Próbuje się umyć, jedną ręką przytrzymując się ściany, a drugą mydląc ciało.

Do czasu mojego powrotu do obozowiska ogień zdążył przygasnąć. Zauważam też, że Connor mówi coraz cichszym głosem. Przygotowuję się do skarcenia ich za niedokładanie do ogniska, ale w tej samej chwili chłopak pochyła się, bierze kilka szczap z wiązki, którą kupiłem w recepcji, gdy się meldowaliśmy, i układa je na środku ogniska, dzięki czemu płomienie natychmiast wzrastają.

Wrzucam torbę na tylne siedzenie suburbana, wydaję kolejne piwo ze znajdującej się w nim niewielkiej lodówki turystycznej i podchodzę do składanego płóciennego krzesła, by zająć miejsce obok Connora, a naprzeciw Jillian.

Kiedy siadam, słyszę, że chłopak mówi, śmiejąc się oschle:

– ...zaczęliśmy więc chodzić w niedziele do kościoła. Rodzice siadali w ławkach ze wzrokiem wbitym w ołtarz, ze złożonymi rękami i modlili się żarliwie o cud. – Kaszle lekko. Ochryplym głosem dodaje: – Modlili się, żebym nie umarł.

Mam ochotę przewrócić oczami i poinformować młodego, że modły nigdy nic nie dają. Chciałbym, żeby przekazał starym, że są głupi i lepiej, by przeznaczili cenny czas niedzielnych poranków, jaki mogą jeszcze spędzić z synem, na robienie czegoś fajnego i znaczącego. Chciałbym złapać ich za ramiona, spojrzeć im prosto w oczy i powiedzieć, że z własnego doświadczenia wiem, iż nie ma żadnego Boga. Nikt nie siedzi w chmurach nad naszymi głowami, w niebie, w atmosferze. Chcę ich poinformować, że jest tam tylko pusta przestrzeń, a nie żadne wszechwiedzące bóstwo, które kocha wszystkich biednych, bezwartościowych ludzi zamieszkujących Ziemię.

Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy sami. Nie potrafię zliczyć chwil, kiedy błagałem Boga, by zmniejszył moje cierpienie, jednak ból się jedynie nasilał.

Albo prosiłem, by pozwolił mi umrzeć, mimo to moje ciało nie chciało się poddać. Tak wiele miesięcy agonii. Doznawałem dręczącego bólu, gdy lekarze próbowali naprawić moją strzaskaną nogę. Brutalnego, okrutnego, niekończącego się cierpienia, gdy wdała się infekcja i zakaziła otwarte rany, przez co musieli wyciąć skórę i mięśnie z nadzieją, że przestaną gnić, jednak na nic się to nie zdało. Wariowałem od bólu. Krzychałem, czasami nawet sikałem pod siebie, aż w końcu zacząłem błagać lekarzy, by amputowali mi nogę.

Tak... moja prośba została spełniona.

Bóg mnie nie wysłuchał, ale lekarze już tak.

– Wielu ludzi zwraca się do Boga w kryzysowych momentach. Niektórzy odnajdują w nim pociechę – mówi Jillian chłopakowi, zgadzając się z daremnymi wysiłkami jego rodziców. Gotka ignoruje nas, nadal wpatrzona w nocne niebo. ~~Martwy Dzieciak~~ Connor kiwa głową, dając znać, że rozumie.

Ja jednak parskam drwiąco. Głośno, obraźliwie, aby nikt z tej żalösnej grupy nie miał wątpliwości, że uważam to za śmieszne.

– Powiedz rodzicom, że Bóg nie istnieje – mówię chłopakowi, patrząc mu prosto w oczy. – On cię nie ocali.

Trzymam wzrok wbity w jego twarz, odmawiając mu choćby cienia empatii, ponieważ nie ma we mnie takowej.

Wszelaka zniknęła.

– Nie mów tak – mówi Jillian. Jej miękki głos płynie łagodnie przez trzaskający ogień. Nie chcę na nią patrzeć, bo mógłbym się cholernie wkurzyć na widok spojrzenia pełnego litości i pobłażliwości.

Jednak prawie spadam z krzesła, gdy Jillian Martel pokazuje mi oblicze, jakiego do tej pory u niej nie widziałem. Zamiast obsypywać mnie jakimś optymistycznym głównem daje mi niezły wycisk.

– Kim ty u diabła jesteś, by oceniać postępowanie rodziny Connora? – niemal krzyczy, mrużąc oczy. Zastanawiam się, ile musiała włożyć w to siły, by zmusić porażone mięśnie powiek do przymknięcia. – Kto dał ci do tego prawo?

Kątem oka widzę, że Gotka podniosła się do pozycji siedzącej i wpatruje się ze zdziwieniem w Jillian.

Otwieram usta, by zrobić jej wykład na temat wolności słowa, ale ona jeszcze nie skończyła.

– Być może zostałeś poważnie ranny, naprawdę przykro mi z tego powodu, ale to wcale cię nie uprawnia do wyżywania się na innych. Mogę się założyć, że gdybyś poświęcił tyle samo czasu, ile spędzasz na zgłębianie negatywów, na poszukiwanie pozytywów, czułbyś się ze sobą o wiele lepiej. Ale ponieważ zdaje się, że lubisz być palantem, co dobrze pasuje do postawy zgorzkniałego, rannego na froncie żołnierza, który czuje się przez wszystkich zdradzony, wciąż to ciągniesz. Zgaduję, że nie masz w sobie na tyle honoru ani męstwa, by spróbować

stać się lepszym człowiekiem, niż jesteś teraz. To naprawdę żalosne.

– Cholera – mówi drwiąco Gotka. – Ale ci dołożyła.

Czuję, jak para leci mi z uszu, gdy wrze we mnie nie tylko gniew, ale i wstyd. Ostatnia osoba, która się w ten sposób do mnie odezwała, skończyła w szpitalu ze złamaną żuchwą, a ja zostałem skazany na grupę wsparcia, by uniknąć więzienia. W tej chwili nie mogę przywalić Jillian, bo nigdy nie uderzyłem kobiety, jednak mój język jest ostrzejszy, niż jej kiedykolwiek będzie. Mam zamiar wycisnąć łzy z tych pięknych, sennych oczu.

Otwieram usta, by ją zwyżać, kiedy odzywa się Connor:

– Wiem, skąd się to u niego bierze. – Patrzy skruszony na Jillian, ponieważ nie zgadza się z jej zdaniem, i dodaje: – Bez obrazy, ale chodzi mi o to... że go rozumiem. Christopher stracił nogę, prawdopodobnie był bliski śmierci. Ty tracisz wzrok i nic nie można zrobić, by to powstrzymać. Ja umieram i nie mogę zostać wyleczony. Jeśli Bóg istnieje, dlaczego pozwala, by coś takiego przytrafiło się ludziom? Rozumiem i szanuję pesymizm Christophera.

– Hej, młody – pryham, nawet jeśli czuję, że odebrał mi nieco pewności siebie, ponieważ celnie trafił w punkt. – Nie potrzebuję, żebyś mnie bronił.

– Nie bronię cię – przyznaje, patrząc na mnie oschle. – Jillian ma rację... Jesteś dupkiem, ale stwierdzam tylko, że rozumiem, o co ci chodziło.

– Jednak nie powinieneś być dupkiem dla nas – zwraca się do mnie miękko Jillian.

Wiem, że jestem dupkiem. Choć wcześniej lubiłem nim być, jej łagodny komentarz trafia mnie prosto w serce. Kobieta nie piorunuje mnie już spojrzeniem, a jej głos znów jest delikatny. Niemal jakby błagała, bym rozważył jej słowa.

– Powinieneś być miłszy. Jesteśmy tu, by sobie pomagać, i musimy spędzić razem kilka następnych dni. Powinieneś być miłszy, bo i tak z nami utknąłeś, więc równie dobrze możesz coś z siebie dać – kontynuuje Jillian.

– Ale on przecież nie chce tu być – wcina się Gotka, dlatego wszyscy obracamy się, by na nią spojrzeć, zdziwieni, że ma coś do powiedzenia. – Bycie zmuszonym do robienia czegoś wbrew własnej woli sprawia, że człowiek staje się gburowaty.

– Chamski – zgadzam się, ponieważ ona również czasami taka jest.

– Tak – potwierdza, nim pokazuje mi środkowy palec, przypominając, że nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Nikt nie jest tutaj wbrew swojej woli – zauważa pragmatycznie Jillian. Patrzy na każdego z nas, nawiązując kontakt wzrokowy, choć wciąż przeszkadza jej w tym senne, wywołane chorobą, spojrzenie.

– Nie zgadzam się. Nie jestem tu z własnego wyboru – mówię, rozsiadając się na krześle.

– Ściśle rzecz biorąc, jesteś – informuje mnie Gotka, obracając się na stole

piknikowym, by umieścić nogi na ławce.

– Nieprawda – odpowiadam znudzonym głosem. – Sądzę, że mnie zmusił.

– Nie – spiera się stanowczo, przez co mimowolnie rodzi się we mnie minimalny szacunek do niej, ponieważ jest pyskata i potrafi mi się przeciwstawić, a także wyklócać się, używając logicznych argumentów. – Jestem pewna, że dano ci możliwość wyboru i zdecydowałeś dołączyć do grupy, a także pojechać w tę podróż.

– No tak – odpowiadam, wzruszając nonszalancko ramionami. – Jeśli tak to ujmujesz, to tak... Zgodziłem się na terapię w zamian za wolność, ale...

– I przypominam sobie rozmowę sprzed tygodnia... Powiedziałaś wtedy, że nie masz nic do zaoferowania – rzuca z wysoko uniesioną głową. – Gdy próbowaliśmy dopracować szczegóły tej podróży, stwierdziłaś właściwie, żeby zostawić cię w pieprzonym spokoju, jednak wydaje mi się, że w tej chwili masz sporo do powiedzenia.

– Mags to przewidziała – informuje gładkim głosem Jillian, dlatego przenoszę wzrok na nią, próbując nie dać się zwieść światłom i cieniom tańczącym za sprawą ognia na jej twarzy. – Mówiła, że nauczymy się czegoś od siebie nawzajem, ponieważ okoliczności będą wyjątkowe. Stwierdziła, że im więcej spędzimy ze sobą czasu, tym wyraźniej zobaczymy to, co nas łączy, a to posłuży nam do czerpania siły od siebie nawzajem.

– Nic nas ze sobą nie łączy – drwię wciąż wkurzony na to, że któraś z tych popieprzonych osób mogłaby chcieć przyrównać swoje nieszczęście do mojego.

I nie... Przysięgam, iż nie mam najmniejszej ochoty pocałować w tej chwili Jillian, dlatego że wygląda tak cholernie idealnie, siedząc po drugiej stronie ogniska, nawet jeśli mówi rzeczy, ~~których nie chcę słyszeć~~ które dla niej zapewne mają sens.

– Mylisz się – mówi do mnie Gotka. Każdy wydaje się zaskoczony wyrażoną przez nią opinią. – Istnieje coś, co łączy nas wszystkich.

– Tak? A cóż to takiego? – pytam, a mój ton ocieka sarkazmem.

Patrzy mi prosto w twarz. Przez ułamek sekundy nie dostrzegam iskrzącego się gniewu, który nieustannie wrze pod powierzchnią jej ziemiście zielonych oczu. Zamiast tego ma zmęczone, stare, mądre spojrzenie.

Tak mądre, że zmuszony jestem jej posłuchać, choć nie zamierzam mówić o tym jej ani któremukolwiek z tych świrów.

– Każdy z nas... – zaczyna Gotka, machając ręką w stronę ogniska. – Każdy z nas nienawidzi swojego życia. Jest ono dla nas ciężarem. Jest niesprawiedliwe. Składa się jedynie z bólu i nieszczęść. Wkurza nas, że to akurat my musimy się męczyć. Może nie cierpimy na takim samym poziomie i nie z tych samych powodów, ale to niezaprzeczalny związek, który nas ze sobą spaja.

Czekam, by jej słowa spłynęły po mnie jak po kaczce, a na mojej twarzy

pojawił się zwyczajowy kpiący uśmieszek. Zamiast tego jej argumenty uderzają we mnie z mocą wyrzutni rakiet. Właściwie niosą ze sobą dźwięk znajomej prawdy. Wiem, że podsycam w sobie gniew i gorycz, widząc, jak świetnie radzą sobie inni. Mam ochotę przywalić im w te promienne buźki i sprowadzić do mojego poziomu, gdzie będą mogli wraz ze mną nurzać się w rozpacz. Chciałbym, by wszyscy czuli się tak źle jak ja, ponieważ to niesprawiedliwe, że nie potrafię poczuć się lepiej.

Może więc Gotka ma trochę racji.

Choć wydaje mi się, że nie dotyczy to Jillian, która nie nienawidzi życia, tak jak reszta.

Podrywam się z krzesła i nieco zataczam, próbując zachować równowagę.

– To było pouczające, Doktorze Phil. Może powinnaś postarać się o pracę w centrum leczenia depresji. Jestem pewien, że twoja gadatliwa natura będzie dla innych wzorem.

Nie odpowiada. Siedzi zgarbiona, wpatrując się we własne paznokcie, co oznacza, że ona również skończyła rozmawiać na ten temat.

No i dobrze.

Przechodzę obok niej w drodze do suburbana, bo muszę zażyć leki, które mam w aucie. Po drodze udaję, że nie czuję na sobie wzroku Jillian, wypalającego mi dziurę w plecach.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy wracam z łazienki do naszego obozowiska, uświadamiam sobie, że nie jestem tak marudny, jak zakładałem, biorąc pod uwagę fakt, że nie spałem za dobrze. Nie miało to nic wspólnego z samym kempingiem. Mam dobry namiot, przyzwoity śpiwór i miejsce na ziemi. W nocy było trochę duszno, więc nie zamknąłem szczelnie wszystkich zamków, by był jakiś przewiew. Niestety wraz z powietrzem docierały do mnie dźwięki, które zostałyby nieco stłumione, gdybym porządnie zapiął klapy.

Nie wyspałem się, ponieważ Jillian rozmawiała z Connorem jeszcze długo po tym, jak udali się na spoczynek do namiotu. Kiedy go rozkładałem, zauważyłem, że miał trzy wydzielone materiałem przestrzenie, jednak składając go rano, dotarło do mnie, że Jillian i Connor ułożyli śpiwory obok siebie na środku.

I nie, nie pomyślałem, że chodziło o jakieś bara-bara. Już na pierwszym spotkaniu terapii grupowej Jillian zadeklarowała się jako „starsza siostra” chłopaka i stała się dla niego swego rodzaju opiekunką. Zawsze go broniła, gdy ja albo Barb docinaliśmy mu przy tych kilku rzadkich okazjach, gdy w ogóle się odzywaliśmy.

Nawiasem mówiąc, rano przyszło mi do głowy, że powinienem nazywać Gotkę jej prawdziwym imieniem, by uniknąć świętego oburzenia ze strony Jillian. Instynkt samozachowawczy i takie tam.

Wczorajszej nocy przysłuchiwałem się, jak dziewczyna rozmawiała z Connorem o wszystkim, począwszy od muzyki, poprzez filmy, na polityce kończąc. Poruszyli nawet temat zbliżającej się śmierci młodego, który mówił zupełnie innym tonem niż zazwyczaj, ponieważ całkowicie otworzył się przed Jillian. Podejrzewam więc, że w grupie przywdziewa maskę człowieka odważnego, bo jest facetem, a faceci nie chcą wyglądać na słabych. Jednak w nocy nie silił się na sztuczność.

– Mam obsesję na punkcie każdego nowego symptomu – powiedział jej, gdy zapytała, jak się miewa. – Obawiam się, że oznacza koniec czy coś takiego.

Czasami nie mogę spać, ponieważ dręczy mnie coś tak głupiego jak zwykły katar.

Gdyby to mnie się do tego przyznał, powiedziałbym, by wziął się w garść i nie jęczał, bo tylko to mi powtarzano, odkąd straciłem nogę. Jednak Jillian ma znacznie więcej empatii ode mnie, więc go pocieszała.

– Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz – odpowiedziała cicho. – Obawa przed nieznanym jest według mnie jednym z najgorszych lęków.

– Strach zabiera pozostały mi czas na zabawę – dodał młody. Jego głos przepływał przez materiał namiotu z zaskakującą szorstkością, przez co niemal uśmiechnąłem się w ciemności z powodu jego wyraźnej determinacji. – Nie lubię być kontrolowany w ten sposób.

Jillian zaśmiała się miękko. Odniosłem wrażenie, że poczochnęła go po włosach, gdyby jakieś miał.

– Nie pozwól więc, by ograniczały cię emocje. Odczuwasz je, ale masz też świadomość, czym są. Docień ich wartość, po czym odsuń je od siebie. Skup się na kolejnej rzeczy, której chcesz dokonać.

Cholera, ta kobieta mówiła o tym tak, jakby to było naprawdę łatwe. Nie pierwszy raz usłyszałem podobne słowa. Miałem terapeutę, który pragnąc mnie pocieszyć, powtarzał z wielką ostrożnością, że mogę być zły, mogę nienawidzić życia, ale pewnego dnia wszystko się polepszy. Drwiłem ze wszystkich, którzy ośmielili się wygłaszać takie opinie, choć sami byli zdrowi i szczęśliwi.

Ale Jillian nie jest ani zdrowa, ani szczęśliwa. Jest delikatna, krucha i zaczyna tracić wzrok.

Mimo to ma w sobie niegasnący optymizm, który wydaje się niemożliwie realny.

Bezwstydnie podsłuchiwałem całą ich rozmowę głównie dlatego, że nie mogłem spać i odciągnęła ona moje myśli od własnych problemów. Jednak również dlatego, że lubię słuchać głosu Jillian. Próbowałem skupić się na jego barwie zamiast na słowach padających w tej dyskusji. Zasnąłem w końcu ukołyszany nim do snu.

Rankiem Jillian i Connor siedzą po przeciwnych stronach stołu piknikowego. Barb zajmuje tylną kanapę suburbańską, którego drzwi są otwarte. Dziewczyna leży na boku i skubie lakier z paznokci, pochylając głowę i trzymając nogi na listwie pod drzwiami.

Jillian posyła mi olśniewający uśmiech, co jest dla mnie zaskakujące, biorąc pod uwagę fakt, że wieczorem byłem dla niej chamski.

– Dzień dobry. Wyspany?

– Tak. – Kłamstwo przychodzi mi z łatwością. Nie mam zamiaru informować jej, że podsłuchiwałem ich nocną rozmowę. Podchodzę do lodówki,

wyciągam karton jajek i paczkę boczku, kupione przeze mnie wczoraj.

– Mogę pomóc przy śniadaniu? – pyta, wstając.

– Jasne. – Podaję jej jajka i boczek. – Nie krępuj się.

Siadam na ławce, którą właśnie zwolniła, czekając na to, co zrobi.

Nie zaskakuje mnie tym, że uśmiecha się do mnie serdecznie i odwraca, by przygotować kuchenkę stojącą na podręcznym rozkładanym stoliku. Pochyla się i kręci gałką w lewo, jednocześnie wciskając guzik inicjujący iskrę.

Ale nic się nie dzieje.

Przyglądam się, jak wciska go jeszcze kilkakrotnie, nim z powrotem przekręca kurek w prawo. Patrzy na mnie, pytająco unosząc brwi.

– Co robię źle?

– Najpierw odkręć gaz – instruuję.

– Kurczę – mamrocze pod nosem, odkręcając niewielką butlę zgodnie z moim poleceniem. Chwilę później uruchamia kuchenkę i stawia stary, obity garnek kempingowy na niebieskim płomieniu.

– Jaki jest nasz dzisiejszy cel? Dokąd się udamy? – pyta Connor, patrząc na mnie, ponieważ to ja planuję trasę wycieczki.

– Do Kansas City w Missouri – mówię, wpatrując się w przygotowującą posiłek Jillian. Kobieta wydaje się pewna tego, co robi, dlatego nie martwię się o śniadanie. – Pomyślałem, że moglibyśmy pójść na mecz baseballowy Royalsów.

– Serio? – dopytuje przejęty chłopak, wytrzeszczając mocno oczy, jakbym podsunął mu lekarstwo na raka czy coś w tym stylu. – Obejrzenie pierwszoligowego meczu baseballowego też jest na moje liście, chociaż gdzieś pod koniec.

– Naprawdę masz listę rzeczy, które chcesz zrobić przed śmiercią? – pytam, ponieważ kiedy byłem w szpitalu i znajdowałem się na krawędzi zaświatów, zastanawiałem się, czy takowej nie sporządzić. Podczas kilku chwil słabości obiecywałem sobie, że jeśli przetrwam, dokonam wspaniałych, wielkich rzeczy, takich jak podróżowanie po świecie, wspinanie się na największe góry i podobne głupoty. Te rozważania okazały się jedynie znaczną stratą energii.

– Zawsze ją miałem, nawet zanim dowiedziałem się, że choruję na raka. – Rzucam okiem na Jillian, zauważając, że uważnie się nam przysłuchuje. – Chociaż po tym, jak czwarta chemioterapia okazała się nieskuteczna, lista uległa znacznemu skróceniu.

To pierwszy raz, kiedy rozmawiam z Connorem o jego zbliżającej się śmierci, ale nie jest to tak niezręczne, jak się tego spodziewałem. Nigdy mu tego nie powiem, ale jestem pod wrażeniem jego dojrzałości i taktu, biorąc pod uwagę fakt, że nie jest jeszcze dorosły.

– Co jeszcze znajduje się na twojej liście? – pyta Jillian, przerzucając boczek na patelni. Zerkam na Barb, która uniosła głowę, przysłuchując się rozmowie, choć

jej wyraz twarzy jest znudzony.

– Niech sobie przypomnę – mówi chłopak. – Oczywiście zobaczenie Pacyfiku, co widnieje na samym szczycie listy. Właśnie w tym celu podróżuję przez kraj. Chciałbym też zjeść coś naprawdę nietypowego, na przykład krowi język, i zrobić coś naprawdę przerażającego... jak skok na bungee lub ze spadochronem.

Jillian śmieje się promiennie.

– Jestem pewna, że damy radę zaliczyć te rzeczy po drodze. W większych miastach restauracje podają dziwaczne potrawy, a Google zapewne podpowiedziałby nam, gdzie mógłbyś skoczyć ze spadochronem w tandemie.

– Zrobiłbym to z tobą – dodaje, bo uwielbiam skakać ze spadochronem. Bungee odpada z powodu protezy. Nie znoszę jej odpinać i straszyć ludzi.

– Co jest jeszcze na tej liście? – dopytuje Jillian, wciąż smażąc boczek, który brązowieje i staje się chrupiący. Uwielbiam chrupiący boczek i muszę przyznać, iż cieszę się, że Jillian nie spieszy się z jego przyrządzeniem.

– Hm – mruczy w zamyśleniu Connor, kładąc podbródek na dłoni. Jego oczy natychmiast rozświetlają się łobuzerskim blaskiem. – Zawsze chciałem... porzucić jajkami.

– Jajkami? – pyta zaciekawiona Jillian.

– Tak, no wiesz, iść ulicą i rzucać jajkami w domy – wyjaśnia, siadając prosto i patrząc na mnie. – Robiłeś to już kiedyś?

– Tak – odpowiadam. – Tam, skąd pochodzę, to pewnego rodzaju rytuał.

– Naprawdę rzucałeś jajkami w domy innych ludzi? – docieka z niedowierzaniem Jillian.

– Nigdy o tym nie słyszałaś? – pytam zaskoczony jej niewiedzą w tym temacie.

– Nie – odpowiada z pogardą. – To okropne i podłe.

– To zabawa dla dzieci – upieram się.

– Ale Connor nie jest już dzieckiem – mówi, po matczynemu patrząc na chłopaka, który się do niej uśmiecha.

– Daj spokój, Jillian. Umieram. To tylko jeden z punktów z listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią.

– Skreślimy go z niej – stwierdzam z determinacją, uderzając dłonią w stół. – Wieczorem... po meczu. Zabiorę cię na rzucanie jajkami.

– Ja też chcę – mówi Barb, na którą wszyscy spoglądamy z zaskoczeniem.

Dziewczyna wysiada z suburbana, zamyka drzwi i podchodzi do nas. Ma na sobie podarte, krótkie spodenki moro, czarne glany i biały top na ramiączkach bez biustonosza pod spodem. Sterczą jej sutki, ale zupełnie to na mnie nie działa. Jej buntownicza postawa w najmniejszym stopniu nie jest dla mnie atrakcyjna.

Nie, żebym pogardził lodzikiem. Tego akurat mógłbym zaznać od każdej

kobiety.

Zerkając na Connora, orientuję się, że jego wzrok przykuwa jej klatka piersiowa. Założę się o stówę, że chłopak jest prawiczkim, dlatego zaczynam się zastanawiać, czy utrata dziewictwa również znajduje się na jego liście. Może po drodze moglibyśmy znaleźć mu prostytutkę czy coś w tym stylu.

Barb przechodzi za Connorem i zajmuje miejsce na ławce po jego prawej. Chłopak z powrotem patrzy na Jillian. Dziewczyna przekłada boczek na plastikowy talerz, który nakrywa kawałkiem papierowego ręcznika.

– Ty też musisz to zrobić.

– Rzucac jajkami? – W jej głosie pobrzmiwa całkowita dezaprobaty, jednak na twarzy maluje się niewielki uśmiech.

– Tak! Powinnaś iść z nami. – Dzieciak praktycznie ją błaga.

– Dobra – zgadza się w końcu, wzdychając przeciągle. – Ale nie będę rzucać.

– Wzór cnót wszelakich – mamrocze automatycznie, ale wzdrygam się zaskoczony własnym głosem. Normalnie rzuciłbym tę uwagę pogardliwie, ale w tej chwili zabrzmiała ona wesoło, jakbym się droczył i... Co ja do, chuja, robię?

Czy ja naprawdę uśmiecham się do Jillian, jakbym sobie z nią żartował?

Co jest, kurwa?

– Nie jestem wzorem cnót – odpowiada, piorunując mnie wzrokiem, ale w jej głosie słyszę wesołość. Kobieta nagle zmienia temat: – Lubicie jajecznicę?

Chórem odpowiadamy, że tak. Wszyscy kiwamy głowami, więc Jillian wyciąga plastikową miskę i zaczyna wbijać do niej jajka.

– Co jest na twojej liście, Jillian? – pyta Connor. – No wiesz... zanim stracisz wzrok.

Dziewczyna nie patrzy na nas, skupiając się na swoim zadaniu. Jej spojrzenie i mięśnie twarzy są rozluźnione, chociaż minę ma nieco smutną.

– Chciałabym zobaczyć wspaniałe rzeczy. Cieszę się, że będę mogła obejrzeć zachód słońca nad Pacyfikiem. Przez całe życie widziałam, jak słońce wstaje na wschodzie, ale pragnę też ujrzeć, jak zachodzi za wielką wodą. I wieżę Eiffla. Chciałabym wjechać na jej szczyt i spojrzeć na Paryż. Albo zobaczyć Taj Mahal. Albo zorzę polarną.

– Sądziś, że uda ci się zrealizować którąś z tych rzeczy? – pyta Connor. – Oczywiście poza zachodem słońca.

Jillian kręci głową.

– Nie. Nie mam takich pieniędzy, a poza tym moi... – urywa nagle, dlatego wiem, że niemal podzieliła się z nami czymś osobistym, czego nie chce wyjawiać. Zamiast tego zaskakuje mnie, patrząc prosto na Barb i mówiąc: – Przynajmniej raz chciałabym doświadczyć haju. To również znajduje się na mojej liście. Pragnę to zrobić, zanim oślepnę, ponieważ słyszałam, że odlot może wywołać stany lękowe,

dlatego wolałabym, by nie nastąpiło to wtedy, gdy niczego nie będę widzieć. Wtedy wpadłabym chyba w panikę.

Mimowolnie parskam śmiechem, na co Connor również zaczyna rechotać. Słodka, niewinna, cnotliwa Jillian pragnie zapalić jointa.

Dziewczyna nawet na nas nie patrzy. Zamiast tego nadal trzyma to swoje senne spojrzenie wbite w Barb,

– Mogłabym? Zapalić z tobą?

Słyszę dzwoniący telefon. Jillian wyciąga komórkę z kieszeni jedną ręką, w drugiej wciąż trzymając skorupkę po jajku. Patrzy na ekran, a następnie przełącza rozmówcę na pocztę głosową. Wkłada telefon do tylnej kieszeni i kontynuuje wbijanie jajek do miski. Nie naciska na Barb, nie chcąc dowiedzieć się, czy dziewczyna da jej zapalić. Jednak jeśli tamta nie podzieli się swoim ziołem, ja skołuję coś dla Jillian, by odhaczyć ten punkt na jej liście.

Na chwilę zapada cisza, którą przerywa Barb:

– Chciałabym naszczać na pewien grób niedaleko Tulsy.

Spoglądam na nią z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami, choć zazwyczaj to Jillian tak reaguje.

– To również sprawa z listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią – dodaje.

– Zatem zrobimy i to – mówi z uśmiechem blondynka, kiwając przy tym głową. Odwraca się do mnie, aby spytać o pozwolenie, jednak ton jej wypowiedzi wskazuje, iż dziewczyna z góry zakłada, że się zgodzę. – Możemy dodać to miasto do trasy, prawda, Christopherze?

Szlag by to trafił.

To oznacza dodatkowy dzień tej szalonej wycieczki.

Kolejny dzień, którego nie planowałem spędzić z tymi frajerami, jednak muszę przyznać... Nie jestem tak zły, jakby się mogło wydawać.

ROZDZIAŁ 7

Dwa tygodnie wcześniej...

– Miałam siostrę, ale ona nie żyje – powiedziała cicho Jillian. Connor jęknął z żalem i dotknął jej ramienia. Tych dwoje zżyło się podczas spotkań, co nie jest wcale zaskakujące, skoro to właśnie oni w osiemdziesięciu procentach podtrzymują rozmowę toczącą się w grupie.

Na pozostałe dwadzieścia procent składa się narzekanie moje lub Barb, ponieważ oboje jesteśmy podli, a to jedyny znany nam sposób na radzenie sobie z bólem.

Mags nauczyła się ignorować nasze zachowanie, tak samo jak i Jillian, w przypadku gdy to akurat z niej szydziliśmy. Jednak w chwili, w której ja lub Barb kierowaliśmy swą uwagę na Connora, dziewczyna potrafiła wyciągnąć pazurki i nas podrapać. Oczywiście chłopakowi było wstyd, że nie pozwalała mu bronić się samemu, ale ona wcale tak tego nie postrzegała. Była zbyt zajęta przywracaniem nas do porządku.

– Jak to się stało? – zapytała cicho Mags.

Trzymałem zwieszoną głowę, wpatrując się w płytki na podłodze, ale jednocześnie słuchałem. Zawsze słucham tego, co mówi Jillian, ponieważ wydaje z siebie ten harmonijny, nieziemski, słodki głos, a w dodatku robi to z tym swoim promiennym nastawieniem. W moim świecie nie było dotąd kogoś tak dziwnego, kto by mnie fascynował.

– To stało się niemal pięć lat temu – odparła Jillian, spoglądając na Mags, unosząc rękę i klepiąc Connora po dłoni spoczywającej na jej ramieniu. – Byliśmy na wakacjach na Emerald Isle. Podczas kąpieli w oceanie wciągnął ją prąd strugowy i utonąła.

– Przykro mi – stwierdziła kojąco Mags. – Musiało ci być ciężko.

Spojrzałem na kobietę i zobaczyłem, że kiwnęła głową i uśmiechnęła się

dzielnie.

– Rodzice naprawdę bardzo to przeżyli. Wciąż nie mogą się z tym pogodzić.

– A ty? – naciskała Mags.

Jillian pokręciła pospiesznie głową i powiedziała:

– Oni znieśli to gorzej. To znaczy, kochałam Kelly, byliśmy zżyte, ale ona była ich córką. Rodzic nie powinien tracić swojego dziecka.

Connor pokiwał na to głową.

– Rozumiem – stwierdziła stanowczo Mags. – Ale jak ty poradziłaś sobie z żałobą?

– W ciszy – przyznała blondynka. – Przez większość czasu musiałam wspierać rodziców.

– Niemal jakbyś to ty stała się rodzicem – zauważyła Mags. Barb ziewnęła obok mnie, choć nie wiedziałem, czy była znudzona, czy naćpana, jednak wciąż nie odrywałem spojrzenia od Jillian.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

Connor zabrał rękę z ramienia dziewczyny, ale zauważyłem, że zanim to zrobił, lekko je ścisnął.

– Też czasami muszę się troszczyć o rodziców. No wiecie, robić dobrą minę do złej gry, by nie sądzili, że się boję.

Rodzice mogą się różnie zachowywać.

Wydawało się, że ci Jillian pograżyli się w smutku, z jakim nie potrafili sobie poradzić.

Rodzice Connora, którzy mocno starali się, by ostatnie miesiące życia ich dziecka były w miarę normalne, nieświadomie doprowadzili do tego, że ich syn ukrywał przed nimi swoje prawdziwe emocje, ponieważ chłopak tak bardzo ich kochał.

A moi?

Byli beznadziejni.

Tylko raz odwiedzili mnie w szpitalu, wtedy gdy zostałem przeniesiony z Landstuhl do centrum leczenia w Stanach. Kiedy na mnie spojrzeli, zobaczyłem na ich twarzach czyste przerażenie. Bali się syna będącego na skraju śmierci, z którym nigdy nie byli zbyt blisko. Strach przed tym, że umrę, był równie wyraźny, jak strach przed tym, że przeżyję. Z pewnością widok, jaki zastali, był straszny, te wszystkie rurki wystające z mojego ciała. Zmiażdżoną nogę owinięto mi gazami, które zdążyły już przesiąknąć krwią. Lekarze nie przeprowadzili żadnego zabiegu rekonstruującego, ponieważ nie można ich wykonywać za granicą. Zoperowano mi jednak rękę, by zamknąć rany po stracie dwóch palców. Właśnie w nią wpatrywała się matka. Nie potrafiła spojrzeć na moją nogę czy twarz, ale mogła przyglądać się zabandażowanej dłoni.

Po tej wizycie rodzice już mnie więcej nie odwiedzili.

Nie pojawili się przez całe trzynaście miesięcy mojego pobytu w szpitalu i ośrodku rehabilitacyjnym.

Przysyłali kartki, ale kazałem pielęgniarkom od razu je wyrzucać, nawet ich nie otwierając.

Mój brat Hank odwiedził mnie kilkakrotnie. Powtarzał, że rodzice za mną tęsknią, i wciskał mi każdą możliwą ściemę na temat tego, dlaczego nie przyjechali. Jednak ja wiedziałem, że to wszystko kłamstwa. Oni mnie już wykreślili ze swego życia.

– Barb – powiedziała głośno Mags. Kątem oka zauważyłem, że dziewczyna wzdrygnęła się nieznacznie na krześle, gdy ją wywołano. Przeważnie zostawiano nas w spokoju, ale niekiedy liderka próbowała zachęcić nas do udziału w dyskusji.

– Co sądzisz o takim odwróceniu ról?

– Co? – zapytała agresywnie.

– O sytuacji, kiedy to dziecko musi zaopiekować się rodzicem? – wyjaśniła kobieta.

– Sądzę, że większość ludzi to ćwoki, którzy nie powinni się rozmnażać – stwierdziła drwiącym tonem.

Ciekawe. Mniej więcej takie samo zdanie miałem o własnych rodzicach, choć nie wypowiedziałem go na głos. Wyglądało na to, że z Barb łączy mnie nie tylko miłość do trawki.

– Mówisz z własnego doświadczenia? – zapytała cicho Mags... niemal jakby wyciągała rękę do dzikiego zwierzęcia.

Oczy dziewczyny błysnęły wrogo, gdy odpowiedziała przez zęby:

– Wiesz, że tak.

Podejrzewałem, że to mogła być prawda. Mags miała nasze dane, znała historie, przez które wylądowaliśmy na tej terapii. Orientowała się w naszej przeszłości i czasami wykorzystywała tę wiedzę, by pobudzić nas przy istotnych tematach. Najwyraźniej dziś postanowiła poszturchać kijem niedźwiedzicę.

– Może to rozwiniesz? – zasugerowała śmiało liderka, w ogóle się nie oburzając.

Barb parsknęła śmiechem.

– Co? Myślisz, że jak o tym opowiem, to poczuje się lepiej?

– Być może – podsunęła Mags.

Tym razem dziewczyna zaśmiała się sceptycznie i gniewnie zarazem. Spodziewałem się, że zaraz wyjdzie z sali, jednak ku mojemu zaskoczeniu pochyliła się do przodu i spiorunowała Mags wzrokiem. Odpowiedziała tak cicho, że musiałem się wysilić, by ją usłyszeć, a wściekłość, jaką w niej wyczułem, przyprawiła mnie o gęsią skórkę.

– Dobra – powiedziała dziwnym głosem. – Chcesz, bym opowiedziała, jak

wujek zaczął mnie molestować, gdy miałam jedenaście lat, a skończył, gdy miałam szesnaście? Jak nocą potajemnie zakradał się do mojego pokoju, by skosztować trochę małej Barb? A może powinnam się skupić na rodzicach, ponieważ tego dotyczył pierwotny temat rozmowy, prawda?

Czułem się, jakby ktoś wypompował powietrze z sali. To było najdłuższe zdanie, jakie do tej pory wypowiedziała ta dziewczyna. Zerkając przelotnie na Jillian i Connora, dostrzegłem, że przerażała ich perspektywa dalszego ciągu tej historii. Byłem ciekawy problemów Barb, powodu jej dołączenia do grupy. Jedyne Mags pozostawała spokojna, pokiwała zachęcająco głową.

– Rodzice mnie nie ochronili – wymamrotała Barb z nie mniejszą nienawiścią w głosie. – Nie chcieli dopuścić do siebie myśli, że kochany wujek James mógłby zrobić coś takiego. Mimo wszystko był szanowanym członkiem społeczeństwa. Kiedy więc mi nie uwierzyli, poddałam się całkowicie.

– Jesteś bardzo zła na swoich rodziców – powiedziała Mags, pragnąc pokazać Barb, że nie ma w tym nic złego.

Bez jaj, Dicku Tracy.

– Nie byłam na nich zła – przyznała Barb, jej głos stracił nieco intensywności. – Byłam załamana, zawiedziona i całkowicie osamotniona. Gniew pojawił się później.

– Chciałabyś się tym z nami podzielić? – zapytała Mags, naciskając na dziewczynę, aby ujawniła jeszcze większą niespodziankę niż tę, którą już wyznała.

Barb wzruszyła ramionami, przybierając znudzoną minę. Wiedziałem, co to oznaczało – dziewczyna wznosiła wokół siebie mury. Ku mojemu zaskoczeniu otworzyła jednak usta i odezwała się pustym tonem:

– Pewnego dnia weszłam do kuchni, gdzie mama żartowała z tatą, gotując obiad. Pili wino, uśmiechnęli się na mój widok. Mama zapytała, jak mi minął dzień, a ja prosto z mostu odparłam, że chciałam się zabić. I wiesz, co mi powiedziała?

– Co takiego? – zapytała Mags, naciskając na dokończenie historii.

– Powiedziała, żebym przestała dramatyzować – wydusiła Barb, niemal jakby nie była w stanie uwierzyć, że matka mogła ją tak potraktować. – Wiesz, co wtedy zrobiłam?

Mags pochyliła głowę, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Ta rozmowa przebiegała tak naprawdę pomiędzy nimi dwiema, choć liderka była świadoma obecności pozostałej trójki.

– Wzięłam leżący na blacie nóż, którym mama kroїła wcześniej cebulę, i przyłożyłam sobie do nadgarstka. Chciałam pokazać rodzicom, jak bardzo potrafię dramatyzować.

Mogę to sobie wyobrazić. Wydawało mi się, że nie ma rodziców gorszych niż moi, ale najwyraźniej się myliłem. Moi przynajmniej odsunęli się po cichu,

a rodzice Barb wyśmiali jej problemy.

Głos dziewczyny złagodniał, stał się niemal dziecięcy.

– Mama powiedziała, żebym się nie popisywała i odłożyła nóż. Pamiętam, że z wielkim niedowierzaniem zapytałam: „Nie sądzisz, że naprawdę to zrobię, co?”.

– Barb patrzyła na Mags, ale zwracała się do nas wszystkich: – Mama przewróciła tylko oczami i odparła: „Sądzę, że chcesz jedynie zwrócić na siebie uwagę”. – Dziewczyna roześmiała się, ale nie dlatego, że uważała tę odpowiedź za śmieszną, ale dlatego, iż nie mogła uwierzyć, że jej matka mogła być tak nieczuła dla własnego dziecka, które trzymało przy nadgarstkach nóż.

– Co wtedy zrobiłaś? – zapytała Mags głosem mocniejszym niż zazwyczaj.

Wiedziałem, że kobieta wyczuła, iż Barb traciła zainteresowanie mówieniem o sobie, ale chciała, by dziewczyna dokończyła tę historię.

– Podciąłam sobie pieprzone żyły, zakrwawiając jej piękną, śnieżnobiałą kuchnię – przyznała z radością Barb.

Zdawałem sobie sprawę, że był to dla niej głęboko oczyszczający moment.

Jillian wciągnęła gwałtownie powietrze, a w jej oczach zabłyszczały łzy.

Mags obdarowała Barb zachęcającym uśmiechem, ale dziewczyna skończyła już mówić. Opowiedziała więcej, niż zamierzała, przyznała się do uczuć, które zapewne wolałaby trzymać głęboko pogrzebane.

Czarnowłosa poderwała się z krzesła i wybiegła z sali, trzaskając za sobą drzwiami. Nie wróciła do końca spotkania.

Mags, Jillian i Connor rozmawiali o tym, co usłyszeli, a także próbowali wymyślić, jak pomóc Barb, kiedy ponownie się pojawi. Szybko się wycofałem, ponieważ dziewczyna nie powiedziała niczego, dzięki czemu miałbym ją traktować inaczej. Wciąż była jędzą i tak... miała ku temu powód, ale w ogóle mnie to nie obchodziło. Jak już mówiłem... miałem własne pieprzone problemy.

Jednak zafascynowała mnie jej próba samobójcza. Chciałem ją o to wypytać – spróbować zrozumieć głębię mroku, który w niej tkwił i spowodował, że podjęła taką decyzję.

Sam również nieco o tym myślałem głównie wtedy, kiedy byłem w szpitalu i na rehabilitacji. Od tamtego czasu ta perspektywa nadal siedziała mi jednak w głowie.

Chociaż ja nie użyłbym noża.

Postawiłbym na pistolet.

Zrobiłbym to za pomocą pojedynczej kuli i lufy przyłożonej do skroni.

ROZDZIAŁ 8

Obecnie...

Ponieważ najwyraźniej nie potrafię odmówić Jillian, zmierzamy do Tulsy, przez co nasza wyprawa przedłuży się o dodatkowy dzień. Uświadomiłem to sobie, gdy po śniadaniu wyciągnąłem mapę. Barb i Connor zmywali wtedy naczynia.

Pierwotny plan zakładał udanie się na zachód do Louisville, prosto przez St. Louis, aż do Kansas City. Stamtąd międzystanową do Denver na kolejny dłuższy przystanek. To najszybsza droga na Zachodnie Wybrzeże, dlatego ją wybrałem.

Jednak w tej chwili, ponieważ Barb chce nasikać na czyjś grób – wciąż nie wiem, czy to przerośnięta, czy ona naprawdę ma zamiar to zrobić – musimy kierować się na południowy zachód w kierunku Tulsy. Kiedy popatrzyłem na odległość pomiędzy tym miastem a Denver, przekląłem głośno, widząc, że gdy Barb opróżni już pęcherz, nie damy rady bezpośrednio dotrzeć na północny wschód. Będziemy musieli pojechać nieco głębiej na południowy zachód, nim skręcimy w kierunku Denver lub zdecydujemy się wrócić do Kansas. Tak czy inaczej, oznacza to dla mnie kolejne dwanaście godzin za kółkiem.

Po kilku godzinach podróży postanawiamy zatrzymać się za St. Louis na lunch. Znajduję bar z grillem przy I-44, który wszystkim odpowiada, ponieważ dlaczegóżby nie cieszyć się czymś oryginalnym i wyjątkowym w takim miejscu? To nawet zabawne, ale po całym tym gównie, jakie przeszedłem... od operacji, poprzez rehabilitację i ~~depresję objawiającą się agresją~~ i wywołaną tym melancholię, mój apetyt nigdy nie ucierpiał. Zanim mina rozerwała moje ciało, zawsze najadałem się do syta, później wcale się to nie zmieniło. Na szczęście jestem wysoki i mam dobry metabolizm, ponieważ nie jestem tak aktywny fizycznie, jak podczas służby. Cieszę się, że nie dorobiłem się żadnej oponki na brzuchu.

Jako żołnierz byłem napakowany. Z kumplami spędzaliśmy wiele czasu na

siłowni, a Maria wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że uwielbia sześciopak i bicepsy, które wyrobiłem sobie ciężką pracą. Odkąd zostałem ranny, moje mięśnie poszły w niepamięć, chociaż przynajmniej nie zrobiłem się gruby.

Zapewne z czasem się to zmieni – wnioskuje po zamówionych żeberkach, antrykocie i karkówce z frytkami oraz sałatką, a także puddingu bananowym na deser.

Jemy w ciszy, następnie wracamy do samochodu. Nie mija wiele czasu, zanim Connor i Barb zasypiają na tylnym siedzeniu, oboje opierając głowy o szyby w drzwiach. Musieliśmy wjechać w burzę – miarowe uderzenia kropli w dach samochodu i szum wycieraczek wszystkich uśpiły.

Pogoda poprawia się do znośnego deszczyku, niebo przed nami wygląda, jakby się przejaśniało. Zerkam w lusterko wstecznym na Connora, zauważając, że chłopak prezentuje się dziś zaskakująco dobrze. Może to dlatego, że cieszy się na obrzucanie domów jajkami czy coś. A może po prostu trucizna po ostatniej chemioterapii została wypłukana z jego ciała.

Jillian znów siedzi z przodu. Mianowała się asystentem nawigatora. Używając papierowej mapy, pilnuje, byśmy skręcali tam, gdzie trzeba, nawet pomimo tego, że używam nawigacji w telefonie, z którego kobiecy głos podpowiada mi, jak jechać.

Chociaż, prawdę mówiąc, wolę głos Jillian. Jest słodki, dźwięczny i miły dla ucha.

W tej chwili dziewczyna trzyma nagie stopy na desce rozdzielczej i bawi się komórką na lekko ugiętych kolanach. Musiałbym być idiotą, by nie docenić wspaniałości tych nóg. Opalone i perfekcyjne w każdym calu. Nawet stopy ma cholernie ładne. Ubrała dziś białe spodenki do połowy uda i koszulkę z logo drużyny koszykarskiej Tar Heels z Karoliny Północnej. Długie, falowane włosy związała w kok na czubku głowy, co sprawia, że wygląda cholernie oszałamiająco.

– Jak bardzo idiotycznie w nich wyglądam? – pyta nagle, dlatego obracam na moment głowę, by na nią zerknąć.

– Idiotycznie? – dociekam zdezorientowany. Zauważam, że przestało padać, więc wyłączam wycieraczki.

– Tak, w okularach – wyjaśnia.

Po raz kolejny rzucam okiem i mimowolnie się śmieję. Naprawdę wygląda idiotycznie w okularach w plastikowej czarnej oprawie z soczewkami grubości denek od butelek, które powiększają jej oczy. W wojsku nazywaliśmy takie bryle „snajperkami”.

– Wyglądam idiotycznie, prawda? – pyta z uśmiechem.

Patrząc na drogę, przyznaję:

– Tak... trochę. Ale te grube soczewki sprawiają, że twoje niebieskie oczy są bardziej wyraziste.

Przez moment blondynka milczy, jednak po chwili jej słodki głos płynie w kabinie samochodu do moich uszu.

– Christopherze Barlow... to absolutnie najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałeś.

Skóra z lewej strony moich ust napina się, co oznacza, że mimowolny uśmiech, który pociąga bliznę, pojawia się na mojej twarzy. Mimo to mówię:

– Ale nie spodziewaj się tego zbyt często. Nie dotarło do ciebie jeszcze, że jestem dupkiem?

Sięgam do środkowej konsoli po Marlboro, z łatwością chwytając papierosy pomiędzy kciuk a dwa palce, które mi pozostały u prawej dłoni. Teraz nie sprawia mi to trudności, ale niech mnie szlag trafi, jeśli nie spędziłem kilku tygodni na nauce podnoszenia rzeczy dłonią pozbawioną dwóch palców – serdecznego i małego. Stukam paczką w lewą rękę, opartą na kierownicy, zerkając przez chwilę na prawą.

Po niemal osiemnastu miesiącach nadal jest mi niedobrze na widok uszkodzeń mojego ciała. Nie mam pojęcia, jak to się dokładnie stało, ale zakładam, że kawałek blachy, zapewne z podwozia, poleciał do góry. Niemal cały mięsień ciągnący się od łokcia do nadgarstka został rozerwany tak mocno, że prawie nie było, co ratować. Lekarze tysiącami mikroszwów zdołali połączyć szczątki ścięgien i mięśni, następnie na to wszystko przeszczepili skórę z mojego lewego biodra. Wygląda to groteskowo. Przypomina kotlinę pośrodku ręki, na dnie której sterczą grzbiety kości łokciowej i ramieniowej. Przeszczepiona skóra jest bardziej błyszcząca, na końcach ma niewielkie wybrzuszenia. Brakujący mięsień sprawia, że ręka wygląda okropnie. Oczywiście wstydzę się tej blizny, choć nie na tyle, by nosić koszulki z długim rękawem. Mamy przecież lato, na zewnątrz jest cholernie gorąco. Poza tym... nie zamierzam nikomu imponować.

Nie tak naprawdę.

– Musisz? – pyta Jillian z emfazą w głosie.

– Co muszę? – dociekam, wyciągając papierosa i wkładając go sobie do ust.

– Palić w samochodzie – odpowiada.

Wiem, o co jej chodziło, ale udaję głupiego, bo mam świadomość, że ją to denerwuje, a z jakiegoś powodu lubię ją irytować.

– Opuszczę szybę – mówię, a papieros, którego trzymam w wargach, kołysze się na boki.

– I tak poczuję dym.

– Więc ty także opuść szybę – sugeruję.

– Dym wsiąka w ubranie, które później nieustannie nim śmierdzi – informuje mnie.

Kiedy na nią patrzę, zauważam, iż mięśnie jej twarzy są na tyle silne, że dziewczyna naprawdę unosi brew. Najwyraźniej choroba nie ma na to wpływu,

ponieważ jej brwi znajdują się naprawdę wysoko.

– To w ogóle nie jest atrakcyjne – prycha.

Obracam głowę, by popatrzeć na drogę, a następnie powracam wzrokiem do niej.

– Nie jest atrakcyjne?

Gdy papieros znowu podskakuje mi w ustach, odnoszę wrażenie, że wygląda to niedorzecznie. Jestem dorosłym facetem, a rozmawiam z tą ślicznotką z fajką wystającą mi z gęby.

Znów spoglądam na drogę, a palcami prawej ręki wyjmuję papierosa z ust. Wzdycham i rzucam go w puste miejsce na środkowej konsoli, jednocześnie pytając z irytacją:

– Zadowolona?

– Niebywale – mówi. – Wiesz, powinieneś rzucić.

– Nie chcę – mamroczę.

– Założę się, że dałbyś radę – wyzywa mnie. – Myślę, że to tylko taka maniera.

– To uzależnienie – zaprzeczam.

– Gdybyś chciał, bez wątpienia mógłbyś sobie z tym poradzić – odpowiada.

– Z odpowiednią siłą woli. Poza tym, Christopherze, przyglądam ci się od jakiegoś czasu i wiem, że masz w sobie niesamowitą siłę woli.

Nie patrzę na nią, mając świadomość, że oczy oprawione w okulary z soczewkami wielkości denek od butelek wpatrują się we mnie seksownie szczerze. Co ta kobieta może wiedzieć na temat rzeczy, które wpłynęły na to, jaki jestem?

Mimo to zostają mi w głowie jej słowa, że palenie nie jest atrakcyjne, co podświadomie sugeruje mi, że mógłbym być bardziej pociągający, gdybym nie palił.

A to interesująca myśl, ponieważ od bardzo dawna nie zastanawiałem się, jak postrzegają mnie kobiety. Po tym, jak rzuciła mnie Maria, która nie potrafiła zaakceptować faktu, że nie jestem już stuprocentowym mężczyzną, nie zamierzam ponownie się z kimś wiązać. Jednocne miłostki, przygodne bzykanko, prostytutki... Tylko to mnie czeka, ponieważ nie mogę sobie pozwolić na zamartwianie się tym, co naprawdę kobiety myślą o moim wyglądzie.

Wiem, że z twarzy jestem przystojny – nie żeby w tej chwili przemawiało przeze mnie moje ego. Tak mówiła Maria, która sama była seksowna. Jednak w tej chwili na mojej twarzy widnieje blizna, mam zdeformowaną rękę, a noga... Cóż, w ogóle nie istnieje. Jak niby to wszystko mogłoby być atrakcyjne?

– Załóżmy się, że przetrwasz całą tę podróż bez papierosa – mówi Jillian, dlatego spoglądam na nią natychmiast.

Przewracam jednak oczami i wracam spojrzeniem na drogę, mając jeszcze

większą ochotę na papierosa.

– A o co chciałybyś się założyć?

– Nie wiem – odpowiada nonszalancko. – Wymyślimy coś dobrego.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę, rozważając, czy powinienem złapać przynętę. Kobieta stawia przede mną trudne zadanie. Palę od ponad roku, zacząłem niedługo po tym, jak wyszedłem z ośrodka rehabilitacyjnego. Robiłem to głównie, by zabić czas. Nie chcę rzucać palenia, bo w dupie mam własne zdrowie, a poza tym... Jillian mówi prawdę... wynika to ze słabości.

Jednak nie mogę puścić mimo uszu tego, co powiedziała o mojej silnej woli. To uderzyło we mnie mocniej niż wszystko inne.

– Uściślijmy całą sprawę – mówię. – W zakładzie będzie chodzić tylko o palenie papierosów, tak? Nie trawy?

– Tak – odpowiada. Bawi mnie to, że wkurza ją palenie tytoniu, a zioła już nie. Może ta cnotka w ogóle nie jest cnotliwa?

– Okej – mówię donośnie. – Przez resztę podróży nie będę palił.

– Czego chcesz w ramach wygranej? – pyta.

– Niczego – odpowiadam. – Nie potrzebuję motywacji. Jeśli daję słowo, dotrzymuję go.

Obdarowuje mnie promiennym uśmiechem.

– Siła woli.

– Tak, siła woli – zgadzam się. Mam ją cholernie mocno rozwiniętą. Dzięki niej przetrwałem walkę ze śmiercią. Przyznaję, że nieraz zdarzały mi się pewne zachwiania, jednak przeważnie jakoś się trzymam.

Ujmijmy to tak... Nie strzeliłem sobie jeszcze w łeb.

Jillian się śmieje – to radosny, nieskrępowany dźwięk.

– Och, Christopherze... czuję to. Myślę, że ta podróż będzie wspaniała.

Ponownie na nią spoglądam. Przechyla głowę lekko na bok, wpatrując się w scenerię, którą mijamy, pędząc międzystanową. Na jej twarzy maluje się leniwy uśmiech, kobieta siedzi rozluźniona i szczęśliwa. Jedyne okulary grubości denek od butelek zaburzają jej perfekcję.

Gdyby nie te szkła, nikt nie podejrzewałby nawet, że traci wzrok. Ani że jej serce w każdej chwili może przestać pracować. Jillian niemal cały czas jest uśmiechnięta, no chyba że słyszy o czymś smutnym, wtedy traci swoją wesołość. Jednak nigdy nie widziałem jej niezadowolonej. Nigdy nie złościła się z powodu swojej choroby. Właściwie nieustannie opowiada o niej z optymizmem, który niemal wydaje się udawany.

Jakiś miesiąc temu Jillian spóźniła się na spotkanie grupy. Przepraszyła, tłumacząc, że miała ciężką noc. Musiała spędzić ją na pogotowiu, bo czuła, że ma arytmie. Jej serce uspokoiło się dopiero po jakichś szalonych badaniach i zabiegach. Mimo to dziewczyna pojawiła się następnego dnia na terapii, śmiejąc

się z tego i lekceważąc to.

Kiedy Mags zapytała, czy nie powinna zostać w domu, by wypocząć, Jillian zbyła to machnięciem ręki i uśmiechem.

– Będę mieć sporo czasu na odpoczynek, gdy serce w końcu się podda. Nic mi nie jest, nie musisz się martwić.

To najlepszy obraz Jillian Martel, którą poznawałem z pewnej odległości przez ostatnie tygodnie. Przyjmowała swoją chorobę ze spokojem, nie popadając w depresję, nieustannie doszukując się pozytywów w każdej sytuacji.

– Jak ty to robisz? – rzucam, kątem oka zauważając, że obraca się na siedzeniu twarzą do mnie.

– Co robię? – pyta, ale nie spoglądam na nią. Potrafię wyobrazić sobie jej ładne rysy, miękki uśmiech i te powiększone okularami oczy, podczas gdy ona czeka, aż wyjaśnię, o co mi chodziło.

– Cały czas jesteś taką optymistką. Nic nie psuje ci nastroju. Serio... nie potrafię zrozumieć, co ty robisz w naszej grupie.

– Może do niej dołączyłam, ponieważ potrzebujecie trochę mojej wesołości? – droczy się.

Prycham.

– Ale poważnie. Przecież tracisz wzrok i w każdej chwili możesz mieć zawał serca i umrzeć. Jak to, u diabła, możliwe, że nie jesteś załamana. Jak możesz nie być zła na Boga, los lub przeznaczenie? Dlaczego nie walczysz ze wszystkimi tymi siłami, które rozdały ci tak cholernie złe karty?

Jillian przesuwa się na siedzeniu. Zamyka oczy, choć spokojny uśmiech pozostaje na jej ustach. W tej samej chwili chmury na niebie rozstępują się, a ostry promień słońca pada na ziemię. Biorę okulary przeciwsłoneczne, spoczywające do tej pory na górnej osłonie obok lusterka, i zakładam je na nos.

– Uwielbiam chwile, gdy po burzy wychodzi słońce – mruży Jillian z wciąż zamkniętymi oczami. – To wszystko rozjaśnia.

Coś ściska się w mojej piersi, musi to mieć związek z uwielbieniem w jej głosie, gdy mówi o świetle słonecznym. Może ktoś z tak pogodnym nastawieniem do życia czuje się w jakiś sposób związany ze słońcem. Wydaje mi się, że ten ucisk to smutek, który czuję z powodu tego, że Jillian pewnego dnia nie zobaczy już słońca.

To pierwszy raz od czasu wypadku, kiedy czuję empatię w stosunku do innej ludzkiej istoty i muszę przyznać... że ~~eholernie mnie to przeraża~~ trochę mnie to niepokoi. Jestem tak przepełniony gniewem i goryczą, że nie ma we mnie miejsca na martwienie się o kogoś innego. Mimo to w tej chwili nie potrafię zaprzeczyć, że chciałbym, by ta dziewczyna nie musiała przez to wszystko przechodzić.

Kaszlę nieznacznie i odchrząkuję.

– Założę się, że będzie ci brakowało słońca, gdy już całkowicie oślepniesz.

Przechyliła głowę na bok, zerkając na mnie krótko. Przybiera taką minę, jakby nie załapała tego, co powiedziałem.

– Nie nadążam za twoim tokiem rozumowania.

Wskazuję ręką piękny ozłocony krajobraz rozciągający się przed nami.

– Nie będzie ci tego brakowało? Nie martwisz się, że to wszystko zniknie i nie będziesz mogła się już tym cieszyć?

Oczywiście myślę teraz także o swojej nodze, ale to tyczy się również Jillian i utraty przez nią wzroku.

Kobieta śmieje się lekko, siada prosto, zdejmując stopy z deski rozdzielczej. Obraca się do mnie bokiem i choć nie mogę bez przerwy patrzeć jej w oczy, co jakiś czas zerkam na nią, gdy mówi.

– Christopherze, zamierzam wyjawić ci całą prawdę o szczęściu, jakiej się nauczyłam, więc może dzięki temu zrozumiesz mnie nieco lepiej. – Bierze głęboki wdech, mruga powoli i wyjaśnia: – Nie będzie brakowało mi słońca, bo ono się nigdzie nie wybiera. Zawsze ogrzeje mnie promieniami, a przynajmniej do końca moich dni. Może go nie zobaczę, ale będę mogła je czuć. Będę czuła ciepło na skórze w późnowiosenny dzień, a także skwar, gdy rozpocznie się gorące lato. Kiedy przestanę widzieć, otworzą się inne moje zmysły. Będę czuła zapach kwiatów, jakie rozkwitły dzięki słońcu, i posmakuję warzyw, które dzięki jego promieniom urosły u mamy w ogródku. To nie słońce zniknie, a jedynie część mojej zdolności postrzegania go, którą łatwo zdołam zmodyfikować.

Nie mam ochoty uwierzyć w żadne słowo z tej słodkiej przemowy. Odnoszę wrażenie, jakby powtarzała mi zdania, które gdzieś zasłyszała, pragnąc, bym równie łatwo je przyjął.

Ale nie, nie o to jej chodzi. W głębi duszy wiem... Słyszę to w jej głosie. Ona naprawdę uważa, że jej ślepotą nie jest żadną stratą, ale okazją do zmiany postrzegania świata.

Doznaję oświecenia i uświadamiam sobie, że ona naprawdę pogodziła się z losem, z tym, co ją spotkało i co ją czeka, a dzięki temu może się skupiać na pozytywach.

Nie rozumiem jednak, jak można to osiągnąć. Na przykład ja – jak mam pożegnać się z okropnymi uczuciami, które na wskroś przenikają moją duszę? Jak mam spojrzeć na ten kikut i nie nienawidzić się za to, że wjechałem na minę? Jak mam wyrzucić z siebie gniew, jaki mocno się we mnie zakorzenił, a teraz tylko czeka, by wybuchnąć?

Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jeszcze pół minuty temu nie miałem pojęcia, gdzie ich szukać. Najwyraźniej terapia grupowa nie działa, tak samo jak antydepresanty czy własne środki lecznicze, takie jak trawka lub przeciwbólowe tabletki na receptę. Przeważnie środki te pozwalają mi wychodzić z domu i prawdopodobnie uniemożliwiają przyłożenie sobie pistoletu do skroni.

Ale czy mogę porzucić przeszłość?

Czy stać mnie na więcej?

W moim sercu rozpala się iskierka nadziei i choć mój instynkt natychmiast chce ją zgasić, przez chwilę pozwalam jej płonąć. Uczucie to nie jest nieprzyjemne, jednak po swoim przyspieszonym tętnie zgaduję, że wiara w coś takiego jak szczęście czy spokój mnie przeraża.

Wydaje mi się, że odpowiedzi na te pytania znajdę w osobie siedzącej na miejscu pasażera. Jillian sprawia, iż chcę wierzyć w szczęście, dlatego przysięgam sobie w duchu, że sprawię, by pokazała mi, jak je osiągnąć.

ROZDZIAŁ 9

Okazuje się, że grób, na który chce nasikać Barb, znajduje się w małej miejscinie o nazwie Vinita w stanie Oklahoma. Dziewczyna nie zdradziła, czyja to mogła i dlaczego chce na nią nalać, ale żadne z nas nie trudziło się zadaniem tych pytań. Uznaliśmy, że jeśli zechce, to nam powie, a wtedy wysłuchamy jej opowieści. Tak czy inaczej, to sprawa znajdująca się na jej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią, więc chcemy pomóc jej to odhaczyć.

Jillian i Connor będą wspierać Barb niezależnie od sytuacji, a ja pozostanę cyniczny, odmawiając jej prawa do bólu, podczas gdy moje cierpienie mnie przytłacza. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Właściwie nie jestem tego pewien po tej rozmowie z Jillian w samochodzie, gdy inni spali. Rozmyślałem o jej słowach i doszedłem do wniosku, że ich znaczenie jest całkiem proste. To nic innego jak odnajdywanie pozytywów w każdej sytuacji i docenianie ich, że w efekcie przeważają stratę innych rzeczy.

Przekierowują uwagę.

Każą skupić się na czymś innym.

Zaakceptować.

żyć dalej.

To wszystko, czego nie zdołałem pojąć od momentu wyjścia ze szpitala. Nie rozumiem również tego, jak Jillian może tak żyć. Nie przestaje mnie to zadziwiać.

Co sprawia, że jest ode mnie silniejsza?

Może wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym czuł wsparcie rodziców? Albo gdyby Maria ze mną została i wyznała mi miłość bez względu na to, ile mam nóg. Od czasu do czasu zadaję sobie istotne pytanie: czy nie lepiej byłoby zakończyć mój marny żywot? Patrząc wstecz i widzę bardzo mroczne dni. Spoglądam w przód, gdzie dni są ponure. Dzielnie walczę, by dostrzec choćby przebłysk szczęścia, które Jillian odczuwa tak naturalnie, i zastanawiam się, czy mam aż tak silną wolę... hart ducha... by je odszukać.

Myślę, że sama analiza swoich możliwości to krok naprzód.

Prawda?

Meldujemy się w niedrogim motelu, chłopcy w jednym pokoju, dziewczyny w drugim. To pomysł Jillian, podejrzewam, że kobieta chce zbliżyć się nieco do Barb. Wydaje mi się również, że czarnowłosa gotowa jest stawić dziś czoła swoim demonom, a Jillian po prostu się o nią martwi.

Wpadamy na szybką kolację do McDonalda głównie po to, by zrobić przyjemność Connorowi. Choć jego rodzice wydają się bardzo fajni, najwyraźniej mają świra na punkcie zdrowej żywności. Życie chłopaka składało się przeważnie z tofu, marchewek i podobnych świństw. Jego cel w czasie tej wyprawy to wpakowanie w siebie tak dużo śmieciowego żarcia, ile tylko zdoła, ale szczerze mówiąc, dzieciak jest tak chudy, że mógłby przytyć parę kilo.

Plan na wieczór jest prosty, więc kiedy tylko zachodzi słońce, jedziemy na cmentarz. Uprzednio zatrzymujemy się jednak w sklepie spożywczym, nabywając w nim trzy tuziny jajek... Jeden dla mnie, drugi dla Connora, a trzeci dla Barb. Jillian nadal odmawia udziału w obrzucaniu budynków, choć zamierza się nam przyglądać. Z pogardą, oczywiście. Kiedy już Barb nasika tam, gdzie chce, poszukamy domów, które nie są za bardzo oświetlone i nie mają ogrodzonych ogródków. W ten sposób, jeśli ktoś będzie nas gonił, z pewnością uda nam się uciec. Bycie złapanym i konieczność ucieczki są wpisane w tę zabawę.

To przedziwna mieszanka rzeczy, które mamy dziś zrobić, ale już przedtem dotarło do mnie, że ta podróż nie będzie taka, jak się tego spodziewałem.

Pamiętam pierwszy dzień na terapii, gdy oceniałem swoich towarzyszy, a kilka rzeczy stało się dla mnie jasnych.

Jillian naprawdę nie pasowała do reszty.

Connor był fizycznie chory i umierał.

A Barb zaprezentowała się jako antyspołeczny odludek. Kiedy ją poproszono, by się przedstawiła, praktycznie warknęła na Mags:

– Barb. Czasami próbuję się zabić. Najwyraźniej średnio mi to wychodzi. Jestem tutaj z mocy postanowienia sądu, więc nie spodziewaj się, że powiem coś więcej.

Spojrzałem na ręce dziewczyny – ślady na nadgarstkach nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Z tego względu wiedziałem, że jej metodą był nóż, na długo zanim opowiedziała o nieczulej matce.

Mam ten obraz przed oczami, gdy jedziemy na cmentarz. Jest noc, więc wokół panuje ciemność. Pojedyncze latarnie świecą się przy krętej drodze biegnącej pośród pól. Barb kieruje nas prosto do celu.

W końcu każe mi się zatrzymać, więc staję, gaszę silnik i światła, przez co

wokół robi się zupełnie ciemno, ponieważ najbliższa latarnia jest jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Barb bierze plecak i otwiera drzwi, jednak Jillian zatrzymuje ją, pytając:

– Chcesz, żebyśmy z tobą poszli?

– Mam to w dupie – odpowiada dziewczyna, wysiadając i zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Jillian i Connor bez wahania opuszczają suburba. Wzdycham i idę za nimi. Nie mam pieprzonego pojęcia, co się stanie, a nie jestem przygotowany na żadne załamanie nerwowe. W bojkach schowałem jointa, więc prawdopodobnie powinienem usiąść z nim na którymś z nagrobków i przyglądać się rozwojowi wypadków.

Barb wyciąga z plecaka latarkę i przechodzi przez trzy rzędy mogił, aż skręca we właściwy. Mija dziesięć grobów, zatrzymuje się i oświetla prostą płytę nagrobną z inskrypcją „James Canton” i latami jego życia. Wygląda na to, że zmarł w wieku czterdziestu siedmiu lat.

– To wujek, który cię molestował? – pyta Jillian, gdy staje obok dziewczyny. Jestem zaskoczony, że zapytała o to tak prosto z mostu. Do tej pory tylko Mags naciskała na Barb, by cokolwiek o sobie powiedziała.

Ku jeszcze większemu zdziwieniu dziewczyna kiwa głową, wpatrując się w grób.

– Tak. Zmarł jakieś pół roku temu w więzieniu.

– Siedział za to, co ci zrobił? – pyta Jillian.

Stoimy z Connorem nieco dalej, przysłuchując się w milczeniu.

Barb ponownie kiwa głową.

– Po tym, jak pocięłam sobie ręce w kuchni rodziców, zabrano mnie do szpitala. Opowiedziałam psychiatrze, co zrobił mi wujek, a ponieważ byłam nieletnia, lekarz powiadomił policję. Oczywiście rodzice, a głównie matka, ponieważ wujek był jej bratem, dalej nie chcieli mi uwierzyć. Jednak w końcu udowodniłam im, jak bardzo się mylili.

– W jaki sposób? – pyta szeptem Jillian.

– Pięć miesięcy później urodziłam jego syna. Badanie DNA udowodniło, że mój wujek był jego ojcem, więc został aresztowany za gwałt na siostrzenicy i skazany na odsiadkę.

– Jezu – mamrocze Connor.

Sam muszę przyznać, że Barb właśnie zdradziła nam cholernie mocne informacje. Zaczyna się we mnie rodzić nieco współczucia dla tej kobiety.

Jillian kładzie rękę na ramieniu dziewczyny, która wzdryga się nieznacznie, ale nie odsuwa.

– Zmarł w więzieniu. Pieprzone zapalenie płuc, a przecież zasłużył na dużo gorszy los.

Nie spodziewałem się, że Jillian może drażnić tę sprawę, ale ona wydaje się nie zrażać niewygodnym tematem. Naciska nieco na Barb, tak jak zrobiłaby to Mags, gdyby tu była:

– A co z dzieckiem?

Słowa wypowiedziane przez czarnowłosą są zupełnie puste, płytkie... pozbawione emocji. Gdybym musiał nadać im barwę, powiedziałbym, że są szare.

– Oddałam je do adopcji. Nie byłam w stanie się nim zająć. Chciałam jedynie umrzeć.

– To odważne z twojej strony – komentuje cicho Jillian.

Następuje chwila ciszy, podczas której kobiety wpatrują się w nagrobek, a ja i Connor na nie patrzymy. Dziewczyna kładzie plecak na ziemi i podaje latarkę Jillian.

– Cóż, miejmy to już z głowy – mówi i zaczyna rozpinąć sprane jeansy.

Connor natychmiast się odwraca, ale ja tego nie robię. Wiem, że Barb ma to gdzieś, a ja i tak nic nie widzę, ponieważ dziewczyna ubrana jest w długą bluzkę, która zasłania to, co istotne. Jillian również przygląda się, jak czarnowłosa zsuwa spodnie, kuca na środku grobu i zaczyna sikać. Mocz płynie przez dłuższą chwilę, szumiąc i rozchlapując się na ziemi i rzadkiej trawie. Kiedy jej pęcherz jest pusty, Barb wstaje i wprawnym ruchem podciąga spodnie.

– Możesz się już odwrócić, młody – mamrocze do Connora, który spełnia polecenie. – Lepiej ci? – pytam Barb, ponieważ, szczerze mówiąc... uważam, że jak na kogoś tak nieprzewidywalnego jak ona lanie na czyjś grób jest dość kiepskim pomysłem.

– Nie całkiem. – W jej głosie pobrzmiwa odrobina czegoś, co nazwałbym złośliwością.

Dziewczyna pochyla się, bierze plecak z ziemi i obraca się do Jillian, by ta poświeciła jej latarką do środka, a następnie wyjmuje młotek. Kiedy unosi głowę, widzę, że światło ujawnia diabelski błysk w jej oku.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – pyta ostrożnie Connor. Odsuwa się o krok, ponieważ... Serio, po co Barb nosi przy sobie młotek? Młody chyba myśli, że dziewczyna naprawdę nas pozabija.

Jednak ja się nie boję. W milczeniu przyglądam się, jak Barb obraca się w stronę nagrobka, następnie bierze zamach i uderza młotkiem prosto w imię wujka. Sypie się beton, ponieważ nie jest to ekskluzywny marmurowy pomnik. Dziewczyna uderza wielokrotnie, skuwając nazwisko i daty, aż całkowicie znikają z płyty nagrobnej. Nawet nie stara się jakoś szczególnie uszkodzić mogiły, zaledwie chce wymazać właściciela kwatery. Potrzeba do tego kilkunastu porządnych uderzeń, ale gdy kończy – jej pierś unosi się pospiesznie z wysiłku, a po twarzy płynie pot – mówi nienaturalnie lekko:

– Proszę... Teraz mi lepiej. – Następnie spluwa na to wszystko. – Teraz

jesteś niczym – szepcze z uśmiechem, gdy jej ślina spływa po płycie przed nią. Przygląda się temu przez chwilę, a następnie odwraca się do nas.

Jillian świeci na Barb latarką, ale w okolice tułowia, by jej nie oślepić. Mimo to światła wystarcza, byśmy zobaczyli szeroki uśmiech na twarzy czarnowłosej, wypełniony radością z powodu dokonanej zemsty.

Można by pomyśleć, że było to dla niej oczyszczające, jednak ja wiem dość dużo na temat tak głębokiej rozpacz, dlatego zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie nie ma szans, by dziewczyna kiedykolwiek zupełnie mogła otrząsnąć się z czegoś takiego.

ROZDZIAŁ 10

Okolica jest idealna. Kwadratowe domy stoją jeden obok drugiego, a żaden nie ma płotu. Niewątpliwie wybudowane zostały na planie siatki, co ułatwia nawigowanie. Zostawiłem suburbańską pięć przecznic wcześniej, aby uniknąć niepotrzebnych kłopotów. Chodniki otoczone są sporymi drzewami, które nieco zasłaniają światła latarni, więc jedynym problemem pozostają światła na gankach. Na szczęście nie zamierzamy zbliżać się zbyt blisko do domów.

– Dobra, w rzucaniu jajkami obowiązuje kilka zasad – informuję grupę, gdy kucamy za krzakiem, na skraju trawnika naszego pierwszego celu. Przez protezę nie potrafię kucać tak dobrze jak reszta, ale potrafię się pochylić wystarczająco nisko, by stać się częścią koła, które tworzymy. Jillian znajduje się po mojej lewej, Barb po prawej, a Connor naprzeciwko. Chłopak przygląda mi się ze szczerym zainteresowaniem, jakbym próbował nauczyć go, jak przeprowadza się operację na otwartym sercu.

– Po pierwsze – ciągnę – w żadnym z tych domów nie może być całkowicie ciemno. W obrzucaniu pustych domów nie ma ryzyka, co oznacza, że nie ma również zabawy. Starajcie się celować w okna lub w drzwi, zwłaszcza te, przy których mogą znajdować się właściciele. Lepiej ich tym wystraszymy.

Connor kiwa głową, zapamiętując tę regułę. Barb przewraca oczami, a Jillian próbuje wyrazić swoją dezaprobatę, ale w lekko uniesionych kącikach jej ust dostrzegam rozbawienie.

– Po drugie... na mój znak rzucamy wszyscy na raz. Kiedy jajka doleczą do celu, biegniemy do następnego domu.

– Dlaczego to ty musisz dawać znak? – pyta Jillian.

– Cicho – mówię, karcąc ją dodatkowo spojrzeniem. – Nie bierzesz w tym udziału, więc nie przysługuje ci prawo głosu.

Kobieta chichocze w odpowiedzi i Chryste... podoba mi się ten dźwięk. Moja blizna się rozciąga, co oznacza, że się uśmiecham.

Zwracając się do Connora, upewniam się, że zrozumie najistotniejszą regułę.

– Po trzecie, nie panikujcie, jeśli ktoś zacznie was ścigać. Porzućcie wtedy resztę jaj, a jeśli się da, zróbcie to niezauważenie. Jeżeli zostanieie złapani, wszystkiemu zaprzeczajcie.

Connor z trudem przełyka ślinę, w jego oczach błyszczy ekscytacja.

– Gotowi? – pytam grupę.

– Tak – mówią jednocześnie Connor i Barb, bawiąc się jajkami wyciągniętymi z kartonów. Nie zabieramy niczego prócz dziesięciopaku w jednej ręce i pojedynczego jajka w drugiej. Jillian trzyma kluczyki od suburbana, ale zauważyłem przy okazji, że założyła tenisówki, prawdopodobnie spodziewając się tego, że będziemy musieli biec. Zgaduję, że zamierza nam towarzyszyć, nawet jeśli nie chce rzucać jajkami.

– Dobra, pierwszym celem jest ten dom – mówię, ruchem głowy wskazując za lewe ramię, na niewielki ceglany budynek stojący po drugiej stronie krzaków. Rozglądam się pospiesznie po ulicy i nie dostrzegając pieszych ani samochodów, podaję ostatnie instrukcje: – W tamtym oknie widać kobietę myjącą naczynia. Celujcie w nie.

Wstajemy wszyscy. Ja, Connor i Barb bierzemy zamach, a Jillian wzdycha przeciągle.

– Trzy... dwa... jeden – mówię cicho do drużyny. – Teraz!

Rzucamy we troje jajkami, moje i Connora trafiają w okno kuchenne, to Barb ląduje na ceglach. Rozbryzgujące się jaja na szybie tak bardzo przerażają kobietę myjącą naczynia, że krzyczy ze strachu i pada na ziemię, myśląc najpewniej, że padły strzały.

Obracam się ze śmiechem i biegnę chodnikiem. Założyłem dziś protezę sportową wykonaną z polimeru wzmacnianego włóknami węglowymi, które pomagają zachować sprężystość i równowagę. Dostałem ją dzięki departamentowi do spraw weteranów, podobnie jak tę, którą używam na co dzień. Rzadko zakładałem tę specjalną protezę, od wypadku nie myślałem za wiele o bieganiu.

Jednak teraz, gdy zdaję sobie sprawę, że potrafię poruszać się dość szybko jak na faceta z jedną nogą, odczuwam przypływ adrenaliny i być może coś się we mnie zmienia. Dlaczego przestałem biegać? W wojsku byłem w tym dobry, biegałem od ośmiu do dwunastu kilometrów, i to kilka razy w tygodniu.

Reszta mknie tuż za mną, każdy z tej trójki zapewne zdołałby mnie wyprzedzić, gdyby się do tego przyłożył, jednak nikt tego nie robi. Zamiast tego wszyscy biegną za mną do kolejnej przecznicy, gdzie skręcamy na południe i przemierzamy kolejne dwie, nim wyznaczam następny cel. Do czasu aż kobieta myjąca naczynia zorientuje się, co się stało, nas już tam dawno nie będzie.

W tej chwili być może dzwoni na policję, co nieco zwiększa ryzyko, więc lepiej byśmy dość szybko opróżnili swoje kartony.

– Dobra – mówię zdumiony tym, że brakuje mi tchu po tak krótkim biegu. Naprawdę znów muszę zacząć ćwiczyć, oczywiście palenie też nie pomaga. Jednak z dumą orientuję się, że nie miałem papierosa w ustach, odkąd założyłem się z Jillian. Chciałem zapalić jednego, gdy byliśmy na cmentarzu, ale teraz jestem nabuzowany adrenaliną i dobrze się bawię, więc nie czuję takiej potrzeby. – Następnym celem jest ten dom, a potem trzeci od niego, z białą furgonetką na podjeździe. Trafiamy i spadamy.

– Jasne – mówi Connor. Barb nie odpowiada, tylko wyciąga dwa jaja z kartonu, więc chłopak robi to samo. Jillian jedynie się uśmiecha i kręci głową zdumiona naszym dziecinnym zachowaniem.

Wyjmuję dwa jajka, wkładam karton pod lewą pachę, jedno jajko przekładając do drugiej dłoni. Jestem praworęczny, więc z łatwością trzymam je trzema palcami i ponownie odliczam. Biorąc zamach, mówię cicho:

– Trzy... dwa...

– Hej! – Głęboki, wypełniony gniewem męski głos odzywa się za naszymi plecami. – Czy to wy, gówniarze, obrzuciliście mój dom jajami?

Nie oglądam się nawet przez ramię. Rzucam jajka i biorę Jillian za nadgarstek tym, co zostało z mojej prawej ręki. Kobieta nie waha się, właściwie przesuwa palce i splata je z moimi.

Biegniemy wzdłuż domu, który mieliśmy obrzucić jajami, wpadając wprost na jego ciemne podwórze. Myślę, że Barb i Connor pobiegli ulicą w kierunku naszego następnego celu. Słyszę, jak facet ponownie woła:

– Stójcie, małe gnojki!

Zerkam przez ramię, nie przestając biec, ale nie zauważam, by ktoś nas gonił. Kiedy wpadamy na tyły domu, przecinamy trawnik, gdzie oświetla nas halogen, więc przyspieszamy. Kieruję się głębiej w podwórze, poza zakres reflektora, gdzie wysokie krzaki stanowią granicę działki, a następnie pociągam Jillian w gęste zarośla, w których możemy się schować. Światło nie dociera tu w pełni, jedynie przebija się przez liście, dzięki czemu widzę dziewczynę obok siebie, gdy wygląda przez gałązki.

Nasłuchuję uważnie, jednak słyszę jedynie nasze szybkie oddechy. Nie dyszymy dlatego, że długo biegliśmy, ale przez to, że facet nas przestraszył.

– Cholera, było blisko – szepczę, gdy moje serce zaczyna zwalniać.

Jillian śmieje się nerwowo, a następnie zakrywa usta ręką. Patrzę na nią, na jej twarzy odbija się światło i cienie liści. Widzę, że jej oczy połyskują z ekscytacji i radości. Puszczam moją rękę, ale zanim dociera do mnie, że brakuje mi jej dotyku, dziewczyna obraca się do mnie i kładzie obie dłonie na mojej piersi.

Spogląda na mnie, a jej głos jest dziewczęcy, niemal chichocze. Jej postawa mówi, że ona uwielbia dreszczyk emocji.

– Christopherze... to była najstraszniejsza, ale też najzabawniejsza rzecz,

jaka kiedykolwiek zrobiłam.

Słyszę, co mówi, ale sens jej słów do mnie nie trafia, ponieważ mój umysł roztapia się nad faktem, że Jillian przyciska się do mnie, a jej ciepłe dłonie spoczywają na mojej piersi. Widzę błysk w jej oczach, ale nie wiem, co on oznacza.

Nie byłem tak blisko z kobietą od bardzo dawna, nie jestem więc pewny, o co w tym, u diabła, chodzi.

Nim mam szansę to zrozumieć, przemówić sobie do rozsądku lub przekonać się do czegoś zupełnie innego, kładę lewą dłoń na policzku Jillian. Nie chcę, by poczuła naznaczoną bliznami skórę lub uszkodzone kości.

Jej powieki, które zazwyczaj są nieco opuszczone, opadają jeszcze niżej, a usta rozciągają się w niewielkim uśmiechu. Wciąż niepewny, co to oznacza, przyglądam się, jak powoli zniża wzrok i wbija go w moje usta.

A może patrzy na moją bliznę?

Czego ona, u diabła, chce i co, do cholery, powinienem z tym zrobić?

– Christopherze – szepcze Jillian, a następnie odsuwa ode mnie całą niepewność. – Pocałujesz mnie?

Chciałbym powiedzieć, że się nie waham, ale w mojej głowie pojawia się na raz milion powodów, dla których nie powinienem tego robić. Jestem zdeformowanym półczłowiekiem, całkowitym dupkiem, a ta kobieta to chodzące dobro. Jestem zgorzkniałym, wściekłym, żalonym frajerem, niepotrafiącym pogodzić się z niekorzystną przeszłością i niezasługującym na to, by pocałować najodważniejszą osobę, jaką kiedykolwiek poznałem.

– Może powinnam powiedzieć – szepcze Jillian – że chciałabym, byś mnie pocałował.

Wątpliwości wciąż we mnie tkwią, dlatego jestem cholernie przerażony, jednak zostają one przyćmione przez nagłe i mocne pragnienie, by spełnić jej prośbę.

Pochyliam się więc i delikatnie dotykam jej warg swoimi. Tli się we mnie niepewność głównie dlatego że chcę, by ten pocałunek był wystarczająco dobry.

Jillian wzdycha w moje usta z zadowoleniem, a mnie kręci się w głowie.

Całuję kobietę po raz pierwszy od... cóż, cholera, od niemal dwóch i pół roku, od czasu gdy zostałem ranny. Maria była ostatnią, którą tak całowałem.

Z którą się kochałem.

Którą kochałem.

Minęło tak wiele czasu, że nie pamiętam, jak to jest.

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek był tak sztywny, i nie mówię tu o moim fiucie.

Mam na myśli coś znacznie głębszego.

– Jak was złapię, wy małe gnojki... – Po nocnym niebie ponownie niesie się

głos mężczyzny. Po prawej stronie słyszę pospieszne kroki dudniące na betonie. Odsuwam się od dziewczyny i obracam głowę w kierunku źródła dźwięku.

– Biegnie za Barb i Connorem – mówi Jillian z przerażeniem, chwytając oburącz moją koszulkę.

– Wiem – warczę z frustracją, gdy zabieram rękę z jej twarzy i odsuwam się od niej, kierując w stronę sąsiedniego ogrodu. Dziewczyna podąża za mną, przecinamy kolejne podwórze, nim trafiamy na następną przecznicę. Po drugiej stronie ulicy widzę, że Barb i Connor ukrywają się za metalowymi śmietnikami stojącymi na chodniku, a wielki, dobrze zbudowany facet stoi nieopodal, choć tak naprawdę ich nie widzi.

Kiedy mężczyzna znajduje się pięć kroków od śmietników, Barb postanawia stamtąd uciec, więc rzuca się do biegu. Connor również wstaje, jednak zbyt długo się waha. Facet chwyta go za koszulkę.

– Mam cię, mały dupku.

Ruszam ku nim bez zastanowienia, Jillian idzie w moje ślady. Ku mojemu zaskoczeniu Barb zatrzymuje się nagle i odwraca. Dziewczyna znajduje się najbliżej człowieka trzymającego Connora, więc naciera na niego niczym miniaturowy, rozjuszony byk. Facet jej jednak nie widzi, skupiając całą swą uwagę na chłopaku, który wije się jak wąż, próbując się wyrwać.

– Zostaw go! – krzyczy Barb, szturchając mężczyznę w pierś. Gość nie rusza się nawet o centymetr, choć na jego twarzy pojawia się jeszcze większa złość.

Mężczyzna próbuje złapać również Barb, jednak dziewczyna jest za szybka i odskakuje w tył.

– Puść go! – wołam, zbliżając się pospiesznie... i zaciskając półtorej dłoni w pięść, stawiając długie, sztywne kroki.

Mężczyzna obraca głowę, by na mnie spojrzeć, widzę, że przygotowuje się na mój atak. Jesteśmy niemal tego samego wzrostu, ale na oko typ ma przynajmniej dwadzieścia kilo więcej mięśni.

Chociaż to chyba nie ma znaczenia, gdy trzyma Connora.

Nie liczy się również to, że zostałem niedawno oskarżony o napaść i pobicie, przez co skończyłem w tej grupie. A to wszystko doprowadziło właśnie do tej sytuacji.

– Chwileczkę! – krzyczy Jillian. Wbiega przede mnie i osłania przed zagrożeniem. Staje pomiędzy mną a tym facetem i rozkłada ręce na boki.

– Proszę... bez bójek.

– Nie chcę się bić – warczy mężczyzna. – Ale te gnojki kilka przecznic dalej obrzuciły jajkami mój dom, więc albo ktoś to posprząta, albo dzwonię po gliny.

– Nie zrobiliśmy tego – mówi Barb, piorunując faceta wzrokiem. Wypiera się wszystkiego, tak jak im kazałem.

Zaprzeczaj, zaprzeczaj, zaprzeczaj.

Dobra robota, Barb.

– Widziałem was z jajkami! – wykrzykuje sfrustrowany gość. – Porzuciliście je i uciekliście.

– Co wcale nie oznacza, że nimi rzucaliśmy – upiera się dziewczyna, krzyżując ręce na piersiach w obronnym geście, zerkając przy tym na Connora. Dzieciak wisi na ręce mężczyzny jak lalka, najwyraźniej żalosne zasoby energii chłopaka całkowicie się wyczerpały.

– Rzucaliście nimi – naciska facet z uporem. Wielką, mięsistą dłonią chwyta Connora za kark i zaczyna maszerować chodnikiem. – Ten to posprząta, reszta, jeśli chce, może mu pomóc.

– Proszę go puścić – nalega Jillian, podbiegając do człowieka, kładąc ostrożnie dłoń na jego wolnym ramieniu. Ja i Barb idziemy za nimi. – On jest chory.

Mężczyzna zatrzymuje się i patrzy na dziewczynę.

– Chory?

– Na raka – mówi cicho kobieta. – Mięśniakomięsak prążkowanokomórkowy. Jego stan jest terminalny.

Facet natychmiast puszcza chłopaka i obraca się, by spojrzeć mu w oczy.

– To prawda?

– Tak, proszę pana – odpowiada Connor. – Bardzo przepraszam. To było coś, co miałem na liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią...

– To ja rzuciłem tymi jajkami – przyznaję głośno, ponad chłopakiem. – Ja posprzątam.

Facet ponownie mi się przygląda, tym razem jego wzrok wędruje niżej, na moją protezę. Kiedy znowu patrzy mi prosto w twarz, w jego oczach połyskuje coś innego niż frustracja wywołana obrzuceniem domu jajami.

– Jesteś żołnierzem? – pyta.

Całkowicie zaskakuje mnie tym pytaniem, ponieważ nie mam na sobie niczego, co sugerowałoby niedawną przynależność do wojska. Założyłem starą koszulkę z logo Uniwersytetu Zachodniej Wirginii, a moje włosy są już na tyle długie, że wiszą mi za uszami, na karku dotykając kołnierzyka.

– Służyłem w korpusie piechoty morskiej – odpowiadam.

– Wojna – rzuca szorstko. – Straciłem na niej zbyt wielu dobrych kumpli.

Nie odpowiadam, bo nie chcę zacieśniać więzi z tym typem, który uważa, że coś nas łączy, bo oboje służyliśmy w wojsku. Z tego co widzę, on wyszedł z armii bez szwanku. Mężczyzna patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, po czym ponownie zerka na Jillian.

– O co w tym wszystkim chodzi? – pyta, wskazując ręką nas wszystkich. Widzi wyraźnie, że nie pochodzimy stąd, choć zgaduje, że coś nas jednak łączy.

– Jesteśmy z jednej grupy terapeutycznej – wyjaśnia Jillian, jak na mój gust

niewiele zbyt szczerze. – Ja tracę wzrok, Connor umiera, Barb próbuje umrzeć, a Christopher... cóż, stracił nogę i część ręki. Podróżujemy przez kraj, by zobaczyć Pacyfik, zanim... No wie pan...

W okrągłych oczach mężczyzny pojawia się współczucie i, niech mnie szlag, zbierają się w nich również łzy. Większość ludzi stwierdziłaby, że ta historyjka to stek kłamstw – nawet jeśli tak nie jest – ale najwyraźniej ten tutaj połknął przynętę, haczyk, a nawet całą wędkę.

– Ile wy macie lat?

Odpowiada Jillian, która najwyraźniej zwraca uwagę na wszystko, co się dzieje w tej grupie.

– Ja mam dwadzieścia jeden, Christopher dwadzieścia sześć, Barb dwadzieścia cztery, a Connor osiemnaście.

Jestem zaskoczony jej niewielkim kłamstwem w kwestii wieku Connora, jednak rozumiem, czemu to zrobiła – żeby facet nie zaczął się interesować tym, dlaczego mamy ze sobą nieletniego.

– Mam na imię Keith – mówi mężczyzna, śmiejąc się nieco. – Cholernie przeraziliście Cammie, moją żonę. Chodźcie ze mną, umyjemy dom z jajek i napijemy się piwa.

– Poważnie? – pyta Connor zaskoczony, zupełnie nie spodziewając się takiego obrotu sytuacji. Podejrzewam, że liczył, iż zostanie aresztowany przez policję, co pewnie byłoby znacznie fajniejsze, biorąc pod uwagę punkty na jego liście.

– Tak – odpowiada Keith z rezygnacją. – Ty też możesz się napić, skoro umierasz, i w ogóle.

– Spoko – mówi Connor, po czym rusza za Keithem, który prowadzi go do siebie.

Ta podróż zdecydowanie nie jest taka, jak się tego spodziewałem.

ROZDZIAŁ 11

W drodze do domu Keitha Connor rozmawia z mężczyzną. Gość był wściekły za obrzucenie budynku jajami, jednak w tej chwili jest zaintrygowany naszą grupą. Moje przeczucie mówi mi, że facet ma złote serce, bo większość ludzi z pewnością nie zaprosiłaby do siebie bandy łobuzów, by poczęstować ich piwem.

Barb idzie zaraz za Keithem i Connorem. Jillian trzyma się mnie z tyłu, krocząc sztywno tuż obok.

W jednej chwili całujemy się czule, choć krótko, a w kolejnej podążamy za właścicielem domu, żeby wyczyścić mu elewację. Nie jestem pewien, na czym stoimy. Czy dziewczyna poddała się wesołemu nastrojowi, czy dreszczyk emocji z powodu pościgu sprawił, że stała się lekkomyślna? A może naprawdę chciała mnie pocałować?

Jednak bez zapowiedzi czy ostrzeżenia Jillian bierze mnie za rękę. Jestem zaskoczony i niemal wstrząśnięty, ponieważ chwytła tę zdeformowaną dłoń, czego, kurwa, nie znoszę.

Nienawidzę tego, bo nie chcę, żeby poczuła do mnie obrzydzenie, a także dlatego, że pozostałość skóry po straconych palcach jest zdrętwiała i tak naprawdę nie czuję za wiele w tym miejscu.

Jednak przede wszystkim jestem zażenowany i zawstydzony, dlatego unoszę nieco dłoń z zamiarem zabrania jej i zamienienia stron, by móc trzymać Jillian lewą ręką.

Tymczasem moje starania zostają ~~udaremnione~~ nagrodzone, gdy dziewczyna zaciska palce wokół szczytków mojej prawej dłoni i mruczy pojedyncze słowo:

– Nie.

Nie zabieraj ręki.

Nie bój się.

Nie wstydz się.

Po prostu nie.

Próbuję uspokoić rozentuzjasmowane serce i wypchnąć z głowy wszelkie dręczące mnie myśli, aby cieszyć się tą chwilą. To trudne, ponieważ od bardzo dawna nie pozwalałem sobie na takie gesty. Ukrywałem się przed światem, przez co dotyk drugiej osoby stał się mi obcy.

Nie jestem pewien, czy teraz mi się to podoba, ale mimo to nie zabieram ręki.

Kiedy stajemy pod domem Keitha, mężczyzna mówi:

– Zapraszam do środka. Przedstawię was Cammie.

Wchodzimy więc, jednocześnie zastanawiając się, jak bardzo wkurzona będzie na nas ta kobieta. Gdy znajdujemy się wewnątrz, pani domu wkracza do salonu i przygląda się nam z uniesionymi wysoko brwiami i rękami defensywnie skrzyżowanymi na piersi. Keith jest zbudowany jak tur, jednak Cammie to jego zupełne przeciwieństwo – mała, drobna, delikatna.

– Złapałem ich – mówi Keith, wskazując na nas przez ramię. – Posprzątają ten bałagan, po czym wszyscy napijemy się piwa.

Cammie unosi brwi jeszcze wyżej.

– Już posprzątałam, splukałam wszystko wodą z węża, zanim zaschło.

– Co? – pyta Keith, drapiąc się po głowie. – To co niby mam zrobić z tymi ludźmi? Nie mogę dać im piwa bez uprzedniej kary.

Connor parska śmiechem, przez co kobieta skupia na nim wzrok. Jej oczy natychmiast wypełniają się współczuciem, gdy Cammie rozpoznaje w nim chorobę.

– Cóż – mówi, uśmiechając się łagodnie do chłopaka i rozkładając ręce. Wskazuje na kuchnię i dodaje: – Możecie dokończyć mycie naczyń, wtedy będziemy kwita.

– Dobra – zgadza się pospiesznie Connor, a twarz kobiety łagodnieje jeszcze bardziej.

Okej... chyba muszę przyznać, że Keith i Cammie to najfajniejsi najdziwniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek poznałem.

– Rzucanie jajami w domy naprawdę było na twojej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią? – pyta Cammie, gdy wszyscy siedzimy na tarasie. Jest niewielki, ze stolikiem i czterema krzesłami. Cammie, Connor, Jillian i Barb siedzą przy ławie, podczas gdy ja i Keith opieramy się o barierkę.

Connor wzrusza ramionami.

– Już od dawna jestem chory, dlatego przegapiłem wiele rzeczy, które robi się w okresie dorastania.

– Cóż, cieszymy się, że wybraliście nasz dom – mówi kobieta żartobliwie, wznosząc toast piwem w kierunku chłopaka.

Connor z nieśmiałym uśmiechem stuka się z nią swoją puszką.

– Nigdy tego nie zapomnę.

– Chcielibyśmy podziękować za wyrozumiałość – mówi Jillian. Siedzi do mnie tyłem, ale wyobrażam sobie przepaszający wyraz jej twarzy. Puściła moją dłoń, gdy weszliśmy do domu Keitha. Od tamtego czasu ledwie na mnie spojrzała.

– Jak dawno to się stało? – pyta stojący obok mnie Keith, co nie obraża mnie tak bardzo, jak „dziękuję za twoje poświęcenie dla kraju”.

Obracam się i widzę, że ruchem głowy wskazuje moją nogę.

– Trochę ponad półtora roku temu.

Mężczyzna odwraca się i opiera łokcie na barierce, trzymając w ręku piwo. Ten gest sugeruje, że Keith chce porozmawiać ze mną nieco bardziej prywatnie, dlatego ja także obracam się plecami do grupy. Wypiłem już swoje piwo, a ponieważ prowadzę, nie wziąłem kolejnego. Jestem pewien, że mógłbym kierować autem nawet po opróżnieniu dwóch puszek, nie chcę jednak, by Jillian reszta martwiła się o mój stan.

Mam świadomość, że Jillian opowiada Cammie o naszej grupie, o tym, jak postanowiliśmy wyruszyć w tę podróż, jednak ja staram się skupić na słowach Keitha, który mówi:

– Straciłem na wojnie przyjaciela.

– Przykro mi, stary – mamrocze, bo serio... cóż miałbym innego powiedzieć?

Hej, w porównaniu do mnie twój kumpel miał szczęście.

– A u mnie zdiagnozowano ten cholerny zespół stresu pourazowego – ciągnie mężczyzna, wpatrując się w ciemny ogród. Jego słowa sprawiają, że dziwnie się czuję. To osobista sprawa, a ja już zbyt wiele nasłuchałem się od moich towarzyszy siedzących teraz przy stole. – Powiedzieli, że mam wyrzuty sumienia, ponieważ udało mi się przeżyć.

A ja do tej pory uważałem Keitha za fajnego kolesia. Odpuścił nam rzucanie jajami i w ramach gościnności zaprosił na piwo. Jednak za cholerę nie chcę, by zrujnował moje wyobrażenie o nim, mówiąc mi o swoich pieprzonych wyrzutach sumienia. Nie ma pojęcia, jakim wielkim jest szczęściarzem.

Mimo to pilnuję, by mój głos był cichy, gdy pytam:

– Jakim cudem możesz mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, że uszedłeś z życiem i bez ran z tej wojny?

Keith patrzy mi w oczy.

– Myślę, że wstąpiliśmy do wojska z zupełnie innych powodów. Ja byłem trzecim pokoleniem mundurowych w mojej rodzinie. Pole walki stało się moim przeznaczeniem już w dniu narodzin. W przypadku powołania do armii moim obowiązkiem było umrzeć za kraj.

– No chyba sobie jaja robisz. – To cała moja odpowiedź, ponieważ nikt nie powinien nikomu rozkazywać iść na śmierć.

– Może trochę przesadziłem, ale to prawda. Od zawsze chciałem zaciągnąć się do wojska, by służyć ojczyźnie. To był dla mnie zaszczyt, gdy dostałem przydział. Zaszczyt, by służyć z mężczyznami i kobietami, którzy poświęcili dla kraju zdrowie, a nawet życie.

– Tak, cóż, ja nie pisałem się na takie poświęcenie – mówię cicho, zaciskając ręce w pięści, boleśnie pragnąc zapalić po raz pierwszy, odkąd obiecałem Jillian, że nie będę tego robić.

Keith nie spiera się ze mną, zamiast tego pyta:

– Dlaczego się zaciągnąłeś?

Wzruszam ramionami.

– Myślałem, że to lepsze wyjście niż życie i praca w kopalni węgla.

– Żałujesz tego teraz, prawda? – docieka.

Mam ochotę przytaknąć. Gdybym został w domu i pracował w kopalni jak reszta mojej rodziny, moje ciało wciąż byłoby kompletne, a Maria zostałaby moją żoną. Jednak coś powstrzymuje mnie przed pospieszną, sentymentalną odpowiedzią.

Właściwie w ogóle nie potrafię mu odpowiedzieć i nawet nie wiem dlaczego.

– Może jesteś tu, gdzie powinieneś być – mówi cicho Keith, wskazując ruchem głowy za siebie. – Widziałem cię z twoją dziewczyną. Nie poznalibyście się, gdybyś nie trafił na terapię, a nie trafiłbyś na terapię, gdyby nie urwało ci nogi, prawda?

No tak... oczywiście, ale nie wiem, czy poznanie Jillian to coś dobrego. Choć dziewczyna mnie intryguje i fascynuje, nie jestem pewien, czy jest tym, czego naprawdę potrzebuję albo pragnę. I przecież to nie „moja dziewczyna”.

Gdyby nią była, musiałbym poważnie skorygować swoje nastawienie, a nie wiem, czy jestem gotowy na tak ciężką pracę. Dobrze mi w moim samotnym świecie pełnym złości i choć codziennie staję się jeszcze większym frajerem, boję się wyjść poza swój krąg.

Nie chcę rozmawiać o Jillian z nieznajomym. Może wypiliśmy razem piwo, ale nie znam tego gościa. On również nic o mnie nie wie poza faktem, że służyłem w wojsku. Nie mam zamiaru zdradzać żadnych fantazji na temat Jillian, zwłaszcza że nie jestem pewien, czy wolno mi je mieć.

Jednak ciekawi mnie jedna rzecz, a Keith może być właściwą osobą, by o to zapytać:

– Z tego względu, że wojsko było całym twoim życiem... podejrzewam, że lubisz, gdy ludzie dziękują ci za służbę, co?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Tak... to znaczy, miło z ich strony, ale nie dlatego się zaciągnąłem.

Zwieszam głowę i zerkam na swoją zniekształconą dłoń. To wciąż moja dominująca ręka, nawet jeśli została jej tylko połowa. Unoszę głowę i znów

spoglądam na Keitha.

– Ja tego cholernie nienawidzę. Nie znoszę, gdy nieznajomi gapią się na mnie z litością, podchodzą, by uścisnąć mi rękę. Wyciągają prawą dłoń, pokazując, jacy są dzielni i że nie boją się deformacji mojej dłoni, jakby robili mi łaskę, próbując mi udowodnić, że jestem normalny. I Chryste... kiedy mówią, jak bardzo im przykro z powodu moich obrażeń i jak bezpiecznie się czują dzięki mojemu poświęceniu, mam ochotę pourywać im łby. Ich słowa tylko przypominają mi o gównianym życiu, jakie wiodę.

Patrząc na mnie z uniesionymi brwiami, Keith mówi:

– Stary, masz w sobie wiele gniewu.

– Właśnie dlatego znalazłem się na terapii – odpowiadam oschle, znów wpatrując się w ciemny ogród.

– Ludzie powinni ci dziękować – dodaje mężczyzna, więc natychmiast spoglądam na niego, marszcząc brwi.

– Co?

– Ludzie powinni ci dziękować – powtarza. – To rzeczywiście było poświęcenie.

– Gówno prawda – warczę, następnie się przysuwam. – Utrata nogi i połowy dłoni w żaden sposób nie przysłużyła się ani jednemu Amerykaninowi.

Keith kładzie rękę na moim ramieniu i lekko ściska. To ojcowski gest, choć gość nie może być ode mnie starszy więcej niż dziesięć lat.

– To dlatego, że tu nie chodzi o ciebie. Chodzi o wszystkich. Twoją jednostkę, twoją kompanię. O wasz wspólny wysiłek na wojnie. Naszą pracę, by utrzymać stabilizację w regionie. Stałeś się pojedynczą ofiarą, ale świadomie zaciągnąłeś się do wojska, znając ryzyko. Kiedy to ryzyko cię dopadło, dokonałeś poświęcenia bez względu na to, czy tego chciałeś, czy nie.

– Nie chciałem – odpowiadam.

– Kurwa, a kto by chciał? – rzuca, zabierając dłoń z mojego ramienia. – Nie zapytam, czy chcesz usłyszeć ode mnie radę, bo zapewne powiesz, że nie, ale i tak ci ją dam. Sugeruję, byś wyciągnął głowę z tyłka i dostrzegł dobro wokół siebie. W przeciwnym razie będziesz wiódł długi i nieszczęśliwy żywot.

Ma rację. Nie potrzebuję jego rady, ale on i tak zmusza mnie do jej wysłuchania.

A najbardziej żałosne jest to, iż wiem, że ma rację. Wielokrotnie powtarzałem sobie, że muszę porzucić swoje problemy. Być silny. Uporać się z nimi po męsku. Wymyślić, jak przetrwać. Od miesięcy zdaję sobie sprawę, że jeśli się nie pozbieram, do końca swoich dni będę nieszczęśliwy.

Właśnie dlatego czasami myślę o samobójstwie. Nie chcę przecież, by moje życie tak wyglądało. Nie mam wystarczająco silnej woli, by przetrwać, nawet pomimo tego, iż Jillian uważa, że jest dokładnie na odwrót.

ROZDZIAŁ 12

Miesiąc wcześniej...

– Chciałabym coś zaproponować – powiedziała Jillian, siadając prosto na krześle, patrząc tylko na Mags. Zrobiła to, wiedząc, że ani Barb, ani mnie to nie obejdzie, a cokolwiek by to nie było, Connor i tak się zgodzi.

– Co takiego? – zapytała z zainteresowaniem liderka.

– W zeszłym tygodniu dużo rozmawialiśmy o umieraniu Connora i o tym, że zaczął on ustalać w swoim życiu priorytety – rozpoczęła ostrożnie, obracając się i posyłając chłopakowi pocieszający uśmiech. Connor spojrzał na nią, pałając uwielbieniem. Tych dwoje bardzo szybko się ze sobą zżyło. – Są rzeczy, które chciałby zrobić, zanim będziemy musieli się z nim pożegnać, więc pomyślałam, że moglibyśmy pomóc mu z niektórymi sprawami.

Interesujące, że powiedziała „będziemy musieli”, jakbyśmy byli rodziną lub najlepszymi przyjaciółmi, a jego śmierć miała na nas wpłynąć. Osobiście nie obchodziło mnie, czy, kiedy i gdzie umrze ten dzieciak. To nie miało ze mną nic wspólnego.

Mimo to uważnie przyglądałem się Jillian. Przez pierwsze dwa tygodnie wbijałem wzrok w przemysłową szarą wykładzinę, jednak podczas dwóch ostatnich spotkań, uświadomiłem sobie, że nie potrafię oderwać wzroku od tej dziewczyny. Miło słuchało się jej głosu, jednak widok jej twarzy i tych oczu... Cóż, najfajniej byłoby mieć cały zestaw.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytała Mags, zakładając nogę na nogę, dzięki czemu zauważyłem, że miała skarpetki z kotem Sylwestrem i kanarkiem Tweetym.

Jillian się zawahała, dlatego już wtedy wiedziałem, że poprosi o coś niemożliwego. Wzięła głęboki wdech, wypuściła powietrze i powiedziała:

– Connor nigdy nie widział Zachodniego Wybrzeża. Przed śmiercią pragnie

zobaczyć Pacyfik i choć wiem, że to wielka, monumentalna podróż, chciałabym, byśmy wyruszyli w nią jako grupa i po drodze zrobili kilka innych rzeczy. – Nie urwała nawet, by zaczerpnąć tchu. Wydawało mi się, że przygotowała uprzednio tę mowę. – Mags, zawsze powtarzasz, że powinniśmy się nieco bardziej zintegrować, a tutaj... niezbyt dobrze nam to wychodzi. – W tej chwili rzuciła spojrzeniem, a raczej obróciła powoli głowę, i popatrzyła na Barb i mnie, a następnie powróciła wzrokiem do Mags. – Pomyślałam, że może taka podróż mogłaby... no nie wiem... zbliżyć nas do siebie. Z pewnością to szalony pomysł, ale uważam, że powinniśmy zrobić coś więcej, a nie tylko siedzieć w tej sali i w kółko opowiadać o tych samych problemach.

Kiedy skończyła, odetchnęła z ulgą, jakby wykorzystała całą swoją odwagę, by to z siebie wyrzucić.

– Nie jestem pewna, czy to w ogóle możliwe – powiedziała Mags uprzejmym, choć dobitnym tonem. – Connor jest nieletni...

– Jego rodzice już się zgodzili – wypaliła Jillian.

Kobieta przez chwilę milczała, uśmiechając się lekko, aż w końcu skinęła głową.

Przez ostatnie tygodnie wystarczająco się nasłuchiwałem, by wiedzieć, że rodzice zgadzali się na każdą zachciankę Connora. Nie rozpieszczali go, ale chcieli zapewnić mu cudowną tę resztę życia, jaka mu pozostała. Byłem jednak lekko zaskoczony tym, że pozwolili mu pojechać na kilkudniową wycieczkę, ponieważ wtedy nie spędziliby tego czasu razem z nim, ale... miałem wrażenie, że chłopak mógł żądać od nich wszystkiego, czego tylko zapragnął.

– Co ty na to, Christopherze? – zapytała Mags.

– Nie jestem zainteresowany – mruknąłem, gapiąc się pod nogi.

– Dlaczego nie? – naciskała.

Hm... Dlaczego nie?

Ponieważ nie wiedziałem, czy przez kilka dni zdołam znieść obecność Jillian. Godzina tygodniowo była dla mnie wystarczająco okrutna. W pierwszym tygodniu ją znienawidziłem, nawet jeśli uważałem, że jest seksowna. Jednak im dłużej jej słuchałem, tym bardziej stawałem się ciekawy jej osoby.

Przez wiele tygodni słuchałem miękkiego głosu Jillian z lekkim południowym akcentem. Pochodziła z Karoliny Północnej, stanu, który w porównaniu do moich terenów leży dalej na południe, jednak to ja bardziej brzmiałem jak wieśniak. Jej głos był lekki, melodyjny... niemal jak muzyka. No i to senne spojrzenie, a także cholerny uśmiech, który nie schodził jej z twarzy. Cała była niesamowicie seksowna.

Jednak jej uśmiech nie miał dla mnie sensu.

Jillian zawsze wydawała się szczęśliwa i zadowolona. Matkowała Connorowi, żartowała z Mags i kilkakrotnie próbowała nawet zagadać do Barb lub

do mnie. Przepelniał ją optymizm, co oznaczało, że nie pasowała do tej grupy, a ja miałem za idiotę każdego, kto tego nie dostrzegął.

Jednak co ważniejsze, i co również zajmowało mój umysł, Jillian nigdy nie mówiła o swoich obawach. O ile było mi wiadomo, nie bała się śmierci. Zaakceptowała to, że niedługo straci wzrok, nawet z tego żartowała. Pewnego dnia stwierdziła, że jest wdzięczna za to, iż przez dwadzieścia lat mogła oglądać świat, ponieważ to oznacza, że ma o wiele większe szczęście niż osoby, które urodziły się niewidome.

Przysięgam, zachowywała się jak jakaś pieprzona Królowa Śnieżka... skacząca, tańcząca po lesie i śpiewająca z ptakami. Nie znosiłem tego, ponieważ byłem chorym gnojkiem, ale jednocześnie chciałem być tego świadkiem.

– Christopherze – powiedziała Mags, wyrывая mnie z zamyślenia. – Dlaczego nie podoba ci się ten pomysł? Myślę, że mogłabym odpuścić ci kilka spotkań, gdybyś zdecydował się pojechać.

Nagle stałem się bardzo zainteresowany. Zainteresowany głosem Jillian, jej włosami, oczami, zapachem i pieprzonym spojrzeniem na życie. Jednak problem polegał na tym, że wcale tego nie chciałem. Na tej ścieżce znajdowało się zbyt wiele niebezpieczeństw i pułapek, bym mógł nią podążyć.

– A po co? – zapytałem oschle. – On i tak umrze. Widok oceanu w niczym nie pomoże.

Spodziewałem się, że ktoś skarci mnie za bycie chamem.

Ku mojemu zaskoczeniu Jillian pochyliła się na krześle i uniosła głowę, by lepiej mnie widzieć, ponieważ normalnie uniemożliwiały jej to opadające powieki, i powiedziała:

– No dalej, Christopherze. Gdzie twoje pragnienie przygód?

Poczułem gniew, więc spiorunowałem ją wściekłym wzrokiem.

– Straciłem je wraz z nogą.

Dziewczyna się nie przestraszyła. Jedynie popatrzyła na mnie z rozczarowaniem, komentując to pojedynczym słowem:

– Typowe.

– Typowe? – warknąłem.

– Typowe – powtórzyła. – Ukrywasz się. W porządku... Rozumiem, że w ten sposób czujesz się bezpieczniej. Nie bierzesz czynnego udziału w tych spotkaniach, więc domyśliłam się, że odmowa wyruszenia w podróż jest dla ciebie typowa.

Zaczerwieniłem się, gdy poczułem prawdziwy wstyd. Doznałem jeszcze większego zażenowania, bo Jillian zapewne spostrzegła moje czerwone policzki.

– Nic o mnie nie wiesz – zagrzmiałem.

– Dokładnie – odparła.

I wtedy to do mnie dotarło.

Ona chciała mnie lepiej poznać.

Mnie.

Och, nie żebym myślał, iż zaplanowała tę podróż tylko z tego powodu. Serce niewątpliwie kazało jej ~~wtykać nos w nieswoje sprawy~~ postąpić słusznie, dlatego ewidentnie organizowała tę wyprawę dla Connora, ale jednocześnie kusiła mnie, bym z nią pojechał.

Naprawdę chciała, żebym tam był.

Mogłem? Mogłem siedzieć z nią w samochodzie, przemierzając setki kilometrów, słuchając jej słów, wchłaniając jej woń... próbując rozwikłać zagadkę jej optymizmu?

Nie chciałem wyjść na mięczaka, który łatwo się poddaje, więc spróbowałem postąpić jak prawdziwy facet.

– Dobra, niech będzie. Zrobię to, jeśli Barb pojedzie z nami.

Zakładałem, że dziewczyna nie skusi się na coś takiego.

Spojrzałem na nią pewien, że wybawi mnie z opresji.

Barb wzruszyła jedynie ramionami z tym swoim na wpół złym, na wpół znudzonym wyrazem twarzy i powiedziała:

– Jasne. I tak nie mam nic innego do roboty.

Ooo, Chryste, ależ miałem przejebane.

ROZDZIAŁ 13

Obecnie...

Do motelu wracamy niemal o północy. Wychodząc od Keitha i Cammie, Jillian i Connor uściskali gospodarzy i obiecali pozostać w kontakcie. Najwyraźniej zawiązała się nowa przyjaźń. Uścisnąłem mężczyźnie rękę, ale wiem, że już nigdy więcej nie będzie nam dane ze sobą porozmawiać. Skinąłem głową Cammie i podziękowałem za piwo, jednak nie przeprosiłem za obrzucenie jej domu jajami.

Barb mruknęła tylko „na razie” i wyszła.

Droga do motelu upłynęła w ciszy. Nie prowadziliśmy żadnej rozmowy, ponieważ wykończony Connor zasnął, opierając głowę o szybę, Barb i tak niewiele mówiła, a atmosfera pomiędzy mną a Jillian stała się niezręczna. Od momentu gdy weszliśmy do domu Keitha, w ogóle nie rozmawialiśmy ani się nie dotykaliśmy. Oczywiście pierwszą i najbardziej bolesną myślą było to, że popełniliśmy błąd.

Czy do pocałunku doszło wyłącznie pod wpływem chwili? Dlaczego dziewczyna trzymała mnie później za rękę z takim oddaniem? Czy zrobiła to z wdzięczności za wstawienie się za Connorem? Bo stanąłem w jego obronie, a dzieciak był dla niej jak młodszy brat?

Tylko o to chodziło, prawda?

Na nasz motel składają się tanie, proste budynki ustawione rzędami na prawo i lewo od recepcji. Po jednej stronie znajduje się też basen, ale pusty i zarośnięty mchem. Pokoje są tak stare, że ich klucze wyglądają na antyczne, a w środku śmierdzi stęchlizną.

Nasze pokoje sąsiadują ze sobą, przenieśliśmy do nich swoje rzeczy, zanim pojechaliśmy na obiad i cmentarz. Kiedy parkuję suburba, Barb zaskakująco łagodnym głosem budzi chłopaka.

– Connor... wstawaj.

W lusterku wstecznym widzę, że dziewczyna dotyka jego ramienia. Młody

unoszą głowę, mruga i ociera niewielką ilość śliny z podbródka. Barb chyba się uśmiecha, zgaduję po uniesionych o pół centymetra kącikach ust.

Wysiadamy. Connor idzie do naszego pokoju, Barb do drugiego, wyciągając po drodze klucz. Kiedy czarnowłosa otwiera drzwi, Jillian staje przed samochodem i mówi:

– Christopherze... mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Barb spogląda przez ramię, przez moment unosząc pytająco brwi, po czym znika w pokoju. Przeszywa mnie niewielki dreszcz. Nie jestem pewien, czy to strach, czy ekscytacja z powodu tego, czego chce ode mnie Jillian, ale kiwam tylko głową i rzucam klucz Connorowi. Chłopak wyciąga rękę, ale nie udaje mu się go złapać. Klucz upada z brzękiem na beton pod drzwiami. Connor uśmiecha się zawstydzony, podnosi przedmiot i również znika w pokoju.

Obracam się do Jillian, udając wyluzowanego i wkładam ręce do kieszeni spodenek.

– Co tam?

– Chciałabym porozmawiać o naszym pocałunku – mówi prosto z mostu, ale nawet jej bezceremonialność jest melodyjna.

Wzruszam ramionami.

– Nie ma sprawy. Jestem pewien, że to tylko...

– Chciałabym to powtórzyć – mówi cicho, mimo to znaczenie jej słów uderza we mnie z wielką siłą.

– Co? – pytam z wyraźnym niedowierzaniem. – Dlaczego?

Na twarzy Jillian pojawia się uśmiech, którym już kilkakrotnie mnie obdarowała, dlatego go rozpoznaję. To wyraz zrozumienia... jakby wiedziała, dlaczego te, a nie inne słowa wychodzą z moich ust, nawet jeśli sam tego nie pojmuję.

Zbliża się o dwa kroki i staje ze mną nos w nos. Jeszcze mocniej wbijam ręce w kieszenie, patrząc w dół na jej twarz. Jak zwykle unosi głowę, by lepiej mnie widzieć pomimo swoich opadających powiek. Bez wstydu, wahania czy jakichkolwiek wątpliwości kładzie prawą rękę na środku mojej piersi. Wiem, że w tym miejscu jest w stanie wyczuć moje galopujące serce.

– Chciałabym, byś ponownie mnie pocałował – mówi słodko. – Ostatni pocałunek nie trwał wystarczająco długo.

– Nie rozumiem – mamrocze, ponieważ jestem przekonany, i to w stu procentach, że to niewłaściwe i że ta kobieta mną pogrywa.

Jillian przechyla głowę i ściąga brwi.

– Czego tu nie pojmujesz? Lubię cię. Nasz pierwszy pocałunek bardzo przypadł mi do gustu. Chciałabym go powtórzyć, więc cię o to proszę. No chyba, że tobie się nie podobało.

Ignoruję jej przypuszczenia i koncentruję się na źródle swoich obaw.

– Lubisz mnie?

Przewraca oczami. Robi to powoli, ale ogólny przekaz jest jasny. Uznała to pytanie za głupie.

– Tak, lubię cię – powtarza z irytacją.

Teraz ją marszczy brwi.

– Dlaczego?

Jillian odchyła głowę do tyłu i śmieje się, a kiedy ponownie na mnie patrzy, jej niebieskie tęczówki błyszczą rozbawieniem.

– Cóż, oczywiście dlatego, że jesteś przystojny. Być może kiepsko widzę, ale wciąż potrafię to dostrzec.

Dobra, to zwykła ściema.

Jillian, jakby czytając mi w myślach, podchodzi jeszcze bliżej i mówi cicho:

– I niech ci się nie wydaje, że obrażenia, jakich doznałeś, odejmują ci atrakcyjności.

– Gównno...

– Jesteś dupkiem... Atrakcyjnym dupkiem, i to dziwne, że mnie do ciebie ciągnie, ale szczerze mówiąc, nie jesteś aż takim wielkim dupkiem.

Jestem zdezorientowany.

– Że co?

– Prawdę mówiąc, jesteś trochę niekonsekwentny – dodaje z uroczym wzruszeniem ramion i powolnym trzepotaniem rzęsami. – Mówisz podłe rzeczy, by ukryć za nimi swoją prawdziwą naturę, ale to raczej oczywiste. Ukrywasz się, jestem pewna, że masz milion powodów, aby to robić. Nigdy nie wspominasz o tym, co cię spotkało, ani jak się z tym czujesz, bo wyraźnie nie masz na to ochoty. Zachowujesz się więc jak dupek, by odsunąć od siebie ludzi. Jak mówiłam... to zupełnie oczywiste.

– Co to ma do lubienia mnie? – pytam cicho, jednak nim ma szansę odpowiedzieć, odzywa się jej telefon. Jillian wyciąga go z tylnej kieszeni i od razu przelączy rozmówcę na pocztę głosową.

Najwyraźniej kobieta jest lubiana przez innych, ponieważ jej komórka często dzwoni, choć nie widziałem, by kiedykolwiek ją odebrała. Connor zapytał ją o to kiedyś, ale odpowiedziała jedynie, że preferuje pisanie wiadomości.

Ma to sens, ponieważ sam również wolę SMS-ować...

Jillian płynnie wraca do tematu, jakby dzwoniący telefon w ogóle nie przerwał naszej rozmowy:

– Według mnie dzieje się tak, ponieważ nie jesteś zbyt dobry w byciu dupkiem, zapewne wcześniej taki nie byłeś. Chciałabym poznać prawdziwego Christophera Barłowa, jednak zanim zdecydujesz mi się go pokazać, powiem „bo jesteś przystojny” jako powód, dla którego mam ochotę cię pocałować.

Czuję, jak w głębi mojego gardła powstaje dziwny, bulgoczący dźwięk.

Początkowo zjeżdża niżej, po czym podchodzi do góry i, co całkowicie mi obce, wyrывa się z moich ust.

To śmiech.

Zaskoczony parskam śmiechem, którego nie chciałem uwalniać i szczerze mówiąc, nie sądziłem, że jestem do niego zdolny. Ale, cholera, Jillian jest taka zabawna i słodka, dzięki czemu naprawdę zaczynam sądzić, że może jest jeszcze dla mnie nadzieja.

Kobieta odpowiada uśmiechem.

– Chryste – mamroczę, wyciągając lewą rękę z kieszeni i delikatnie chwytając dziewczynę za kark. – Jesteś jak jasny promień wschodzącego słońca, którego nie są w stanie zablokować nawet najciemniejsze okulary przeciwsłoneczne.

Patrzy na mnie z grymasem.

– To był komplement, prawda?

Odpowiadam jej pocałunkiem, o który przed chwilą prosiła, ponieważ wybacza mi chamstwo i uważa, że jestem przystojny. Przez ostatnie miesiące niechętnie podejmowałem ryzyko, ale w tym momencie uważam, że ta kobieta warta jest odrobiny szaleństwa.

Przynajmniej jeśli chodzi o pocałunek.

Kiedy nasze wargi się stykają, całe moje ciało rozluźnia się na chwilę, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Następnie Jillian odważnie otwiera usta, by nasze języki się spotkały, a wszystkie moje mięśnie się spinają. Nieznacznie zaciskam palce na jej karku, tłumiąc jęk, który chce się wydostać z mojego gardła. Jillian wzdycha w moje usta, gdy językiem pieści mój. To lekki, senny wyraz zadowolenia, przez co czuję się odrobinę bardziej męsko.

To najlepszy pocałunek, jaki pamiętam, co oznacza, że czas się odsunąć. Kończę, delikatnie ocierając swoje wargi o jej. Robię to, ponieważ ten pocałunek był idealny, a nie chcę, by cokolwiek go w tej chwili zepsuło.

Patrzę, jak Jillian powoli otwiera oczy i z tęsknotą zamyka usta. Kiedy ponownie skupia na mnie wzrok, mówi:

– To było dobre.

– Tak, masz rację – przyznaję niechętnie, bo byłoby dla nas łatwiej, gdyby pocałunek okazał się kiepski.

Jillian głaszcze mój mostek kciukiem, po czym się odsuwa.

– Mam nadzieję, że to powtórzymy. Dobranoc, Christopherze.

Stoję nieruchomo, patrząc, jak idzie do swojego pokoju. Puka do drzwi, nie oglądając się na mnie. Kilka sekund później otwiera jej Barb. Jillian znika w środku, a ja jestem bardziej dezorientowany niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy idę do swojego pokoju, który mam dzielić z Connorem, widzę, że chłopak nie zamknął do końca drzwi, pozostawiając je nieznacznie uchylone. Po

wejściu do środka zauważam, że Connor leży na łóżku stojącym bliżej łazienki i serfuje po Internecie na telefonie.

Patrzy na mnie i uśmiecha się nieznacznie.

– No co? – pytam defensywnie, zastanawiając się, czy podglądał nas przez okno.

Connor kręci głową.

– Nic.

– Oczywiście, że nic – mamroczę, wyciągając saszetkę z kosmetykami z torby.

W drodze do łazienki mijam jego łóżko, jednak słowa Connora zatrzymują mnie w miejscu.

– Ona naprawdę cię lubi.

Spoglądam na niego natychmiast.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo tak mi powiedziała.

– Powiedziała ci? – pytam, powątpiewając.

– Tak – odpowiada, z przekonaniem kiwając głową. – Bardzo cię lubi.

Nadal nie mogę pojąć dlaczego. Może i pochwaliła moją urodę i wytknęła mi, iż tak naprawdę wcale nie jestem dupkiem, ale teraz dowiaduję się jeszcze, iż zdradziła Connorowi, że mnie lubi.

Może jest w tym ziarno prawdy.

A może jestem dla niej jedynie sposobem na zabicie wolnego czasu.

W bezprecedensowym przypływie szczerości sprzedaję Connorowi kłamstwo, które powinno być prawdą:

– Chyba nie jestem zainteresowany.

– Dlaczego? – Chłopak unosi wysoko brwi, a na jego twarzy maluje się niedowierzanie. – Ona jest wspaniała.

Najwyraźniej, gdy określiłem już swoje stanowisko, muszę go bronić.

– Sparzyłem się wcześniej. Nie chcę ponownie wpakować się w taką sytuację.

– Sparzyłeś się? Jak?

Wzdycham, przeczesując włosy palcami.

– Krótko mówiąc, miałem dziewczynę, która rzuciła mnie, gdy nie wszystkie części mojego ciała wróciły z pustyni.

Connor się krzywi, ale i tak dopowiadam resztę:

– Podczas rehabilitacji rodzice nigdy mnie nie odwiedzili, nie mogli znieść mojego widoku. Nie chcę znów zostać porzucony.

Podpierając się na łokciu, chłopak patrzy na mnie z powagą.

– Christopherze, nie sądzę, by to, że cię zostawili, miało cokolwiek wspólnego z twoimi obrażeniami. Według mnie chodzi tutaj o to, że to oni są

dupkami. To oni okazali się podli i słabi, to oni się załamali.

– Może tak – odpowiadam – ale mam przez to problemy z zaufaniem.

Connor przygląda mi się ze współczuciem.

– I z gniewem. Nic dziwnego, że jesteś dupkiem. Teraz całkowicie to rozumiem.

Mimowolnie parskam śmiechem. Z jakiegoś powodu ten chłopak sprawia, że się rozluźniam, więc przyznaję:

– Poza tym... Jillian jest zbyt dobra, by lubić kogoś takiego jak ja.

– Wcale nie – zaprzecza Connor. – Ona nie patrzy na ciebie, jakbyś był niekompletny czy mniej wartościowy.

– Nie o to mi chodziło – wyjaśniam, kręcąc głową. W chwili, w której złapała mnie za zdeformowaną rękę, uświadomiłem sobie, że nie przeszkadzają jej moje blizny. – Raczej o to, że mój bagaż jest dla niej za ciężki. Moje problemy są za wielkie. Szybko pociągnę ją w mrok i zgaszę jej światło.

– Albo – podsuwa Connor – jej światło okaże się tak mocne, że to ona wyciągnie cię z tego mroku.

Prycham drwiąco. Ta myśl jest miła, ale okazałbym się głupcem wierząc, że może być to prawda.

ROZDZIAŁ 14

Dokładnie zaplanowałem całą naszą podróż przez kraj. Chciałem jechać z Raleigh prosto do Los Angeles, co w przybliżeniu powinno zająć jakieś trzydzieści pięć godzin. Connor jednakże chciał zobaczyć określoną część Pacyfiku, a dokładniej miejsce zwane Cannon Beach w Oregonie. To oznaczało dodatkowe dziesięć godzin wycieczki, ponieważ musieliśmy skierować się na północny wschód. Następnie zjechałem z obranego kursu, by Barb mogła nasikać na grób wujka, który ją niegdyś molestował.

Wszystko jest w porządku. Wróciliśmy na szlak, udając się do Denver.

Jasne, nie wysiadając z samochodu, moglibyśmy przebyć całą trasę nieco szybciej, ale nie ufam nikomu na tyle, by pozwolić mu prowadzić mojego suburbana. Jillian ma problemy ze wzrokiem, Connor jest niedoświadczony, a Barb zapewne zjechałaby z klifu. Postanowiłem więc prowadzić jakieś dziewięć, dziesięć godzin dziennie i rozciągnąć tę wyprawę na kilka dni.

Aby nadrobić odstępstwa od wyznaczonej trasy, postanowiłem jechać dziś tak długo, aż dotrzemy do Denver, dlatego właśnie nalegałem, byśmy wyruszyli o szóstej rano.

Jednak nic nie przychodzi łatwo. Jillian od razu sabotuje mój plan, przy czym wydaje mi się, że robi to z przyjemnością. Kiedy przekładam rzeczy w bagażniku, czekając na grupę, kobieta pojawia się nagle z tyłu samochodu.

– Dzień dobry – mówi jakby z wahaniem.

Obracam się, by na nią spojrzeć. Wzdycham i przeciągam słowa, pytając:

– Czego chcesz?

Nauczyłem się już rozpoznawać ten wyraz twarzy, gdy zamierza prosić o coś, czego nie spodziewa się dostać. Tę samą minę miała, proponując tę podróż, a także gdy powiedziała, że zapomniała portfela i muszę pożyczyć jej pieniądze.

– Moglibyśmy ponownie zmienić trasę? – pyta szybko, a ja staram się nie zwracać uwagi na jej usta. Za bardzo przypominają mi o naszych pocałunkach. –

To byłaby naprawdę niewielka zmiana. Jakieś dodatkowe pięć godzin, ale dalibyśmy radę je nadrobić.

Unoszę brwi, stoję prosto i krzyżuję ręce na piersi.

– A dokąd chcesz jechać?

– Do Yellowstone – rzuca. – Connor z pewnością ucieszyłby się, mogąc go zobaczyć. Sprawdziłam w wyszukiwarce Google... Wyszło mi, że gdybyśmy z Denver nie pojechali do Boise, zajęłoby nam to dodatkowo tylko pięć godzin.

– Na miłość boską, Jillian – mówię z sarkazmem – to nie będzie tylko pięć godzin, ale cały dzień, ponieważ gdy dojedziemy na miejsce, nie obejrzymy jedynie tabliczki z nazwą parku i nie odjedziemy od razu. Trzeba tam trochę pojeździć, by cokolwiek zobaczyć.

– Wiem – przyznaje – ale zgódź się, Christopherze. Connor umiera. Dlaczego nie możesz poświęcić kolejnego dnia, by urzeczywistnić jego marzenie?

Jeszcze dwa dni temu odparłbym: bo gównu mnie to obchodzi.

Jednak dzisiaj najwyraźniej jestem już innym człowiekiem, ponieważ kiwam głową, zgadzając się bez wahania.

– Dobra, niech ci będzie.

Z Denver pojedziemy do Yellowstone.

Ponieważ mięknę nie tylko dla tego dzieciaka, ale, co niedorzeczne, również dla Jillian. Myślę o tych dwóch pocałunkach i rzeczach, które mogłyby one zapoczątkować. W głębi duszy zdaję sobie sprawę, że dodatkowy czas w podróży wcale mi nie przeszkadza. W końcu muszę się poddać wrażeniu, że ta wyprawa może nie być wcale taka zła.

– Ile razy jeszcze zamierzasz użyć tego argumentu, że on umiera, kiedy będziesz chciała mnie do czegoś przekonać? – pytam drwiąco. – W końcu mi się to znudzi.

Jillian śmieje się ciepło i dźwięcznie. Czuję przez to mrowienie w całym ciele.

– W takim razie muszę wymyślić kolejny powód, by cię zachęcić.

Tak, może być.

Kierujemy się na północ do Denver, skąd pojedziemy jeszcze dalej na północ, aż do Wyoming zamiast do Boise. Niech będzie. Tak naprawdę nie robi mi różnicy, czy to będzie dodatkowy dzień, czy też pięć. W tej chwili jestem przekonany do tej podróży.

Ponieważ nie palę, szyby są uniesione, a w środku chłodzi nas klimatyzacja. Jesteśmy w trakcie szóstej rundy gry w dwadzieścia jeden pytań.

– To osoba? – pytam.

Jillian mówi:

– Nie. To pierwsze.

– Miejsce? – pyta Connor z tylnego siedzenia.

– Nie. To drugie – odpowiada Jillian, bębniąc palcami o udo w takt płynącej z głośników cichej muzyki. To dobra piosenka *Somebody Told Me* zespołu The Killers. Jako kierowca mam decydujący głos w sprawie muzyki. Podłączyłem swojego iPhone'a do radia, bym mógł puszczać, co mi się tylko podoba.

Barb nie gra z nami. Dziewczyna ma w uszach słuchawki, kołysze głową w rytm własnej melodii, gapiąc się przez okno.

– Przedmiot?

– Tak – przytakuje powoli Jillian. – To trzecie pytanie.

– Większy niż dom? – pyta Connor.

– Tak – odpowiada nieco zdenerwowana. – To czwarte.

– Znajduje się w Stanach? – Próbuję zawęzić obszar poszukiwań.

– Tak – odpowiada cicho. – Piąte.

– Czy to Empire State Building? – pyta Connor.

– Cholera – mamrocze Jillian, gdy mości się na przednim siedzeniu, krzyżując ręce na piersi. – Jakim cudem tak dobrze zgadujecie?

Śmieję się, ponieważ chłopak jest dobry w tę grę. Prawdopodobnie ma po prostu szczęście. To trochę dziwne, ponieważ biorąc pod uwagę okoliczności, w ogóle nie nazwałbym go szczęściarzem.

– Chcecie zagrać jeszcze raz? – pyta Connor.

– Nie – mówimy z Jillian jednocześnie. Patrzymy na siebie i się uśmiechamy. Gra jest kiepska, ale zajmuje Connora na tyle, by nie gadał o jakichś bzdurach.

Podczas podróży zdałem sobie sprawę, że ten chłopak musi mieć zajęcie, zwłaszcza teraz, gdy czuje się znacznie lepiej niż wcześniej. Nie potrafi siedzieć w milczeniu i podziwiać krajobrazów. Praktycznie rozsadza go energia, jakby jego ciało próbowało zrekompensować mu wszystkie rzeczy, których powinien doświadczyć przed śmiercią.

– Hej, Barb – mówi Connor. W lusterku wstecznym widzę, że przysuwa się do niej i szturcha ją w ramię.

Dziewczyna wyciąga słuchawkę. Nie piorunuje jednak wzrokiem młodego, co jest nico dziwne, ale zwałam to na karb postępu, jaki poczyniła. Unosi tylko brew i pyta:

– Co tam?

– Czego słuchasz? – zagaduje.

Z powrotem patrzę na dziewczynę w lusterku, gdy warczy:

– Nie twój interes. – Ponownie wkłada do ucha słuchawkę.

Przyglądam się, jak niezrażony Connor, przekonany, że Barb nie poderżnie mu gardła, zwłaszcza po tym, jak próbowała go wcześniej uratować przed

Keithem, uśmiecha się łobuzersko i wyciąga jej słuchawkę z ucha. Pospiesznie, nim dziewczyna zacznie na niego psioczyć, przysuwa się i wkłada ją sobie do ucha.

Przeskakuję spojrzeniem pomiędzy drogą a widokiem w lusterku, by zobaczyć, co się stanie.

– Ty mały gnojku – warczy dziewczyna, gdy wrywa mu słuchawkę. – Oddawaj.

Na twarzy chłopaka maluje się przerażenie, kiedy szeroko otwartymi oczami przygląda się Barb.

– Wow. Słuchasz Taylor Swift?

To zwraca uwagę Jillian, która rozpina pas i obraca się do dwójki siedzącej z tyłu.

– Słucha Taylor Swift? – pyta, niedowierzając.

– Tak – odpowiada Connor, jakby był świadkiem ponownego nadejścia Chrystusa.

– Której piosenki?

– *Shake It Off*.

Jillian powoli kiwa głową.

– Doskonały wybór.

Nie mam pojęcia, o czym mówią. To znaczy, wiem kim jest Taylor Swift, ale nie sądzę, bym kiedykolwiek słuchał jej piosenek. Wolę rocka i grunge.

Kolejny raz rzucam okiem na lusterko i widzę, jak Barb piorunuje Jillian wzrokiem, przez co traci czujność i nie reaguje, gdy Connor zabiera jej iPhone'a, wrywając słuchawki z uszu. Podaje sprzęt blondynce, mówiąc:

– Podłącz to do głośników. Pośpiewamy.

– Szlag by was trafił – prycha Barb, próbując sięgnąć po swój telefon, ale Jillian jest szybsza. Przesuwa się na fotelu, bez pozwolenia odłącza moją komórkę i podpina tę należącą do Barb. Kiedy dotyka ekranu, z głośników zaczynają płynąć pierwsze nuty.

Jillian zwiększa głośność, kręcąc gałką radia, przez co wewnątrz mojego samochodu wypełnia okropna popowa muzyka. Jednak pozwalam na to z trzech powodów. Po pierwsze, Connor podskakuje na siedzeniu i zaczyna śpiewać. Po drugie, Jillian obraca się na swoim miejscu i szczyrzy zęby do chłopaka, poruszając ramionami do rytmu. A po trzecie i najważniejsze, Barb siedzi wciśnięta w oparcie kanapy, krzyżując ręce na piersi, z najkwaśniejszą miną, jaką kiedykolwiek u niej widziałem.

Rozciąga się moja blizna. Nie trudzę się nawet, by walczyć z uśmiechem, gdy ponownie spoglądam na drogę, pozwalając Jillian i Connorowi cieszyć się tą chwilą.

– No dalej, Barb! – przekrzykuje muzykę Connor. – Zaśpiewaj z nami.

Natychmiast zerkam w lusterko, w którym widzę, jak chłopak szturcha

dziewczynę w ramię, by się ruszyła.

Znów patrzę na drogę i ponownie w lusterko.

– Proszę, Barb – jęczy Connor, nadal na nią napierając. – To punkt z mojej listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią... Musisz ze mną zaśpiewać. Przecież ja umieram.

Boże, jest bezlitosny. Krzywię się, gdy spoglądam na drogę. Kiedy rzucam okiem na Jillian, widzę, że patrzy na mnie z rozbawieniem wywołanym taktyką Connora. Ponownie zerkam w lusterko. To była kiepska zagrywka, dlatego spodziewam się, że Barb nie da się nabrać.

Dziewczyna patrzy wilkiem na młodego, a następnie, za sprawą cudu, przewraca oczami i wzdycha ciężko. Zwraca się do Jillian:

– Daj jeszcze głośniej. Mój głos jest do bani.

– Super! – wykrzykuje Connor, gdy blondynka pogłównia tę paskudną piosenkę.

Nim mam szansę się zorientować, cała trójka wyje mi za uszami, w dodatku podskakując do rytmu.

Nie mogę jednak im tego zabronić.

Nie potrafię, więc tego nie robię.

Prowadzę, pozwalając im się bawić, i skupiam się głównie na drodze, jednak czasem rzucam ukradkowe spojrzenia w kierunku Jillian, ponieważ tak dobrze mi się na nią patrzy. I tak, uśmiech pozostaje na mojej twarzy, czego nie żałuję.

Ponownie zerkam w lusterku na Barb – największą indywidualność tej grupy – która w tej chwili na mnie patrzy. Musi wiedzieć, że się śmieję, ponieważ z pewnością zauważyła w odbiciu moje błyszczące oczy. Pokazuje mi środkowy palec, jednak również się uśmiecha i spogląda przez okno, nie przestając śpiewać z Jillian i Connorem.

ROZDZIAŁ 15

Jest już ciemno, gdy ponownie wjeżdżam na kemping po zachodniej stronie Denver. Opuściłem go z Barb godzinę temu, po tym jak rozpałem ognisko i poleciłem Connorowi i Jillian pilnowanie go. Poprosiłem również, by spróbowali postawić namiot, a gdyby się to nie udało, pomogę im, jak wrócę.

Następnie powiedziałem Barb, by wsiadła do suburbana, żebyśmy mogli pojechać do najbliższego punktu sprzedaży trawki, jaki wyszukałem w Internecie. Osoba powyżej dwudziestego pierwszego roku życia, niezamieszkująca Kolorado może nabyć siedem gramów. Wziąłem ze sobą towarzyszkę, byśmy mogli kupić dwa razy tyle, co da nam blisko trzydzieści jointów. Pomyślałem, że będę smutny, kupując z legalnego źródła, bo to zniweczy cały bunt i przestępczy charakter palenia trawki, ale w sumie jestem zadowolony.

To dobrze, że zatrzymaliśmy się w stanie, w którym marihuana jest dozwolona, dzięki czemu Jillian będzie mogła zapalić dziś swojego pierwszego w życiu skręta.

Kiedy światła samochodu oświetlają obozowisko, zauważam z radością, że Jillian i Connorowi udało się postawić ogromny namiot. Chłopak przyglądał mi się uważnie, gdy rozkładałem go po raz pierwszy, pomagając mi, jak tylko mógł. Dość bystry z niego dzieciak, więc wcale mnie nie dziwi to, że wymyślił, jak zrobić to samemu. Ogień wciąż jest duży, gdy ta dwójka kończy pracę nad namiotem.

Super.

Wysiadamy z Barb z SUV-a. Cała podróż do sklepu i z powrotem upłynęła nam w milczeniu. Dziewczyna włożyła słuchawki do uszu, ale nim zdołała włączyć piosenkę, zapytałem:

– Puścić Taylor Swift na głośnikach?

Spojrzała na mnie spode łba i warknęła:

– Pocałuj mnie w tyłek.

Roześmiałem się i włączyłem Alice in Chains, a reszta drogi upłynęła

w milczeniu.

Przechodzę na tył samochodu, otwieram bagażnik i wyciągam torbę. Biorę również dwie siatki z zakupami, bo po drodze udało nam się zatrzymać w niewielkim sklepie spożywczym. Kupiłem jedzenie, ponieważ jeśli mamy palić dziś zioło, będzie nam potrzebne sporo przekąsek.

– Pomóc? – pyta Connor, gdy do mnie podchodzi.

Podaję mu reklamówki i moją torbę.

– Tak... weź to, a ja zajmę się lodówką.

Wychodząc ze sklepu, wrzuciłem do niej lód i piwo. Mam zamiar się dziś znieczulić.

Jemy hot dogi z kiełbaskami upieczonymi na ognisku, a rozmowa toczy się głównie pomiędzy Jillian a Connorem. Jak zwykle ja i Barb nie odzywamy się za wiele, jednak tym razem czuję się inaczej. Przeważnie nie biorę udziału w pogaduchach, bo jestem za bardzo wkurzony na świat, lecz dziś ~~zniosłem~~ cieszyłem się, słuchając przyjacielskiej pogawędki pomiędzy Connorem a Jillian. Nie mam pojęcia, co myśli Barb, ale zamiast odsunąć się od nas po posiłku, pozostała przy stole piknikowym.

Dopijam piwo i miażdżę puszkę. Mimo że brakuje mi dwóch palców, uchwyt mam mocny, co zawdzięczam miesiącom rehabilitacji. Wstając z ławki, pytam:

– Ktoś chce piwo?

– Ja – odpowiada Connor.

– Ja – mamrocze Barb.

– Ja też – dodaje Jillian, przy czym zastanawiam się, jaki jest jej ulubiony rodzaj alkoholu. Nie wygląda na smakoszkę piwa, mimo to podczas posiłku wypła swoją puszkę niemal tak szybko jak ja.

Wyciągam napoje z lodówki i rozglądam się po kempingu. Pole po lewej jest puste, po prawej widzę dwuosobowy namiot, ale nikogo przy nim nie ma. Naprzeciwko stoi czterosobowy, mieszka w nim rodzina z dwójką dzieci w wieku przedszkolnym.

Przez chwilę odczuwam dziwne obawy, ale natychmiast je od siebie odsuwam. Czytałem prawnicze wzmianki umieszczone na plakacie na ścianie sklepu z ziołem, a ponadto znajdujemy się na prywatnym obozowisku, w wydzielonym miejscu, za które zapłaciliśmy. Uważam, iż śmiało możemy zapalić jointa. Co z tego, że dzieci mogą zobaczyć nas na haju?

Będzie to dla nich życiowa lekcja, którą wyjaśnią im rodzice.

Rozkładałem piwa na stole, wyciągam woreczek z marihuaną i bibułki.

– Co to? – pyta Jillian, siadając naprzeciw mnie.

Przewracam oczami. Kiedy wyjeżdżaliśmy do sklepu, o celu naszej podróży poinformowałem jedynie Barb, ale Jillian ma chyba świadomość, jak wygląda marycha.

– Oregano – odpowiadam śmiertelnie poważnie.

– Po co? – pyta, mrugając powoli.

– Byś mogła zapalić – odpowiadam z cwaniackim uśmiechem, a jej usta tworzą idealną literę „O”, gdy dociera do niej, o co chodzi. – Pomyślałem, że to idealny moment, bo znajdujemy się w stanie, w którym jest to legalne. Zapewne odsunie to wszelaką paranoję co do potencjalnego przyłapania, w jaką mogłabyś popaść.

– Nie jestem pewna, czy to odpowiednia chwila... – zaczyna, ale przerywa jej Barb:

– Mówiłaś, że to znajduje się na twojej liście, a podczas tej podróży skreślamy jak najwięcej punktów ze swoich list. Tak więc zrobisz to.

– Dobra – mówi cicho Jillian, patrząc z matczyną troską na chłopaka. – Ale Connor nie ma jeszcze osiemnastu...

– Nie jesteś moją opiekunką, Jillian – mówi ze złością młody, przez co spoglądam na niego zaskoczony. To pierwszy raz, gdy podniósł na nią głos z powodu jej nadmiernej troski. – Jestem pewien, że jeśli zostanę aresztowany za palenie marihuany, rodzice nie będą wkurzeni, biorąc pod uwagę czas, który mi pozostał.

Jillian rumieni się, zwiesza głowę i wpatruje się w swoje złączone, spoczywające na blacie dłonie.

– Przepraszam. Najwyraźniej popadłam w paranoję, zanim jeszcze zaczęliśmy.

– Będzie dobrze – zapewniam ją, rolując skręta. – Prawie nikogo tu nie ma.

– Kiedy zacząłeś palić trawę, Christopherze? – pyta siedzący z lewej Connor. Nie odrywając spojrzenia od swoich rąk, odpowiadam:

– Paliłem czasami w liceum. Kiedy wyszedłem ze szpitala, przeniosłem się do domu weterana, gdzie przebywali ludzie, którzy byli na tyle niezależni, że nie potrzebowali całodobowej opieki, ale jednocześnie wymagali rehabilitacji. Mój współlokator sporo palił, więc prosiłem go, by i mnie załatwił towar. Wielu żołnierzy leczyło się tam na własną rękę.

– Tak to właśnie nazywasz? – pyta cicho Jillian. – Leczeniem na własną rękę?

– Żadne z lekarstw przepisanych przez lekarzy nie działało, więc tak... A dlaczego by nie?

Zwilżam krawędź bibuły językiem, sklejam ją i wkładam skręta do ust. Wyciągam zapalniczkę z kieszeni i odpalając jointa, patrzę na Jillian. Pociągam płytko, by się zapalił, po czym zaciągam się głęboko dymem, który zatrzymuję w płucach. Wyciągam skręta z ust i podaję go przez stół blondynce.

Bierze go, wpatruje się w niego, jakby był czymś niebezpiecznym, następnie unosi do mnie to senne, seksowne spojrzenie. Wypuszczam dym z płuc i kiwam

głową.

– Śmiało. Nie zaboli, obiecuję.

– Lista – podpowiada siedząca obok Barb.

– No to jedziemy – mruczy Jillian, przykładając skręta do ust. Przyglądam się jej uważnie, ponieważ wiem, że to zapewne pierwszy raz, gdy dym w ogóle dotrze do jej płuc, skoro tak nienawidzi papierosów. Kobieta zaciąga się, a końcówka jointa żarzy się na czerwono. Dym wraca jednak natychmiast, ponieważ dziewczyna zaczyna kaszleć, odsuwając od siebie skręta z intencją, by wzięła go Barb.

Jillian zatyka usta ręką, do oczu napływają jej łzy.

– Przyzwyczaisz się – mówię, puszczając do niej oko. Patrzy na mnie przez stół, mrugając powoli, gdy próbuje pozbyć się wilgoci z oczu. – Następnym razem wciągnij nieco do ust, a dopiero później do płuc. Nie próbuj robić tego bezpośrednio.

Kiwa głową, nadal kaszłąc.

Barb zaciąga się głęboko i podaje skręta Connorowi. Chłopak korzysta z rady, którą właśnie dałem Jillian, i ciągnie jak profesjonalista. Cholera... jestem z niego dumny.

Kiedy joint wraca do mnie, Jillian pyta:

– Ile potrzeba czasu, bym cokolwiek poczuła?

Godzinę i kilka hot dogów później...

Jillian śmieje się niekontrolowanie. Zaczęło się od chichotu, który przeszedł w parskanie, po czym zmienił się w rechot. Po nim nastąpił głęboki śmiech i popiskiwanie.

Podaję jej drugiego tego wieczoru jointa, ale dziewczyna kręci głową i sapie:

– Nie mogę już. Umieram.

To niemal prawda. Odkąd uderzyły w nią pierwsze efekty marihuany, śmieje się niemal ze wszystkiego. Connor również. Barb i ja jesteśmy jedynie bardziej rozluźnieni, choć muszę przyznać, że też zaczynam chichotać.

Zaciągam się kolejny raz dymem i podaję skręta Barb, która bierze go bez wahania. Założę się, że jej uzależnienie odporność na zioło jest dużo większa niż moja, ponieważ pali niemal codziennie.

– Connor – mówi Jillian, klepiąc stół ręką. – Mówiłam ci już, iż powiedziałam Christopherowi, że jest przystojny?

Szczęka mi opada. Patrząc przez chwilę na Barb, która przygląda się Jillian z zainteresowaniem, po czym ponownie zaciąga się jointem.

– Ale chyba mi nie wierzył – wyjaśnia z irytacją blondynka. Wyrzuca ręce

w górę, jakby była zdezorientowana, i nie daje za wygraną: – Nie rozumiem. Przecież jest wybuchowo piękny.

Następuje chwila ciszy, nim pełen wyrzutów sumienia wzrok Jillian łąduje na mnie.

Pochyliłam się ponad stołem i mówię do niej cicho:

– Czy ty właśnie użyłaś w stosunku do mnie słów „wybuchowo piękny”?

Kobieta krzywi się nieznacznie i z trudem przełyka ślinę. Ściąga razem brwi i na chwilę zaciska usta. Wydaje mi się, że zaraz zacznie płakać. Ponownie uderza jednak ręką w stół i parska śmiechem, rżąc przy tym jak koń.

Śmieje się histerycznie, próbując złapać dech.

– Tak mi przykro. Nie chciałam powiedzieć „wybuchowo piękny”.

Wciąż się śmieje, odchylając się na ławce tak bardzo, iż obawiam się, że zaraz z niej spadnie. Trzy sekundy później czuję, jak rozciąga się moja blizna, gdy usta układają się w uśmiechu.

W tej chwili i ja zaczynam się śmiać.

Dwie godziny, pudełko nachosów, opakowanie chrupek i paczkę chipsów później...

Z mojego ustawionego na środku stołu iPhone'a płynie piosenka Marcy Playground *Sex and Candy*, gdy po raz ostatni zaciągam się trzecim jointem i rzucam końcówkę bibuły na ziemię. Przydeptuję ją odzianą w tenisówkę stopą, by mieć pewność, że zgaśnie. Wszyscy jesteśmy na haju. Nawet Barb wygląda na niesamowicie odprężoną, co wydaje się dziwne, ponieważ nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Zniknęło jej skrzywienie. Tak naprawdę na jej twarzy błąka się uśmiech, choć dziewczyna ledwie otwiera oczy, gdyż jest bardzo upalona.

– Hej, Barb? – pyta Connor lekko ochryłym od zioła, piwa lub obu tych rzeczy głosem.

– Co? – odpowiada pytaniem, unosząc nieznacznie powieki, by skupić wzrok na chłopaku.

– Rozmawiasz jeszcze ze swoimi rodzicami? – docieka cicho, a powietrze wokół nas zamiera z powodu jego śmiałości.

W jakiegokolwiek innej sytuacji kobieta kazałaby mu się zapewne odwalić, jednak teraz mówi tylko:

– Nie. Oni nie żyją.

– Nie żyją? – powtarza Jillian.

– Zginęli w pożarze domu – odpowiada Barb bez odrobiny żalu czy bólu. Właściwie brzmi niemal, jakby się cieszyła.

Jillian gwałtownie wciąga powietrze, łapiąc się przy tym za serce.

– Chyba nie...

– Na litość boską – mówi Barb, na wpół się śmiejąc, na wpół warcząc na dziewczynę. – Mam skłonności samobójcze, nie mordercze.

Mimowolnie zanoszę się śmiechem z powodu ulgi malującej się na twarzy Jillian, gdy dociera do niej, że nie siedzi przy stole z zabójczynią.

– Po oddaniu dziecka do adopcji uciekłam z domu – przyznaje Barb, tym razem w jej głosie słychać ból. – I nigdy nie wróciłam.

– Jezu – szepcze Connor.

– Wiecie, co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze? – pyta Barb, jednak nie sędzę, by jej słowa miały nas rozbawić. – Ja też bym zginęła, gdybym nadal z nimi mieszkała. Jak wielka to ironia? Chciałam umrzeć i mi się nie powiodło, a im udało się to tak cholernie łatwo.

– Nadal pragniesz śmierci? – dopytuje Jillian, czym całkowicie zabija mój dobry nastrój.

Barb odpowiada jej szczerym uśmiechem i kiwaniem głową.

– Każdego pieprzonego dnia.

Nikt tego nie komentuje, więc przy stole zapada cisza.

Jednak po chwili... ledwie słyszalnym głosem Barb dodaje:

– Ale każdego dnia chcę również żyć, nie jestem tylko pewna, czego pragnę bardziej.

ROZDZIAŁ 16

Czternaście miesięcy wcześniej...

– Cześć, Orzeszku – powiedziałem, odbierając telefon. Nazywałem tak Marię, ponieważ w porównaniu do mnie była naprawdę drobniutka. Lubiłem to w niej... To, jak mała i delikatna się zdawała. Czułem się dzięki temu bardziej męski, jakbym był jej obrońcą.

Cisza.

Po chwili odchrząknęła nerwowo.

– Posłuchaj, Christopherze... musimy porozmawiać – zaczęła.

I wtedy to usłyszałem.

Skóra natychmiast zamrowiła mnie ze zdenerwowania. Wiedziałem... Po tonie jej głosu poznałem, co się zaraz stanie. I nie zamierzałem jej tego ułatwić.

– Cóż, to właśnie robimy... Rozmawiamy. Mimo wszystko zadzwoniłaś do mnie.

Zaśmiała się nerwowo, mogłem sobie wyobrazić, jak przygryza dolną wargę. Robiła to zawsze, gdy czuła się nieswojo.

– Chodzi o nas – dodała.

– A co z nami? – zapytałem, ponieważ wolałem, by przeszła od razu do rzeczy. Doświadczyłem już wystarczającej ilości bólu, nie potrzebowałem więcej. Chciałem, by przyznała na głos, że nie było już „nas”. Słyszałem w głowie to, czego jeszcze nie powiedziała. Już wcześniej coś podejrzewałem, ale teraz miałem pewność.

– Spotykam się z kimś – powiedziała drżącym, pełnym żalu głosem.

Tego się akurat nie spodziewałem.

– Co to, do chuja, za pierdolenie?! – krzyknąłem do telefonu.

Wydawało mi się, że byłem na to przygotowany. Na rozstanie. Na smętną opowiestkę o tym, jak Maria nie poradzi sobie z moim wstrętnym kikutem

i zdeformowaną ręką. Czułem, że ją to obrzydzało i że nie chciała być w związku z kaleką, jednak nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie posądziłbym jej o zdradę.

Nie sądziłem, że byłaby do tego zdolna.

– Przepraszam – jęknęła zbolalym tonem, a następnie wyłożyła kawę na ławę. – Czułam się samotna. Ciebie nie było tak długo, a Kellan...

– Jasna cholera! – ryknąłem. – Spotykasz się z pieprzonym Kellanem Meisterem? To matoł, który nawet nie potrafi sklecić sensownego zdania. Na litość boską, Mario, on ma monobrew. Jestem pewien, że to dziecko z chowu wsobnego.

– Przestań – załkała. – Kocham go, a on niedawno poprosił mnie o rękę.

Po tych słowach całe powietrze uszło z moich płuc. Ostry ból uderzył mnie w brzuch, więc pomasaowałem go, aby się rozluźnił.

Z Marią Alvarez chodziłem do szkoły średniej, jednak wtedy nie byliśmy jeszcze parą. Pochodziłem z Cascade we Wschodniej Wirginii, niewielkiego miasta leżącego w pobliżu Wschodniej Kopalni Węgla, w której pracował zarówno mój ojciec, jak i bracia. Moja siostra Sharon wyszła za górnika. Maria, dwa lata młodsza ode mnie, również pochodziła z Cascade. Jej ojciec Jorge – meksykański imigrant w drugim pokoleniu – także tyrał w tamtejszej kopalni. Tansy, matka Marii, urodziła się i wychowała w Cascade, gdzie jej ojciec i bracia również pracowali w kopalni węgla.

Widać pewien wzór, prawda?

Każdy harował w kopalni, ponieważ jeśli mieszkało się na wiejskich terenach Zachodniej Wirginii, była to jedyna szansa na godne pieniądze. Jednak Maria i ja mieliśmy większe plany, które nie uwzględniały pylicy płuc od węgla ani wiecznie brudnej skóry. Moją drogą ucieczki było wojsko.

Drogą ucieczki Marii byłem ja.

Gdy ukończyłem szkolenie na Parris Island, dostałem przydział do Szóstego Batalionu Logistycznego w Camp Lejeune, gdzie zostałem pomocnikiem operatora mechaniki w transporcie lądowym. W końcu awansowałem na operatora. Choć zostałem wykwalifikowany, by prowadzić siedmiotonowy transporter lub cysternę pełną paliwa albo wody, tak naprawdę podczas swojej pierwszej zmiany w Afganistanie jeździłem HMMWV – pospolicie zwanym humvee lub hummerem, jak nazywali go ze śmiechem młodszy. Mój pojazd zmodyfikowano, żeby mógł przewozić przeciwczołgową wyrzutnię rakiet – adrenalina płynęła moimi żyłami za każdym razem, gdy ją uruchamiano. Niekiedy podczas długich konwojów byłem na nogach od czterdziestu do pięćdziesięciu godzin z dziesięciominutową przerwą na drzemkę, by odpoczęły mi oczy. Nieustannie wypatrywałem potencjalnej zasadzki, obawiając się, że wjadę na minę. Nigdy wcześniej nie zaznałem tak wielkiego wyczerpania, mimo to gdy nadchodził czas na transport wyrzutni, stawałem się ożywiony i radosny. Ten sprzęt był piękny, a zarazem tak silny, że mógł posłać raketę do celu oddalonego o cztery kilometry. Czułem dumę,

ponieważ brałem w tym wszystkim udział.

Uwielbiałem bycie żołnierzem. Poznałem świetnych przyjaciół, uczestniczyłem w przeróżnych akcjach i nie miałem problemu z podrywaniem dziewczyn. Wojsko stanowiło dla mnie ucieczkę – sposób na wyrwanie się ze straszliwego życia, jakie zaplanowano dla mnie już w chwili narodzin. Nie zaciągnąłem się z pobudek patriotycznych ani by pomścić tych, którzy zginęli w zamachach na World Trade Center. Nie miałem wzniosłych ideałów, by pomagać w zwalczaniu terroryzmu. Nie, wstąpiłem do wojska z przyczyn osobistych, aby uciec jak najdalej od Zachodniej Wirginii do miejsca, gdzie czekała mnie przyzwoita kariera.

Na szczęście dobrze mi było w armii i w czwartym roku mojej sześcioletniej służby dorobiłem się rangi sierżanta. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata.

Mniej więcej w tym samym czasie pojechałem na urlop do domu, do Cascade, ponieważ kumpel z liceum brał ślub. Na weselu spotkałem Marię. Po maturze pracowała jako kelnerka, wciąż mieszkała z rodzicami. Pamiętam, że na weselu mocno się upiliśmy. Jedno wynikało z drugiego i skończyliśmy na tylnej kanapie mojego samochodu. Ku mojemu zaskoczeniu Maria zachowała do tego czasu dziewictwo, a ja byłem wtedy pijany i napalony, więc pozbawiłem ją tego problemu.

Oczywiście natychmiast się w sobie zakochaliśmy. Maria wyjechała z Cascade i przeprowadziła się do Karoliny Północnej, by ze mną zostać. Mieliśmy niewielkie mieszkanie zaraz obok bazy wojskowej i bawiliśmy się w dom. Uważałem wówczas, że to najwspanialsza rzecz na świecie.

Byłem żołnierzem i miałem seksowną dziewczynę, której zazdrościli mi kumple.

Każdej nocy wracałem do domu, gdzie czekał na mnie pyszny posiłek i jeszcze lepszy seks.

Maria ukończyła szkołę kosmetyczną. Podpisałem kolejny, trzyletni kontrakt z wojskiem. Wszystko szło dobrze, poważnie zastanawiałem się nad oświadczynami. Nie miałem jednak grosza przy duszy, ponieważ byliśmy młodzi, głupi i w ogóle nie oszczędzaliśmy. Na niewielki pierścionek zaręczynowy musiałbym odkładać chyba z dziesięć lat, ale wiedziałem, że to odpowiedni czas na taki krok. Maria była tą jedyną – nie miałem żadnych wątpliwości.

Jednak przyszły nowe rozkazy i moją jednostkę wysłano do Afganistanu. To była już moja druga zmiana, więc czułem się przygotowany. Ni mniej, ni więcej na tym właśnie polegała moja praca.

Wahałem się nad oświadczynami, nie wiedziałem, czy powinienem poprosić ją o rękę przed wyjazdem, czy dopiero po powrocie. Oba te rozwiązania miały swoje wady i zalety, aczkolwiek byłem splukany, więc zdecydowałem, że nie wydam kasy na pierścionek od razu. Postanowiłem jednak oświadczyć się zaraz po

tym, jak wrócić.

Ale... nie wszystko poszło tak, jak zaplanowałem.

Wróciłem do Stanów w kawałkach, przeszedłem kilka operacji, podczas których próbowano uratować mi nogę, i przeżyłem załamanie nerwowe. Byłem nafaszerowany środkami przeciwbólowymi, tak mocno naćpany, że prawdopodobnie nie rozpoznałbym Marii, gdyby odwiedziła mnie w tych pierwszych tygodniach.

Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, bo moja dziewczyna do mnie nie przyjechała.

Ani razu.

Dzwoniła. Miałem niejasne wspomnienia, że się ze mną kontaktowała. Nieraz dwa, trzy razy dziennie. Przeważnie coś do niej bełkotałem, a ona czasami płakała, ale zawsze powtarzała, że mnie kocha. Ja również ją kochałem, ale nie jestem pewien, czy kiedykolwiek jej o tym powiedziałem.

Zacząłem w pełni rozumieć, co się wokół mnie działo, dopiero gdy amputowano mi nogę. W wyniku wybuchu moje dwie kości, piszczelowa i strzałkowa, zostały zmiążdżone, a kość udowa złamana w dwóch miejscach. Wszystko trzymało się razem tylko na zewnętrznych wspornikach w postaci metalowej klatki ciągnącej się przez całą długość nogi i przyśrubowanej do kości, tak aby wszystko spajać. Część moich mięśni i skóry została zdarta przez zaciskającą się stal. Do rany wdała się infekcja, aspiratory nieustannie próbowały odciągnąć z mojego ciała gromadzącą się truciznę. Ból przy siedzeniu był nie do zniesienia. Kiedy codziennie próbowano mnie rehabilitować za pomocą specjalnego fotela, aby masa splątanych drutów i rur wychodzących ze mnie zaczęła działać, czasami krzyczałem, usilnie wbijając palec w guzik podający środki przeciwbólowe. W końcu zaczęto mi aplikować znieczulenie zewnątrzoponowe, bym poczuł jakąkolwiek ulgę.

Gdyby ktokolwiek choć przez chwilę czuł się tak jak ja w tych dniach po wypadku, również błagałby o odcięcie nogi.

Jak się okazało, nie musiałem długo prosić, ponieważ lekarze wiedzieli to, co ja. Nie było szans na uratowanie mojej kończyny. Kiedy amputowano mi nogę, ból natychmiast zelżał, a wtedy zmniejszono mi dawki leków przeciwbólowych. Gdy kikut zaczął się goić, zabrałem się do przymierzania protez. Kończynę obcięto mi ponad kolanem. Po wypróbowaniu kilku różnych nakładek, które musiały być przerabiane za każdym razem, gdy ustępował obrzęk, w końcu dostałem sztuczną nogę, najbardziej zbliżoną do bionicznej, mechanicznej kończyny. Następnie przyszły miesiące rehabilitacji – zarówno terapii fizycznej, jak i psychicznej.

W życiu nie doświadczyłem czegoś tak wyczerpującego. Terapeuci byli twardymi sukinsynami. Nie dawali mi chwili wytchnienia, zmuszając mnie do ciągłego samodoskonalenia, aby rehabilitacja zakończyła się sukcesem. Sztuczna

kończyna była zaawansowana technicznie, miała sensory na stopie i w okolicach kostki, które analizowały dane o moim chodzie i przesyłały je do układu hydraulicznego w kolanie, pomagającego ruszać nogą. Musiałem ponownie nauczyć się chodzić – do przodu, do tyłu, na boki, po stopniach, po trawiastym podłożu, po chodnikach. Po każdej sesji rehabilitacyjnej pot lał się ze mnie strumieniami, a kikut bolał z wysiłku. Mimo to czułem się niesamowicie. Byłem szczęśliwy, ponieważ nie cierpiałem już z powodu przejmującego bólu, jednak to nie zmieniało faktu, że amputowano mi kończynę.

Po odcięciu nogi czułem się lepiej fizycznie, ale to w ogóle nie wpłynęło na moją sytuację. Powinienem być się cieszyć z powodu tego, że żyłem, jednak byłem zbyt zgorzkniały i zły na cały świat, by mi na tym zależało.

Wydawało się, że popadłem w jeden wielki dół. Moje dni stawały się coraz mroczniejsze. Miałem przed oczami wizję, że do końca życia będę kaleką. Moja kariera w wojsku legła w gruzach. Śnił mi się wybuch miny, powracał ból, wspominałem krew i szczątki kości latające po kabinie mojego pojazdu. Maria dzwoniła coraz rzadziej, aż w końcu robiła to najwyżej raz w tygodniu, co i tak było niezłym sukcesem.

Najbardziej upokarzające przeżycie stanowił dla mnie nieustanny potok gości przychodzących do ośrodka, by podziękować rannym żołnierzom za poświęcenie dla ojczyzny. Kongresmeni, senatorzy, gwiazdy telewizyjne, sportowcy, komicy... Każdego dnia pojawiał się ktoś, kto chciał uścisnąć mi rękę, oczekując, że odpowiem uśmiechem, wdzięczny za miłe słowa. Sala rehabilitacyjna była przeszklona, przy jednej ze ścian znajdował się chodnik. Odwiedzający ośrodek dygnitarze robili obchód i przyciskali twarze do szyb, oglądając biedaków, którzy walczyli, by nie upaść, próbując chodzić w protezach. Ośrodek pozyskiwał w ten sposób dotacje.

Pod koniec rehabilitacji wpadłem na pomysł, by mówić wszystkim, aby się ode mnie odwalili. Wypróbowałem go na niczego niespodziewającej się gwiazdzie muzyki country. Laska miała jakieś osiemnaście lat, jasne oczy i idealistyczne podejście do świata. W nanosekundę starłem jej uśmiech z twarzy. Terapeutka nakrzyczała na mnie, ale jej również kazałem spierdalać. Właściwie poczułem radość na widok bólu na twarzy tej dziewczyny. Chciałem, by cierpiała tak bardzo jak ja, choć wiedziałem, że tak się nie stanie. Musiałem więc zadowolić się upokorzeniem jej.

Prawdopodobnie najtrudniejsze było dla mnie to, że podczas tych krytycznych miesięcy nie miałem wsparcia ze strony rodziny. Poza krótką wizytą rodziców, którzy gdy już zobaczyli, co zostało z ich syna, natychmiast wrócili na wzgórze Zachodniej Wirginii, nikt inny nie pofatygował się, by wesprzeć mnie podczas pobytu w szpitalu. Stało się tak nawet pomimo faktu, że rząd stworzył program pomocy rannym wojskowym, płacąc członkowi rodziny bądź innej

bliskiej osobie za obecność podczas rehabilitacji. Człowiek ten jest dla żołnierza emocjonalnym wsparciem, ważnym również dla fizycznego uzdrowienia. Ktoś taki dostawałby wynagrodzenie za towarzyszenie mi, prowadzenie na zajęcia, pomoc przy posiłkach, podawanie leków i asystowanie w innych aktywnościach w ciągu dnia. Jednak nikt z mojej rodziny się tym nie zainteresował, ponieważ oznaczałoby to dla nich porzucenie pracy w kopalni, do której przykuci zostali za nogi i jaja. Do diabła, nawet mój bezrobotny kuzyn Lem nie przyjechał, gdy zaproponowałem mu płatne zajęcia. Wolał siedzieć w przyczepie wielkości puszki po sardynkach i jeść tanią kiełbasę, zbierając każdy możliwy kupon żywieniowy. Miałem jednak pielęgniarkę, która wszystko za mnie robiła, patrząc na mnie z litością, bo nikt inny nie chciał o mnie dbać.

Jedyną nadzieję pokładałem więc w Marii, która mówiła mi teraz, że pokochała kogoś innego?

– I nie ma to żadnego związku z tym, że nie jestem już stuprocentowym facetem, tak? – zapytałem z goryczą. Odczułem nienawiść do samego siebie, gdy tylko te słowa opuściły moje usta. Poczułem się słaby i żalony. Pomyślałem, że po tym, jak amputowano mi nogę, miała dobrą wymówkę, by ze mną zerwać. Może wcześniej żywiła nadzieję, że wrócę do domu ze wszystkimi kończynami?

– To nie ma nic wspólnego z twoimi obrażeniami – syknęła. Oburzyła się tak bardzo, że niemal jej uwierzyłem. – Chodzi o to, że minęło prawie dwa i pół roku, odkąd widziałam cię po raz ostatni...

– Mogłaś tu przyjechać, Mario – odparłem. – To mniej niż cztery godziny jazdy. Mogłaś mnie odwiedzić. Kurwa, mogłaś się przeprowadzić, wtedy byłibyśmy razem.

– Nie! – wykrzyknęła oburzona. – Nie masz prawa ode mnie oczekiwać, bym porzuciła rodzinę, pracę...

– Zrobiłaś to, gdy przeprowadziłaś się ze mną do Karoliny Północnej – przypomniałem jej.

– Ale Waszyngton to nie to samo. To wielkie miasto. Przestępczość... i... i utknęłabym tam... – urwała, zdając sobie sprawę z *faux pas*, jakie popełniła.

– Utknęłabyś tu, opiekując się mną – dokończyłem cicho.

Znowu zapadła cisza. Maria nie mogła wszystkiemu zaprzeczyć. Wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Przykro mi, Christopherze. Nie chciałam cię zranić.

– Nie zraniłaś – mruknąłem do słuchawki.

Odeszła mi chęć do walki. Nagle poczułem się słaby jak dziecko – nie miałem siły, aby cokolwiek poczuć. Oparłem się na poduszkach, opuściłem prawą rękę z trzema zeszytniałymi palcami i położyłem ją nieopodal krawędzi zaczepu protezy. Zostałem porzucony. Po rehabilitacji rząd zamierzał wyrzucić mnie z wojska. Nikt z rodziny o mnie nie dbał, gdy wiele miesięcy przebywałem

w szpitalnym łóżku. Na dodatek jedyna osoba, która miała mnie kochać, pieprzyła się z kim popadnie za moimi plecami.

Nie odezwałem się do Marii. Po prostu się rozłączyłem i odłożyłem telefon. Próbowałem policzyć czas pozostały do kolejnej dawki środków przeciwbólowych i po raz pierwszy poważnie pomyślałem o samobójstwie.

ROZDZIAŁ 17

Obecnie...

Wychodzę z namiotu wcześniej rano, prostuję się i przeciągam. Właśnie zadzwonił budzik, a ja nigdy nie byłem osobą, która korzystałaby z funkcji drzemki. Kiedy czas wstawać, należy wstać. I jak zwykle... chcę zacząć dzień, jak najszybciej się da. Podejrzewam, że zostało mi to ze służby w wojsku.

Obracam prawą nogę, by upewnić się, że proteza dobrze leży, i opuszczam rękę z ochotą, by podrapać się po jajach, ale zamieram, nim sięgam poniżej pasa.

Jillian już wstała, siedzi przy stole piknikowym tyłem do mnie. Wyraźnie nie śpi już od dłuższego czasu, ponieważ jej włosy są mokre. Trzyma również styropianowy kubek, jak zakładam, z kawą.

Podchodzę do niej, dlatego unosi głowę i patrzy na mnie. Założyła te swoje grube okulary, które powiększają jej niebieskie oczy.

– Dzień dobry.

– Wcześniej wstałaś – zauważam. Ruchem głowy wskazując na kawę, pytam:
– Skąd to masz?

Jillian pokazuje budynek znajdujący się z przodu pola namiotowego.

– Mają tam darmową.

Nie trudzę się nawet, by spojrzeć w tamtym kierunku, zerkam jednak na książkę, którą dziewczyna czyta. Gruby tom z błyszczącymi, kolorowymi stronami.

– Idę się odl... – urywam w pół słowa i się poprawiam. – Idę do łazienki.
Przynieść ci jeszcze kawy?

– Jasne – mówi wesoło. – Ze śmietanką i z cukrem.

– Ile tego cukru?

– Tyle, by kawa była słodka.

Przewracam oczami i odchodzę. Po odcedzeniu kartofelków myję ręce. Patrzę w lustro zawieszone nad umywalką i jestem zaskoczony, widząc gapiącego

się na mnie faceta. Nie rozpoznaję go. Brązowe włosy są nieco za długie, choć czekoladowe oczy pozostały niezmiennie. Nie goliłem się od wielu dni, więc na twarzy mam szczecinę. Blizna na podbródku pozostała i nadal rozgranicza białą ciemny zarost.

Jednak wyraz mojej twarzy jest inny. Luźniejszy, odprężony. Normalnie wpatrywałoby się we mnie złowrogie spojrzenie, potępiające mnie za wielką głupotę i wjazd na minę, za kochanie niewłaściwej kobiety, a nawet za chęć do życia.

Potrząsam głową, próbując nie myśleć o rzeczach, które zmieniły się w ciągu ostatnich kilku tygodni, a nawet kilku dni. Zamiast tego wychodzę z łazienki i szukam kawy, by przynieść Jillian kolejny kubek z wystarczającą ilością cukru. Nalewam sobie czarną i wracam do naszego obozowiska.

Nie ma jeszcze śladu Connora czy Barb, ale nie zamierzam ich budzić, byśmy mogli wyruszyć w dalszą drogę. Zamiast tego na widok pięknej, siedzącej samotnie Jillian postanawiam dać reszcie pospać.

Stawiam kawę na stole i siadam obok dziewczyny, jednak na tyle daleko, byśmy się nie dotykali.

– Dzięki – mówi, gdy chwyta poprzedni kubek i dopija resztki.

– Żaden problem – odpowiadam, nim biorę mały łyżeczek swojej kawy. Jest ohydna, ale i tak ją przełykam, bo potrzebuję kofeiny. – Co czytasz?

Jillian patrzy na mnie i się uśmiecha.

– To album o sztuce.

Patrzę w dół na kolorowe obrazy umieszczone na każdej stronie, podpisane zapewne tytułem i nazwiskiem autora. Ponownie spoglądam w twarz dziewczyny i unoszę brwi.

– Studiowałam historię sztuki – mówi po prostu, a ja wzdrygam się na myśl, że nawet nie wiedziałem, gdzie się uczyła. Właściwie nie za wiele o niej wiem prócz tego, że jest wesoła i narzeka najmniej z całej grupy.

– Gdzie studiowałaś?

– Zrobiłam licencjat na Uniwersytecie Karoliny Północnej – mówi, wzruszając ramionami. – To trochę bez sensu jak na kogoś, kto traci wzrok, ale wciąż kocham oglądać sztukę, przynajmniej póki jeszcze mogę to robić.

Uderza we mnie smutek. Zaskakuje mnie ten stan, ponieważ jest mi przykro z powodu innej osoby. Żal mi Jillian, a to ważne. Od długiego czasu nikomu nie współczułem, a teraz mnie to przeraża, bo to uczucie jest dla mnie zupełnie obce.

Właściwie wcale nie jest dobre.

Aby zdystansować się od prób analizowania własnych emocji, pochylam się i patrzę na obraz po prawej. Widnieje na nim łan zboża ścinany ręcznie przez, jak mogę się domyślać, wędrownych pracowników. Cały obraz jest utrzymany w złotej tonacji, jakby słońce wydobywało przeróżne odcienie żółci z pola. Rolnicy są

pochyleni, niemal czuć napięcie ich pleców, gdy sierpami ścinają zboże.

– To przygnębiające – wytykam z irytacją. Nigdy wcześniej nie przyglądałem się żadnemu obrazowi, by go analizować, jednak na widok tego dzieła to słowo jako pierwsze przychodzi mi do głowy. Widzę ludzi zgiętych w pół przy ciężkiej pracy, a to wcale nie jest fajne.

– Ja uważam, że ma w sobie wiele energii... nadziei – wylicza Jillian swoim słodkim, dźwięcznym głosem. – Widzisz, jak światło pada na poszczególne szczegóły obrazu? Popatrz tylko na tego mężczyznę... Jego kark jest czerwony od opalenizny, czoło spocone od pracy w polu w pełnym słońcu. Albo tutaj, gdzie płatki kwiatów są przejasnione od promieni. Przypomina nam to, że nic się przed nimi nie ukryje.

Jej słowa sprawiają, że czuję się dziwnie. Są typowe dla Jillian, która jak zwykle we wszystkim widzi pozytywy. W ostatnim czasie dałem się na nie nabierać, choć nie jest to cechą mojego charakteru. Złości mnie to, że jestem zafascynowany kobietą patrzącą na świat przez różowe okulary. Wkurzam się, ponieważ użalając się nad sobą, czuję się źle. To z kolei sprawia, że chcę się bronić... nawet zaatakować.

Wzdycham ciężko i mówię:

– To zwerbowani pracownicy, którzy utknęli, pracując na tym polu za grosze. Myślisz, że dostrzegali w tym piękno? Nie, koncentrowali się na burczących z głodu brzuchach i bólu w krzyżach po całodziennym schylaniu się przy ścinaniu zboża. Wszystko koloryzujesz, słońce. Czas stawić czoła rzeczywistości.

Tak, zauważ, co naprawdę się wokół ciebie dzieje, i przestań wzbudzać we mnie nadzieję. Otwórz oczy i zobacz, że słoma, nad którą tak się zachwycasz, to jedynie puste łodygi zbóż.

Jillian nie reaguje na to, że nazwałem ją słońcem, ale jej oczy marszczą się z wysiłkiem w kącikach, gdy je przymruża, i mówi:

– Jasne, jeśli skoncentrujesz się na historii, którą według ciebie opowiada ten obraz. Oczywiście masz do tego prawo, jednak gdybyś spojrział ponadto na detale... na odcień barw, na wyraz twarzy tych ludzi, może pomyślałbyś, że wcale nie są tanimi pracownikami. Może to ich ziemia, z której czerpią dumę przy obfitych zbiorach, ponieważ dzięki nim będą w stanie wyżywić swoje rodziny.

Ponownie spoglądam na strony książki. Przez chwilę wpatruję się w obraz. Przechylając głowę, próbuję spojrzeć na niego z jej perspektywy.

Ale nie mogę.

Nie mogę, bo nie chcę.

Pragnę postrzegać rzeczy zgodnie z ich prawdziwą naturą, a nie tak, jak inni chcieliby, bym je widział.

Nie zamierzam wpaść w zasadzkę, którą zastawia Jillian. Mój ostrożnie

poukładany świat popadnie w chaos, jeśli się poddam i uwierzę, że życie jest pełne radości i szczęścia i tylko czeka, bym się otworzył i wysłał je niczym sok z owocu.

– Przykro mi, blondi – mówię w końcu. Dziewczyna natychmiast spina się na mój ostry ton. Wie, że nie będę dla niej miły i się na to przygotowuje. – Ale nie tylko twoje oczy są spieprzone. W ogóle nie kupuję tych tęcz i jednorożców, jakimi nas zasypujesz. Uważam, że próbujesz poczuć się przez to lepiej z powodu swojej kiepskiej sytuacji, ale możesz mi wierzyć... Robisz sobie jedynie krzywdę, ignorując rzeczywistość. I szczerze mówiąc, twoja promienna osobowość nieustannie działa mi na nerwy.

W chwili, w której te słowa opuszczają moje usta, czuję się źle. Jednak nie potrafię ich cofnąć, ponieważ nie umiem przeproszać za bycie dupkiem. Patrzę więc na Jillian, przygotowując się w duchu na jej odpowiedź.

Twarz dziewczyny przez moment pozbawiona jest wyrazu, jednak po chwili Jillian przysuwa się do mnie, by spojrzeć mi prosto w oczy. Z tak bliskiej odległości jej błękitne tęczówki, powiększone przez okulary, przypominają mi barwę tropikalne morze. Kobieta przesuwając nogę pod stołem i stuka stopą w moją protezę.

– To takie typowe, Ahabie – mówi cicho, przy czym nie jestem w stanie stwierdzić, czy się droczy, drwi ze mnie, czy też pokazuje, iż ma gdzieś to, że nie mam nogi. – Naprawdę nie potrafię wyobrazić sobie, przez co przeszedłeś, ale to głównie twoja wina, ponieważ nie chcesz o tym mówić. Założę się, że było to coś strasznego. Jestem również przekonana, że po wypadku brakowało ci właściwego wsparcia, i musiałeś poradzić sobie z tym sam. Właśnie dlatego nam nie ufasz, co jest zupełnie zrozumiałe. Pojmuję, czemu chcesz, by wszyscy inni czuli się źle... Doskonale rozumiem – urywa, bierze głęboki wdech i obdarowuje mnie kojącym uśmiechem, który jednocześnie mnie wkurza i sprawia, że jestem jej wdzięczny. – Ale – mówi łagodnym głosem – mogę ci zdradzić, że cokolwiek mi powiesz, nie zniechęcisz mnie do prób dotarcia do ciebie. Inni być może się znudzą i poddadzą, ale nie ja. Właściwie lubię wyzwania, jakie mi stawiasz.

Czy ta kobieta nie wie, kiedy odpuścić? Dlaczego w ogóle chce do mnie dotrzeć?

– Boże... jesteś cholernie dziwna – mówię z grymasem. A może z uśmiechem? – Nikt nie może być tak wielkim optymistą.

Jillian śmieje się i wraca spojrzeniem do książki. Nawet jeśli już na mnie nie patrzy, jej słowa skierowane są bezpośrednio do mnie.

– Trzymaj się mnie, a sprawię, że też taki będziesz.

Cholera, ale śwędzi.

To mrowienie spowodowane zarówno wyrzutami sumienia, jak i ciekawością wywołaną przez tę kobietę.

Jestem wkurzony, że mam wyrzuty sumienia, które dopadają mnie

natychmiast po drwieniu z jej zbliżającej się ślepoty. Czuję je po raz pierwszy od bardzo dawna, a nawet nie mam pojęcia dlaczego. Tak długo tkwiłem w bańce całkowitego braku szacunku dla całej ludzkości, że nie zdawałem sobie sprawy, jak okropny mogę czuć wstyd, raniąc jej uczucia.

Moje wyrzuty sumienia łagodnieją nieco, gdy uświadamiam sobie, że nie potrafię jej obrazić. Szydziłem z niej i jej głupiej interpretacji obrazu, mimo to powiedziała, że rozumie mój ból. Do diabła, wybaczyła mi nawet moje chamstwo.

Mam ochotę ciągnąć się za włosy i wydrzeć na nią, by zostawiła mnie w spokoju. Nie chcę jej obietnic, że naprawi mnie dla świata. Nie mam prawa tego pragnąć. Chociaż od chwili, gdy pierwszy raz ją zobaczyłem, Jillian Martel sprawia, że pragnę... pragnę...

Po raz pierwszy od dłuższego czasu sprawia, że po prostu pragnę.

Jej.

Seksu.

Śmiechu.

Szczęścia.

Dobrych dni.

Potrząsam głową i przecieram dłonią twarz. To nie ma sensu. Ze wszystkich rzeczy, które wirują mi w głowie – ze wszystkich pragnień i potrzeb – jak, u licha ciężkiego, mogę nie myśleć o swojej nodze? To jedyne, nad czym głowiłem się, odkąd się poddałem i poprosiłem o amputację. To napędza moją gorycz i jest głównym powodem mojej wściekłości. Utrata nogi, która doprowadziła do utraty dziewczyny i kariery w wojsku... To serce i dusza mojego nieszczęścia. Nie potrzebuję pieprzonych psychiatrów, by mi o tym powiedzieli.

W ciągu ostatnich pięciu minut Jillian zdążyła mnie zaintrygować, zirytować, sprawić, że poczułem się źle sam ze sobą, a także doprowadzić do tego, iż zapragnąłem rzeczy, których nigdy nie uważałem za istotne.

Jej.

Seksu.

Śmiechu.

Szczęścia.

Na miłość boską... uszczęśliwiłaby mnie nowa noga, prawda?

Prawda?

Gówno prawda! – odpowiada krzykiem mój umysł. *Jej już nie ma. Opuść. Przyzwyczaj się, kurwa, do tego.*

Łatwo tak myśleć, ale życie ze świadomością, że to prawda, a nie farsa jest raczej niemożliwe. Zwłaszcza kiedy od wielu miesięcy utwierdzałem się w przekonaniu, by nienawidzić wszystkiego, w co zmieniło się moje życie.

Jednak co, jeśli...

To znaczy, Jillian wydaje się...

Wyraźnie odnalazła spokój.

Nie, nie mogę. Nie mogę nawet rozważać innych możliwości, ponieważ oznaczałoby to otworzenie się na nadzieję, a co za tym idzie – na porażkę i cierpienie.

Nie zamierzam iść w tę stronę.

ROZDZIAŁ 18

Z planu wynika, że z Denver do parku Yellowstone czeka nas dziesięciogodzinna podróż. Nie poruszyłem tego tematu z grupą. Samodzielnie podjąłem decyzję, by jechać do Jackson w Wyoming, leżącego na skraju lasu Bridger Teton. Przylega on do Yellowstone od południa, więc będzie nam łatwiej znaleźć jakiś kemping.

Nie zdenerwowałem się nawet, gdy dodało to kolejny dzień do naszej wycieczki. Prawdę mówiąc, zawsze chciałem zobaczyć Yellowstone. Moja rodzina była biedna, więc wakacje polegały na spędzaniu czasu na lokalnym kempingu i wędkowaniu. I dość luźno używam słowa „wakacje”. Jeśli już się wybieraliśmy, to nie robiliśmy niczego wspólnie. Tata przez cały czas pił i wydzierał się na mamę. Jedynymi dobrymi rzeczami, które z tego wyniosłem, była miłość do kempingów i wędkarstwa, więc z chęcią spróbowałbym tego w Yellowstone. Ponieważ zbliżyłem się nieco z Connorem i chciałem mu pomóc poskreślać rzeczy z listy, jestem skłonny nauczyć go wędkarstwa muchowego.

Jedziemy już jakąś godzinę, gdy dzwoni mój telefon. Kiedy patrzę na komórkę leżącą na środkowej konsoli, dostrzegam imię Mags. Obiecałem informować ją o postępach naszej wyprawy i rzeczywiście robiłem to codziennie za pomocą SMS-ów. Nie mam pojęcia, dlaczego dzwoni, ale i tak ją ignoruję. Nie lubię rozmawiać przez telefon.

Zazwyczaj rankiem w samochodzie nie jest tak cicho. Przeważnie Jillian i Connor rozmawiają, komentując zróżnicowane krajobrazy za oknem lub rozprawiając o jakichś głupotach – plotkach na temat gwiazd muzyki lub zdjęciach sławnych aktorów, którzy całowali na nich kobiety niebędące ich żonami. Jednak dziś Connor gra na komórce, Jillian pochyla się nad książką zawierającą zdjęcia obrazów i rzeźb, a Barb jak zwykle słucha własnej muzyki w słuchawkach, gapiąc się przez szybę na świat.

Muszę przyznać, że wciąż mam wyrzuty sumienia z powodu tego, jak

potraktowałem wcześniej Jillian. Problemem jest mój charakter, moja zdolność do wyolbrzymiania negatywnych odczuć. Tym razem mocno się jej oberwało. Jako że nawet nie wzdygnęła się pod naporem moich ostrych słów – właściwie odpowiedziała na nie dobrocią – żałuję swojego zachowania.

Jillian wywołała dziś we mnie dwie silne emocje, których zazwyczaj nie odczuwam.

Współczucie i żal.

Współczucie jedynie osiadło ciężko w mojej piersi, ale żal?

Pociął mnie jak żyletka.

To jej wina, że tak się przy niej czuję, mimo to... częściowo ucieszyłem się z tego bólu. Przypomina mi on, że jeśli otworzę się na Jillian i nadzieję, jaką wokół siebie rozsiewa, znajdę się w świecie pełnym cierpienia. Chyba że odsunę się od niej całkowicie, co prawdopodobnie byłoby dla mnie najlepszym rozwiązaniem.

Ponownie odzywa się moja komórka. Rzucam okiem i widzę, że to Mags znów telefonuje. Przez ostatnie dni wystarczały jej wiadomości, a teraz dwukrotnie dzwoni? Włoski na karku stają mi dęba, ponieważ dociera do mnie, że kobieta zapewne ma do mnie jakąś ważną sprawę.

Odbieram, przesuwając palec po ekranie, i przykładam telefon do ucha.

– Hej.

– Cześć, Christopherze – mówi Mags, przy czym poznaję po napięciu w jej głosie, że coś się stało. – Słuchaj... Jillian jest z tobą, prawda?

Obracam głowę w prawo, upewniając się, że Jillian na pewno jest ze mną, i odpowiadam:

– Tak... Dlaczego pytasz?

Mags nie odpowiada mi, tylko mówi do kogoś innego:

– Nic jej nie jest. Przebywa z grupą.

Marszczę brwi.

– Co się dzieje?

Mags brzmi, jakby jej ulżyło, gdy odpowiada:

– Najwyraźniej Jillian nie poinformowała swoich rodziców, że wybiera się w podróż. Zostawiła jedynie krótki liścik i nie odbiera od nich telefonu. Napisała wprawdzie, że nic jej nie jest, ale później zamilkła. Rodzice Jillian przyszli do mnie z prośbą o jakiegokolwiek informacje. Chcą powiadomić policję.

Ponownie patrzę na Jillian, która jest zupełnie nieświadoma burzy, jaką rozpętała.

– Wszystko z nią w porządku. Siedzi obok mnie w samochodzie. Jedziemy do Yellowstone.

Na te słowa dziewczyna unosi głowę i patrzy na mnie. Podejmując szybką decyzję, zjeżdżam z międzystanowej, wciskając uprzednio hamulec. Jillian jedną ręką przytrzymuje się deski rozdzielczej, drugą chwyta książkę ześlizgującą jej się

z kolan.

Z tyłu Connor pyta:

– Co się dzieje?

Na końcu zjazdu wjeżdżam na szuter i gwałtownie zatrzymuję auto. Mags mówi mi do ucha:

– Rodzice chcą z nią porozmawiać. Podasz jej telefon?

Nie waham się.

– Tak... jasne. – Przekazuję komórkę Jillian. Mój głos jest ostry, gdy mówię:
– Rodzice do ciebie.

Dziewczyna spina się, jej spojrzenie jest pełne ostrożności. Patrzy na telefon, jakby był granatem, jednak w końcu bierze go ode mnie

– Wyjdę, by porozmawiać na osobności – mamrocze, jedną ręką chwytając za klamkę, drugą mocno ściskając komórkę.

– Z chęcią posłuchałbym tego, co masz do powiedzenia – warczę wkurzony, że okłamała rodziców i – jak się okazało – nas także.

Nie odpowiada, tylko wyskakuje gwałtownie z samochodu.

Wysiadając za nią, mamrocze pod nosem:

– Nie, nie uciekniesz mi.

Słyszę podwójny trzask drzwi, gdy z pojazdu wychodzą również Connor i Barb. Okrążam auto i spieszę za Jillian, która z telefonem przy uchu zbliża się do zjazdu z międzystanowej.

Kiedy ją doganiam, słyszę kawałek rozmowy. Wkurzona dziewczyna mówi:

– ...ale nie mogłam wam powiedzieć. Nie pozwolilibyście mi jechać. Zostawiłam list. Napisałam, że nic mi nie będzie. Dlaczego nie możecie tego zaakceptować? Zamiast tego wciągacie w to Mags i całą grupę... – urywa. Wyprzedzam ją i blokuje jej przejście. Jillian zatrzymuje się, ale nie patrzy mi w oczy. Barb i Connor podchodzą powoli od tyłu, nie mając zielonego pojęcia, co się dzieje. Blondynka wzdycha ciężko i odpowiada zmęczonym głosem: – Mam tego dosyć. To, że Kelly nie żyje, nie oznacza, że i ja umrę. – Słucha osoby po drugiej stronie linii... Matki... ojca... obojga, nie jestem pewien, jednak słowa, które słyszy, sprawiają, że prostuje się jak struna. Unosi głowę i widzę, że jej niebieskie oczy dosłownie płoną. Kiedy patrzy tak na mnie, wiem, że jest wściekła. Gdy w słuchawce zapada cisza, odpowiada spokojne, ale śmiertelnie poważnie: – Nie, nie zaakceptuję tego. Nigdy się z tym nie pogodzę. Uwierzcie mi, gdy mówię... że nie wrócę wcześniej. Nie zdołacie mnie do tego zmusić, bo jestem dorosła. Możecie tylko siedzieć i dziękować, gdy przyślę wam wiadomość, że żyję. Kiedy zakończę tę podróż, porozmawiamy o tym, co musi się zmienić. Nie mam zamiaru być dłużej waszym więźniem.

Na słowo „więzień” szok poraża mnie niczym prąd, choć nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi. Przeskakuję wzrokiem z Jillian na zmartwionego Connora,

a następnie na Barb, która wydaje się ledwie zainteresowana tym, co się dzieje. To niewielka poprawa w porównaniu do jej znudzonej miny.

Jillian rozłącza się bez pożegnania i oddaje mi telefon.

– Chodźcie, jedziemy dalej.

Biorę od niej komórkę, ale chwytam ją także za ramię i odwracam.

– O nie. Jesteś nam winna wyjaśnienie.

Patrzy na mnie bezradnie.

– Jakie wyjaśnienie?

– Nie próbuj nawet zgrywać idiotki, słońce – warczę. – Twoi rodzice zadzwoniliby na policję, gdybyś z nimi nie porozmawiała. Chcemy wiedzieć, dlaczego oni nie mieli pojęcia, że wybrałaś się z nami w tę podróż.

– To nie wasza sprawa – rzuca. Na dźwięk tych słów Connorowi opada szczęka. Jillian uczestniczy w terapii grupowej, w której dzielenie się wszystkim jest jak mantra. Ileż to razy dziewczyna naciskała na nas, byśmy o czymś opowiedzieli, a teraz sama ma tajemnice?

Przesuwam rękę z jej ramienia na nadgarstek. Robię to moją zdeformowaną dłonią, mimo to mam w palcach wystarczająco siły, by oczy Jillian zapłonęły przez chwilę. Przyciągam ją do siebie nieznacznie i mówię:

– To jest nasza sprawa, bo naraziłaś mnie, a także, jak zakładam, Barb na potencjalną sprawę w sądzie, ponieważ wyjechaliśmy poza stan. Co według ciebie by się stało, gdyby twoi rodzice wmieszali w to policję?

Jillian gwałtownie wciąga powietrze, jej twarz krzywi się, gdy rozważa możliwości. Wywołałem u niej wyrzuty sumienia. Być może przesadziłem, bo w rzeczywistości wolno mi opuszczać stan, a o sytuacji Barb wiem tylko tyle, że udział w terapii grupowej został jej zasądzony, dlatego przypuszczam, iż ona także może swobodnie poruszać się po kraju, ale... chcę, by Jillian od razu zrozumiała, o co mi chodzi.

– Dałaś wspaniałe przedstawienie, jak to troszczysz się o innych, ale sama byłaś egoistyczna i nie powiedziałaś, co tak naprawdę się dzieje w twoim życiu – rzucam. – Przypominam sobie też, że to ty wymyśliłaś tę podróż, twierdząc, że pragniesz zrobić to dla Connora. Założę się, że chciałaś jej dla siebie, co? Żeby uciec od rodziców.

– Spokojnie, Christopherze – karci mnie Connor.

– Zamknij się. – Ponad ramieniem Jillian wskazuję na niego palcem wolnej ręki. – Wiesz, że mam rację.

– Nie, mylisz się, mówiąc, dlaczego zasugerowała tę wycieczkę – odpowiada ostro. – Zrobiła to dla mnie, nie dla siebie.

Wiem, że chłopak prawdopodobnie ma rację, bo Jillian nie jest samolubna, ale nie przyznaję tego na głos. Wracając do źródła problemu, mówię do dziewczyny: – Teraz twoja kolej na zwierzenia. Dlaczego rodzice nic nie wiedzą

o tej wyprawie?

Jestem zaskoczony, gdy Jillian wyrywa rękę i piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie zrozumiałbyś mnie, a co więcej, wcale by cię to nie obeszło. Nic cię nie obchodzi, Christopherze.

– A co ze mną? – pyta Connor za jej plecami, dlatego odwraca się w jego stronę. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wiesz, że ja bym się przejął.

Dziewczyna kiwa głową. Jej głos jest cichy, gdy mówi:

– Tak... wiem. Ale podobnie jak Christopher nie zrozumiałbyś.

– Dlaczego nie? – pyta chłopak.

– Bo uważa, iż jej problemy są niczym w porównaniu do naszych, i boi się, że zaczniemy z niej szydzić – wcina się Barb. To nie pytanie. To nie przypuszczenie. To fakt i muszę powiedzieć... że ja również tak sądzę.

– To prawda? – pytam Jillian, która nie odwraca się jednak do mnie.

Zamiast tego zwraca się do Barb:

– Zostałaś zgwałcona i byłaś wykorzystywana. Chcesz się zabić. Connor umiera w bardzo młodym wieku. Christopher stracił sporą część ciała, jak i zapewne duszy. Nie sądzę więc, by należało opowiadać o moich problemach.

Te słowa...

Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch, obdarł ze skóry i mięśni, a następnie wypatroszył. Wiem, że nie dałem jej powodu, by myślała inaczej, ale nie chcę, aby czuła się niedowartościowana. Choć czasem mnie irytuje, a niekiedy się jej nawet boję, nie chcę, by czuła się źle sama ze sobą.

I jestem stuprocentowo pewny, że nie chcę, by czuła się odizolowana.

– Twoje problemy są tak samo ważne – mówię, a ona obraca się, by na mnie spojrzeć. Wyraz jej twarzy jest pilnie kontrolowany. – Powiedz prawdę, słońce... Dlaczego jesteś w tej grupie?

Patrzy mi w oczy. Przez chwilę wydaje mi się, że z uporem będzie milczeć, ale w końcu wyznaje cicho:

– Żebym mogła uciec rodzicom przynajmniej na tę jedną godzinę w tygodniu. Żebym mogła kogoś poznać i mieć z kim porozmawiać. Żebym mogła wyjść z domu i zobaczyć trochę świata, póki jeszcze coś widzę.

– Naprawdę cię więżą? – pytam, niedowierzając.

– Nie zamykają mnie na klucz – odpowiada, przewracając oczami. – Ale emocjonalnie... Jestem z nimi związana tak mocno, jakby przykuli mnie do siebie kajdanami.

– Jak to? – pyta Connor.

Jillian obraca się i cofa o dwa kroki, by widzieć nas wszystkich. Chłopak i Barb się przysuwają. Jestem porażony, widząc w oczach czarnowłosej odrobinę współczucia.

Jillian bierze głęboki wdech i opowiada o swoich rodzicach:

– Od mojej diagnozy ich świat skurczył się do moich oczu. Stałam się dla nich najważniejsza. Nie żebym wcześniej była niewidzialna, ponieważ zawsze się o mnie troszczyli, to znaczy... Przecież jestem ich dzieckiem. Oczywiście, że żyli, jedli, oddychali i spali dla mnie. Jednak po tym, jak zginęła moja siostra, stałam się esencją ich życia. Jedynym dowodem ich rodzicielstwa. Beze mnie byłoby tylko Sandy i Owenem Martelami, kurą domową w średnim wieku i adwokatem ubezpieczeniowym, zarabiającym czterdzieści tysięcy rocznie i grającym w weekendy w tenisa.

– Zatem stali się... przewrażliwieni? Nadopiekuńczy? – pytam.

– Przestali mi na cokolwiek pozwalać – odpowiada Jillian, kiwając głową. – Nie mogę pracować, bo nie jestem w stanie prowadzić samochodu po zmierzchu, a rodzice nie zgadzają się, żebym korzystała z transportu publicznego. Nie dam rady wyjść z domu, bo nie mam czym jeździć. Przyjaciół też nie mam, bo nigdzie nie mogę pojechać. Nie zdołam się nawet wyprowadzić, bo nie dysponuję żadnymi pieniędzmi, dlatego że nie pozwalają mi pracować.

– Przecież jesteś dorosła – podkreśla Barb. – Nie mają prawa ci niczego zabraniać. Jeśli chcesz zarabiać, znajdź pracę i korzystaj z autobusu. Jakoś do tego przywykną,

Jillian kręci głową.

– Nie wyjaśniłam tego za dobrze. Oni mnie szantażują emocjonalnie. Próbowałam być stanowcza i powiedzieć, że zamierzam żyć po swojemu, ale zaczęli wtedy płakać, jęczeć i błagać, bym tego nie robiła. Przypomnieli mi o Kelly i stwierdzili, że nie są gotowi stracić drugiej córki. Sprawili, iż miałam ogromne wyrzuty sumienia, więc nie chcąc, żeby się martwili, poddałam się ich woli.

– To brzmi, jakby to oni potrzebowali terapii – mówi cicho Barb.

Jillian parska sarkastycznym śmiechem.

– Rodzice nie są emocjonalnie przygotowani na to, co mnie czeka. Nie umięją przyzwyczać się do myśli, że wkrótce stracę wzrok. Nie potrafią zrozumieć, że z powodu kardiomiopatii w każdej chwili mogę dostać zawału serca. Traktują mnie jak jajko i są przerażeni, że się rozbiję. Nigdy nie pozwoliliby mi pojechać w tę podróż. Nic im nie powiedziałam, bo wybiliby mi to z głowy, a ja mam dosyć zabrania mi wszystkiego, czego chcę, tylko dlatego, że oni się o mnie martwią.

– Nie zapomniałaś portfela, prawda? – pytam, unosząc brew i uśmiechając się cwaniacko. – Po prostu nie masz pieniędzy.

– Przysięgam, że ci oddam – zapewnia mnie. W jej głosie pobrzmiwa obawa, gdy spojrzeniem błaga mnie o zrozumienie. – Dostałam trochę gotówki na święta i urodziny. Przysięgam.

– Spokojnie, słońce – mówię, machając ręką. – Nie martwię się o kasę.

Serio tak myślę. Cieszę się, mogąc zapłacić za jej podróż. Dostaję niezłą

rentę od rządu, więc nie opróżni mi to konta.

– Dołożę się – mówi Connor. – Ojciec dał mi swoją kartę kredytową i powiedział, że mam zaszaleć.

Zawstydzona Jillian uśmiecha się do Connora.

– Ja też mogę się dorzucić – mówi Barb. – To znaczy... nie mam za wiele kasy, bo większość wydaję na marychę, ale z chęcią się z tobą podzielę.

Odchylając głowę, Jillian śmieje się serdecznie. Podoba mi się ten obraz. Jej włosy stają się jeszcze bardziej złociste, a oczy lśnią, gdy dziewczyna patrzy na Barb, Connora i wreszcie na mnie.

– Przepraszam, że wam nie powiedziałam. Wydawało mi się to głupie. Moje problemy z nadopiekuńczymi rodzicami, od których nie potrafię się odciąć emocjonalnie... Już wiecie, dlaczego nie chciałam się do niczego przyznać?

Rozumiem ją. Co by było, gdyby Jillian opowiedziała o tym w pierwszych tygodniach terapii?

Do diabła, nawet gdyby zrobiła to w dzień wyjazdu, wyśmiałbym ją. Całkowicie wydrwiłbym Jillian, starając się, by wyszła na kretynkę.

Jednak teraz jestem w stanie tylko pokiwać głową. Jej problemy nie są tak wielkie, jak nasze, ale uświadamiam sobie, że przejmuję się nimi tak jak własnymi.

ROZDZIAŁ 19

Ognisko przygasa, więc wrzucam kolejną szczapę drewna. Bucha snop iskier, a po nim dym, chwilę później drewno zaczyna się palić. Po rozstawieniu obozowiska zjedliśmy kolejną śmieciową kolację – hot dogi i piwo. Odkąd przyjechaliśmy do Wyoming, nie paliliśmy zioła, nawet jeśli kemping był praktycznie pusty. Zgaduję, że większość ludzi woli rozbić się w Yellowstone niż w pobliżu lasu Bridger Teton.

Mimo to schowałem trawkę, raczymy się tylko piwami. Nie dostaliśmy stołu piknikowego, więc musieliśmy zrobić sobie siedzenia. Mam dwa składane krzesła, ale bez oparc. Jedno odstąpiłem Jillian, drugie Connorowi. Barb zajęła miejsce na lodówce turystycznej, a ja wyłożyłem się na śpiworze po drugiej stronie ogniska. Leżę teraz na boku, opierając głowę na dłoni i poprzez płomienie wpatrując się w Jillian.

Teraz jest jeszcze piękniejsza niż w promieniach słońca.

– Wiecie, co bym zjadł? – pyta nagle Connor.

– Co? – docieka Jillian.

Ja nie wykazuję zainteresowania, ale Barb patrzy na młodego pytająco.

– Takie ciepłe ciasto czekoladowe... z lodami waniliowymi, bitą śmietaną i wisienką – mówi rozmarzony. – Może jutro wieczorem uda nam się zjeść coś takiego w restauracji.

Śmieję się, bo mnie również zbrzydły już hot dogi i z chęcią przespałbym się na materacu. Kemping jest wspaniały, ale równie dobrze możemy mieszkać w jakimś cywilizowanym miejscu. Teraz śpimy pod namiotami głównie dlatego, że w Yellowstone nie ma żadnych pensjonatów. W grę wchodzi więc kemping albo godzinna podróż do Jackson.

– Dobra, to jutro hotel i restauracja – mówię do Connora.

– Ale taka z deserami – dodaje. – Od lat nie miałem w ustach ciasta.

– Dzięki temu będzie jeszcze słodsze – mówi Jillian.

– A co z tobą? – pyta ją chłopak. – Masz ochotę na coś, czego nie robiłaś od dłuższego czasu?

Jillian patrzy w górę, zastanawiając się nad odpowiedzią, i przymyka ciężkie powieki. Na jej twarzy gości rozmarzony uśmiezek, gdy ponownie spogląda na Connora.

– Wiem... Od bardzo dawna nie jadłam lodów domowej roboty. Waniliowych. Każdego lata kupowaliśmy je na plaży, ale po śmierci Kelly... Cóż, już tego nie robimy.

Jak zwykle chłopak patrzy na swoją przyjaciółkę ze współczuciem, kiwając ze zrozumieniem głową. Chwilę później zwraca się do Barb:

– A tobie? Czego ci brakuje?

– Seksu – odpowiada natychmiast dziewczyna. Wszyscy patrzą na nią ze zdziwieniem, a ona spogląda na nasze zszokowane twarze i pyta: – No co? Tylko dlatego, że byłam molestowana, nie mogę się cieszyć aktywnym i normalnym życiem płciowym?

– Yyy... – stwierdza Connor.

– Kiedy ostatnio uprawiałaś seks? – pyta blondynka, dlatego natychmiast na nią zerkam. Jillian rozmawiająca na ten temat? Całe moje ciało sztywnieje w odpowiedzi.

– Jakies dwa dni przed tym, jak wyruszyliśmy na tę wyprawę – odpowiada Barb, wzruszając ramionami.

– I już ci tego brakuje? – rzuca Connor.

Czarnowłosa parska dźwięcznym śmiechem, który jest do niej tak niepodobny, że wydaje się naprawdę rozbawiona. Zamiast odpowiedzieć, pyta chłopaka:

– Uprawiałaś kiedyś seks?

Światło ogniska nie pozwala mi dostrzec zmian na twarzy Connora, jednak nie mam wątpliwości, że chłopak cały poczerwieniał. Patrzy pod nogi i kręci głową.

– Nie. Byłem chory i w ogóle...

– Żałosna wymówka – kwituje Barb, znów się śmiejąc. – Zaufaj mi... to musi trafić na twoją listę.

Myślałem o tym samym.

Chłopak nadal trzyma głowę zwieszoną, w przeciwieństwie do Jillian, która nie wydaje się skrzepowana.

– Aleee, wracając do ciebie, Barb... Dwa dni przed wyjazdem i już ci tego brakuje?

– Uprawiałaś kiedyś seks? – pyta Barb, dzięki czemu rozmowa staje się jeszcze bardziej ciekawa.

Zamieniam się w słuch. Wpatruję się w Jillian, jej ramiona pozostają dumnie

wyprostowane, gdy odpowiada oschle:

– Oczywiście, że tak.

– W takim razie wiesz – odpowiada Barb, posyłając jej znaczące spojrzenie.

– Co wiem? – pyta zdezorientowana Jillian.

– Że jeśli jest dobry, to go brakuje. Jeśli zły, cóż... Zatem brakuje ci go, Jillian? – droczy się Barb.

Nie przestaję przyglądać się blondynce. Dziewczyna nie krzywi się na to pytanie, przyznaje jedynie:

– To, co przeżyłam, nie było wspaniałe, więc nie, nie brakuje mi go.

– Żałuj – rzuca smętnie Barb.

– Kim jest ten, przez którego już brakuje ci seksu? – dopytuje Jillian. Nie sądzę, by interesowało ją życie intymne Barb, raczej fakt, że rozmawia o tym bez żadnego skrępowania.

Dziewczyna wzrusza obojętnie ramionami.

– Kumpel z liceum. Tatuażysta. Często się bzykamy i jest mi wtedy dobrze, dlatego mi tego brakuje. Odpowiedziałam na twoje pytanie?

– Całkowicie – stwierdza Jillian, ale nadal jest ciekawa. – Macie siebie... no wiesz... na wyłączność?

– Nie ma mowy – odpowiada Barb z czymś, co mogę nazwać przerażeniem w oczach. – Nie chcę się z nikim wiązać. To tylko seks. Sposób na odreagowanie.

– Musisz być samotna – kwituje cicho.

Czarnowłosa posyła jej smutny uśmiech.

– Czuję się samotna przez większość swojego życia. Nie wiem, jak można funkcjonować inaczej, dlatego nie potrafię określić, czy ta alternatywa byłaby dla mnie lepsza.

– Przykro mi – mówi cicho blondynka. Nie ma w tym litości, Jillian chce raczej pokazać, że choć nie potrafi w pełni zrozumieć tego, przez co przechodzi, ani tego, co czuje jej towarzyszka, zdaje sobie sprawę, jak takie przeżycia mogą namieszać w głowie.

– Nieważne – mamrocze Barb, jednak jej spojrzenie jest łagodne, gdy wstaje z łodówki. – Idę spać, bo wstajemy jutro dość wcześnie.

– Ja też – mówi Connor, składając niewielkie krzeselko.

Spoglądam na Jillian, która chyba nie zamierza ruszać się ze swojego miejsca. Patrzy na resztę, życząc im słodkim głosem dobrej nocy. Chłopak kieruje się do dużego namiotu, a dziewczyna idzie do suburbana, kładzie się na tylnej kanapie i zatrząskuje za sobą drzwi.

Czuję, że blondynka mi się przygląda, więc zerkam na nią przez ognisko.

– Nie jesteś zmęczona? – pytam.

Kręci głową.

– Niespecjalnie.

Milczymy przez chwilę, jedynym dźwiękiem wokół nas jest trzask ognia. Mimo tego, że panuje lato, temperatura nie przekracza dziś dziesięciu stopni. Doceniam płomienie ogniska, nawet jeśli mam na sobie jeansy i grubą flanelową koszulę.

– Mogę posiedzieć przy tobie? – pyta Jillian, ruchem głowy wskazując mój śpiwór.

– Jasne – odpowiadam, podciągając się z pozycji leżącej i robiąc jej miejsce obok siebie. Moje serce zaczyna galopować.

Układam nogi na ziemi i obejmuję kolana. Moja prawa noga, ta sztuczna, jest zupełnie inna w dotyku niż lewa. Jillian siada obok po turecku, wpatrując się w ogień. Chciałbym coś powiedzieć... Zacząć rozmowę... dyskuszję... ale w głowie mam jedynie pustkę. Czuję się, jakbym nie wiedział, co zrobić z siedzącą obok dziewczyną.

– Dziękuję za dzisiaj – mówi cicho.

– Za co? – pytam, nie mając pojęcia, o co jej chodzi.

– Za to, że nie robiłeś mi wielkich wyrzutów, bo nie powiedziałam wam o moich rodzicach – mówi, patrząc na mnie. – Nie sądziłam, że może to w jakikolwiek sposób wpłynąć na ciebie czy Barb.

– Było, minęło – mówię cicho.

Naprawdę mi to nie przeszkadza. Jillian otworzyła się dziś trochę, a co w tym najlepsze – stała się przez to bardziej ludzka. Uświadomiłem sobie, że nie jest taka idealna, dzięki czemu mogę nawiązać z nią kontakt.

– Ale powiedz... Ten twój nieustający optymizm... jest prawdziwy czy to tylko ściema, by rodzice i inni się nie martwili?

Jillian się śmieje, ogień tańczy w jej oczach.

Odczuwam ulgę, gdy wyjawia:

– Przykro mi to mówić, Christopherze, ale jest bardzo prawdziwy. To leży w mojej naturze. Moja siostra też taka była, nieustannie ją podziwiałam, bo z każdego kłopotów potrafiła wyjść obronną ręką. Zgaduję, że się tym od niej зараziłam.

Lepiej mi, że Jillian jest dokładnie taka, jaka się wydaje. Promienna, pogodna, pełna nadziei i niezachwiana w tych przymiotach. Po ujawnieniu wad jest dla mnie jeszcze bardziej prawdziwa. Nie chciałbym, aby kiedykolwiek straciła to światło, które tak mnie do niej przyciąga. Wiedząc, że to rzeczywista cecha jej osobowości, czuję się niemal bezpiecznie.

– Wiesz, Christopherze – mówi, opierając się i zartobliwie szturchając mnie w ramię – nakrzyczałeś dziś na mnie za zatajenie pewnych rzeczy, a mimo to... z całej naszej czwórki to ty nie zdradziłeś niczego na temat swoich problemów.

Gdy ktoś chce grzebać w moich sprawach, zazwyczaj odsuwam się ostentacyjnie, buduję wokół siebie nieprzenikniony mur, ale teraz ku własnemu

zdziwieniu mówię:

– A co chcesz wiedzieć?

Jillian przez chwilę patrzy mi w oczy, po czym ostrożnie dotyka materiału moich jeansów w pobliżu miejsca, gdzie zaczyna się proteza.

– Co ci się stało?

Nie odwraca wzroku. Nie patrzy na ogień ani na moją nogę. Spogląda mi prosto w oczy. Choć żołądek ściska mi się na samą myśl o odpowiedzeniu na jej pytanie, mam zamiar to zrobić. Po raz pierwszy chcę ujawnić swoją historię komuś, kto nie jest chirurgiem lub psychiatrą.

– Prowadziłem pojazd opancerzony humvee i najechałem prawą przednią oponą na minę zakopaną w drodze – wyznaję, na co Jillian wzdycha, a w jej oczach pojawia się smutek. – Straciłem kumpla, który siedział na miejscu pasażera.

Ku mojemu zaskoczeniu dziewczyna przysuwa się i opiera głowę na moim ramieniu. Ostrożnie bierze mnie pod nie i obejmuje mój biceps. W ten sposób okazuje wsparcie. Solidarność. Układa się wygodnie, by wysłuchać długiej opowieści, bo chce poznać moją historię.

– Nie urwało mi nogi – mówię, przy czym czuję, że Jillian wzdryga się nieznacznie. Zaciska dłoń na moim ramieniu. – Odcięło mi palce, ale nie nogę. Została pogruchohana, mięśnie były rozerwane, ale lekarze twierdzili, że ją uratują.

– Najwyraźniej nie mogli – stwierdza szeptem to, co oczywiste.

– Próbowali przez trzy miesiące – odpowiadam, sięgając po telefon, leżący z lewej strony. Jillian unosi głowę, gdy otwieram galerię ze zdjęciami. Przewijam fotki i praktycznie od razu znajduję to, czego szukam, ponieważ rzadko używam aparatu. Trzymam komórkę tak, by dziewczyna mogła zobaczyć ekran. – To zostało zrobione jakiś miesiąc po wybuchu.

Jillian dławi się, patrząc na fotografię, na której leżę w szpitalnym łóżku. Na tym zdjęciu mam skrzywioną minę, a także wpółotwarte oczy, ponieważ byłem wtedy mocno naćpany środkami przeciwbólowymi. Nie pamiętam zbyt dobrze, kiedy zrobiono to zdjęcie. Wydaje mi się, że pstryknął je mój brat Hank, gdy przyjechał do mnie z wizytą. Odwiedził mnie później jeszcze kilka razy, po czym przestał się pojawiać.

Jillian przygląda się zdjęciu. Moja noga znajduje się tutaj w stabilizatorze. Odchodzi od niego kilka prętów, które znikają pod moją skórą, gdzie zostały przytwierdzone do kości, tak aby trzymać wszystko razem. Rany na kończynach są otwarte, czerwone, gdzieś tam pokryte pęcherzami pełnymi ropy. Do obu rąk mam przyczepione kroplówki, a także wenflon do szyi. Te wszystkie rurki dostarczały mi antybiotyki i środki przeciwbólowe, których potrzebowałem, aby jakoś funkcjonować. Brałem najwyższe stężenia, jakie tylko mogli mi podać lekarze, tym samym wybierałem utratę przytomności ponad świadomość tego, co się ze mną działo. Mimo to ból był tak wielki, że nie mógł zostać całkowicie

uśmierzony.

Jillian znów spogląda mi w twarz, więc odkładam telefon.

– Jak długo znajdowałeś się w takim stanie?

– Trzy miesiące. Niestety lekarze nie zdołali opanować infekcji, opóźniającej zrost kości. Ból był tak ogromny, że błagałem, by amputowali mi nogę.

– Sam podjąłeś tę decyzję? – pyta szeptem.

Kiwam głową.

– Tak. To znaczy... Lekarze stwierdzili, że przydałoby się ją odciąć, choć byli skłonni powalczyć jeszcze trochę, gdyby mi na niej zależało. Jednak ja chciałem, by ją amputowali. Czuję się już zmęczony tym straszliwym bólem. Pragnąłem jedynie, by się skończył.

– Żałujesz tej decyzji? – pyta prosto z mostu, choć nadal robi to tym swoim słodkim głosem. To pytanie mnie nie denerwuje, ponieważ nawet najtrudniejsze rzeczy wypowiedziane jej głosem są słodkie.

– Tak – odpowiadam bez wahania. – Zastanawiam się, co by było, gdybym wytrzymał nieco dłużej. Po amputacji ból zaczął ustępować i wróciła mi świadomość. Kiedy zapomniałem, jak bardzo śmierdzi rozkładające się mięso, pożałowałem swojej decyzji.

– Trzy miesiące w takim bólu to strasznie długo – wytyka to, co oczywiste.

Wzruszam ramionami.

– Ale przez resztę życia będę się zastanawiać, co by było, gdyby...

– Jest jeszcze coś – zgaduje miękko dziewczyna i ponownie kładzie głowę na moim ramieniu. – Do autodestrukcji nie doprowadziła cię jedynie utrata nogi.

Nie potrafię zapanować nad goryczą w głosie, która świadczy o mojej słabości. Nie chcę, by Jillian sądziła, że jestem mięczakiem, ale chcę jej przekazać prawdę o tym, jak się czuję.

– Nie, tylko wszystko to, co wiązało się z nogą. Bez niej nie mogłem zostać w wojsku, więc moja kariera legła w gruzach. Bez niej nie byłem już stuprocentowym mężczyzną, więc rzuciła mnie dziewczyna. Rodzice się ode mnie odcięli. Społeczeństwo patrzyło na mnie jak na kogoś nienormalnego i żalnego. Mylisz się... To właśnie utrata nogi spowodowała wszystkie moje problemy.

Przez chwilę czekam, aż Jillian zacznie bredzić o pozytywach, jasnych dniach i tego typu bzdurach, jednak ona stwierdza tylko:

– Uważam, że jesteś stuprocentowym mężczyzną.

– Tak tylko mówisz – mamrocę całkowicie zawstydzony nadzieją, jaką rozpałała we mnie tymi słowami.

– Nie – stwierdza stanowczo, unosząc głowę i ponownie patrząc mi w oczy.

– Uważam, że jesteś piękny i wspaniały. Nie mogę się doczekać, byś ponownie mnie pocałował, ale jak dotąd nie wykazałeś ku temu chęci.

Mrugam kilkakrotnie porażony jej oświadczeniem. Od lat nikt nie skomplementował mojego wyglądu, choć gdyby ktoś to zrobił, zapewne bym mu nie uwierzył. Nie słyszałem niczego miłego na swój temat od wyjazdu na misję. Jestem pewien, że Maria kiedyś coś takiego mówiła, ale gdy robi to Jillian, jej słowa wydają się prawdziwe, co mnie wzmacnia i sprawia, że znów czuję się jak prawdziwy mężczyzna.

– To dobry moment, żebyś mnie pocałował – mówi, uśmiechając się sennie.

– Jesteś dziwna – odpowiadam, również się uśmiechając, zadowolony z tego, że moja blizna się rozciąga, co oznacza, iż naprawdę się cieszę.

Pomimo tego, że Jillian rzeczywiście jest dziwna i czuje pociąg do kogoś takiego jak ja, pochylam głowę i całuję ją, tak jak tego chciała.

I to jest nawet lepsze niż te dwa wcześniejsze pocałunki.

ROZDZIAŁ 20

Budzę wszystkich niesłychanie wcześniej, bo chcę zabrać Connora na wędkowanie o świcie. Opłacam wszelkie potrzebne licencje, pakuję kanapki, wodę i oranżadę do lodówki turystycznej, a następnie rozkazuję załodze wskoczyć do samochodu, byśmy mogli udać się do Yellowstone. Koleś sprzedający pozwolenia poinformował mnie o niewielkim strumieniu wpadającym do jeziora w parku, płynącym jakieś pięć kilometrów od bramy głównej. Mam nadzieję, że Connor złapie dziś rybę, by nie tylko połowicznie skreślał rzeczy ze swojej listy.

Z łatwością odnajdujemy strumień, zjeżdżając z głównej drogi i jadąc kawałek wąską zwirową dróżką. Po zaparkowaniu Connor i Jillian wysiadają. Barb zostaje w wozie, mamrocząc, że chce spać. Podchodzę do bagażnika, wyciągam ekwipunek przygotowany uprzednio na tę wyprawę.

Nie mija wiele czasu, nim chłopak dopytuje, jak się wędkuje.

Spakowałem ten sprzęt dla siebie, ponieważ mieliśmy jechać przez tereny z dobrymi wodami, więc planowałem się pobawić.

Wyciągam z torby kamizelkę i podaję ją młodemu. Każda kieszonka i przegródka wypełniona jest przynętami, haczykami, żyłkami, ale do złapania pstrąga potrzeba także odpowiedniej wędki. Mam nawet podbierak przyczepiony gumą w bagażniku.

– Włóż to – mówię, wskazując na kamizelkę.

Chłopak bez wahania wykonuje polecenie, a ja idę przygotować wędkę. Zanim zamykam bagażnik, biorę również jedno małe składane krzeselko, by Jillian miała gdzie usiąść, gdy będzie nas obserwować. Connor zmierza do strumienia znajdującego się jakieś dwadzieścia metrów za sporym rowem, a ja obracam się do Jillian, która uśmiecha się znacząco, trochę nieśmiało, ale jednak odważnie. Nie waham się. Chłopak stoi do nas plecami, a Barb pewnie już śpi. Ręce mam zajęte, ale nie powstrzymuje mnie to przed pochYLENIEM SIĘ w jej stronę. Dziewczyna obejmuje mnie za szyję, a nasze usta się dotykają. Przechylamy głowy, gdy się

całujemy.

Pocałunek jest słodki, głęboki, ale krótki, ponieważ nie chcę, by inni go widzieli.

Kiedy się odsuwam, Jillian ma zamknięte oczy. Powoli unosi powieki i wzdycha.

– To było miłe.

Tak, było.

Pocałunek zajął nam jakieś trzy sekundy, podczas gdy wczorajsze pieszczoty wydawały się trwać godzinami. Cały czas siedzieliśmy obok siebie, nie zmieniając pozycji, i całowaliśmy się jak nastolatkwie odkrywający wszystko po raz pierwszy. Moje dłonie wędrowały po jej ciele, choć nie zapuszczały się daleko, dotykały jedynie brzucha lub dolnej części pleców. Jillian wodziła palcami po moich włosach, szarpiąc je, gdy pocałunki stały się gorętsze, a nasze oddechy splecione. Jej smak cieszył mnie ponad wszelką logikę. Pragnąłem położyć ją na ściółce i zrobić znacznie więcej.

Ale nie zrobiłem.

Utrzymywałem kontrolę, bo ~~bałem się, że mocno ją rozezaruszę~~ sprawy były między nami bardzo świeże. Wstąpiłem do świata, którego nie rozumiem i nie rozpoznaję, więc brnąłem naprzód z wielką ostrożnością.

Jillian przyznała, iż ją pociągam, a przecież ona mnie kręci, odkąd ją poznałem. Jednak z tej sytuacji nie będę mógł się po wszystkim swobodnie wycofać. Waham się, bo jestem mięczakiem i boję się, że ktoś ponownie mnie zrani. Co, jeśli dla Jillian te słowa nie były znaczące? Co, jeśli przyjrzy się mojej nodze i się wystraszy? Co, jeśli jestem dla niej tylko częścią eksperymentu?

Nie chcę spotkać się z odrzuceniem, jakiego doznałem od Marii. I tak straciłem już zbyt wiele.

Kręcąc głową, odsuwam od siebie ponure myśli i uśmiecham się do Jillian.

Można o niej wiele powiedzieć, ale nie to, że wykorzystuje ludzi. Jestem tego pewien, choć nie czyni mnie to mniej sceptycznym co do zakończenia spraw między nami.

– Chodź – mówię, ruchem głowy wskazując na strumień.

Jillian mruży powściągliwie oczy i kręci głową.

– Nie pójdę tam z wami. Chciałam jedynie buziaka.

Kącik moich ust się unosi, blizna rozciąga, gdy uśmiech wraca na moją twarz. Wyszła, by mnie pocałować. Moja męskość właśnie została podbudowana.

– Zejdzie nam z godzinę – informuję. – Co będziesz robić przez ten czas?

– Zadzwońię do rodziców, by z nimi porozmawiać – mówi, ściągając brwi ze zmartwienia. – Chcę się upewnić, że wszystko w porządku.

– Nie pozwól, by zmusili cię do powrotu – mówię szorstko, pochylając się, by spojrzeć jej w oczy. – Daj im znać, że jesteś bezpieczna i wszyscy ci

pomagamy.

Jillian przytakuje, oczy błyszczą jej wdzięcznością.

– Powiem. Nie dopuszczę, by wywołali we mnie poczucie winy, jednak mam wyrzuty sumienia, że tak brzydko się wczoraj rozłączyłam. Chcę tylko wyprostować sytuację.

– Spoko – zapewniam ją.

– W porządku – mówi, kiwając głową. – Kiedy skończę, zapewne posiedzę w samochodzie i poczytam. Trudno jest mi to robić wieczorami przy ognisku, więc zamierzam wykorzystać dobre światło.

– Tę swoją książkę o sztuce? – pytam.

– Tak – odpowiada, uśmiechając się promiennie. Bez wątpienia pasjonuje się sztuką. Zastanawiam się, czy po powrocie do Raleigh powinniśmy pójść do jakiegoś muzeum. Byłaby pewnie zadowolona i cholera... ja chyba też. Do diabła, podobałoby mi się obserwowanie rozwijającej się pleśni, gdyby tylko Jillian stała obok mnie.

– Dobra, baw się dobrze – mówię, idąc w kierunku strumienia. Przychodzi mi coś do głowy, więc odwracam się i dodaję: – Wciąż sporo widzisz. Masz też te swoje okulary, dzięki którym wyglądasz jak profesjonalny kujon. Dlaczego nie znajdziesz sobie pracy, gdzie wykorzystasz wiedzę ze studiów? Albo jakiegokolwiek inne zajęcie?

Jillian przechyliła głowę na bok, mruży przez chwilę oczy, jakby miała ochotę zaprzeczyć mojej sugestii, jednak wyraz jej twarzy łagodnieje, gdy akceptuje moje słowa. Niebieskie oczy rozpalają się, a na jej twarzy pojawia się cudowny uśmiech.

– Wiesz... chyba masz rację. Wyrwałam się już rodzicom... więc teraz... Czemu nie?

– Możesz robić, co tylko zapragniesz – zapewniam.

Otwiera oczy jeszcze szerzej zarówno z podziwu, jak i z niedowierzania.

– Christopherze! – woła podekscytowana, jakby dowiedziała się czegoś ważnego.

– Co? – pytam, niemal wywracając się z powodu jej entuzjazmu.

– Dałeś mi właśnie nadzieję – mówi, a mnie ściska się serce, gdy słyszę jej dumę i radość. – Powiedziałeś, że mogę zrobić coś, co uważałam za niemożliwe. Dałeś mi receptę na to, jak tego dokonać. Ty.

Jest wniebowzięta z powodu moich słów, co mnie niebywale zawstydzia, dlatego mówię tylko:

– Och, weź się już zamknij. – Jednak wypowiadam to z uwielbieniem, więc Jillian się śmieje.

Ruchem głowy dziewczyna wskazuje na strumień i mówi:

– Idź wędkować z Connorem.

Moje kroki są lekkie i pewne, nawet jeśli podłoże jest bardzo nierówne.

Woda połyskuje w słońcu na zielono, na niebie nie widać ani jednej chmurki, a ja po raz pierwszy od wieków czuję się wolny. Nie mam pojęcia, co się ze mną stało w ciągu ostatnich trzech dni, ale bez wątplenia wiem, że jest to zasługa Jillian.

Dołączam do Connora i przez chwilę tłumaczę mu podstawowe sprawy. Uczę go zarzucać, upewniając się, że będzie pracował nadgarstkiem, poruszając wędką z dziesiątej na drugą, i wykonywał ten ruch przez ramię, jednocześnie wypuszczając żyłkę.

– Użyjemy dziś suchych much – mówię. – Oznacza to, że po zarzuceniu przynęta uniesie się na wodzie. Pstrąg będzie musiał podплыnąć do powierzchni, by ją chwycić.

Przez kolejne minuty pokazuję chłopakowi, jak należy zarzucać przynętę – czyli jak machać wędką tam i z powrotem – by mógł robić to prawidłowo i żeby mucha lepiej unosiła się na wodzie. Kiedy pokazuję mu kilka prawidłowych sposobów, pilnuję, by zauważył, że robię to pod prąd, tak aby mucha płynęła strumieniem aż do zatrzymania żyłki, by nie znalazła się za daleko.

Podając wędkę Connorowi, udzielam mu również ostatniej rady:

– Patrz na muchę. Kiedy zobaczysz, że pstrąg do niej podplywa, szarpnij wędką, by nabił się na haczyk, a następnie zacznij kręcić kołowrotkiem, ściągając żyłkę. Jeśli tego nie zrobisz, żyłka będzie za luźna, a ryba może się zerwać.

– Rozumiem – mówi Connor, z ekscytacją w oczach stając na skraju strumienia. Żałuję, że nie zabrałem także woderów, by chłopak mógł stanąć w wodzie, jednak nie były niezbędne, więc je zostawiłem, żeby zmieścił się sprzęt biwakowy.

Muszę przyznać, że dzieciak ma wrodzony talent. Uważnie słuchał moich instrukcji, a jak na początkującego jego technika jest wyśmienita. Kiedy zarzuca wędkę, obraca nieznacznie ciało, obserwując, jak mucha spływa z prądem. Gdy dociera ona do końca, zwija żyłkę i ponownie rzuca przynętę do wody.

– To takie relaksujące i wyciszające – mówi, gdy przesuwam wędkę wraz z prądem.

– Póki ryba się nie złapie – odpowiadam, przyglądając się. – Wtedy pojawia się adrenalina.

– Dzięki, że tu ze mną jesteś – mówi, zwijając żyłkę. – Mój tata to biznesmen, wiesz? Garnitur, krawat, te sprawy. Kocha mnie i organizuje mi wszelkie rozrywki, ale nie potrafi biwakować ani wędkować.

– Żaden problem, młody – mówię, ciesząc się nieznacznie z jego pochwały. Byłem najmłodszym z braci, więc dla nikogo nie stanowiłem przykładu. To dziwne uczucie, ale miłe.

– Chciałbym porozmawiać z tobą jak facet z facetem – stwierdza Connor i patrzy w kierunku samochodu, upewniając się, że jesteśmy sami.

W chwili, gdy mówi „jak facet z facetem”, uświadamiam sobie, że muszę

przestać nazywać go dzieciakiem. Stał się mężczyzną – nie z powodu wieku, ale doświadczeń. Sam fakt, że musi mierzyć się ze zbliżającą się śmiercią, sprawia, iż jest dorosły.

– No co tam? – pytam lekko, nie mając pojęcia, o co zapyta. Cokolwiek to będzie, nie chcę, by się krępował, bo wziąłem sobie do serca to, co powiedziała Jillian na temat mojego chamskiego zachowania. Connor rzeczywiście nie powinien się spotykać z moim gniewem. To chłopak, który powinien doświadczać samego dobra.

– Chodzi o to, że wczoraj Barb zapytała, czy uprawiałem już seks... – zaczyna, ale urywa. Skupia uwagę na zarzuceniu wędki, czerwieniąc się na całej twarzy. Być może liczy na to, że połapię się, o co mu chodzi.

– Chciałbyś i to skreślić z listy? – dopytuję.

Pospiesznie kiwa głową, nie patrząc mi w twarz, całkowicie koncentrując się na wędce. Po chwili dodaje jednak:

– Może znasz kogoś, kto po powrocie do domu... albo eee... no nie wiem... jakąś profesjonalistkę czy coś...

Żołądek mi się ściska, bo rzeczywiście... po wyjściu ze szpitala zaliczyłem kilka panienek za pieniądze. I tak, mógłbym mu coś takiego zorganizować.

Ale nie wiem, czy to w porządku, bo byłoby to dla niego okropne doświadczenie. Czy nie lepiej stałoby się, gdyby nigdy nie skreślił tego z listy, niż umarł w przeświadczeniu, że seks jest okropny? To znaczy tak naprawdę nie jest okropny, bo przeważnie każdy stosunek oznacza dla faceta przyjemność, ale... Connor to dobry chłopak i zasługuje na coś równie wspaniałego, na coś lepszego niż anonimowy seks z prostytutką.

– Connor – mówię z wahaniem. – Nie masz żadnej bliskiej koleżanki lub kogoś w tym stylu?

Kręci głową.

– Niespecjalnie. Kiedy stało się jasne, że nie pożyję długo, przyjaciele poczuli się dziwnie w moim towarzystwie. Kto by chciał obserwować, jak umiera bliska mu osoba? Tak naprawdę przyjaźnię się tylko z Jillian. Stała się moją najlepszą przyjaciółką, a z nią byłoby to ohydne, bo jest dla mnie jak starsza siostra. Pomyślałem więc, że może znasz kogoś czy coś w tym stylu...

Nie mam pojęcia, czy zdołałbym znaleźć kogoś, kto byłby dla niego wystarczająco dobry, tak aby skreślenie tego punktu z listy okazało się czymś wartym poświęcenia, jednak nie powstrzymuje mnie to przed złożeniem obietnicy:

– Załatwione. Pomogę ci kogoś znaleźć.

Chłopak w końcu odwraca się, by na mnie spojrzeć. Nawet jeśli wciąż jest czerwony, uśmiecha się szeroko.

– Dzięki, koleś. To wiele dla mnie znaczy.

– Nie ma sprawy, koleś – odpowiadam szorstko, choć mój uśmiech

podpowiada mu, że była to dobra, zacieśniająca męską więź chwila.

Connor wraca do wędkowania. Pozwalam mu na kilka rzutów i mówię:

– Pójdźmy nieco w górę strumienia.

Znajdujemy nowe miejsce. Wskazuję na spory kamień wystający z wody i mówię chłopakowi, żeby zarzucił obok niego. Kiedy to robi, niemal natychmiast podpływa pstrąg, ale albo ryba nie połknęła całkowicie przynęty, albo Connor szarpnął wędką zbyt szybko, bo nie udało mu się jej złowić. Próbuje więc ponownie.

Przyglądam się, jak z wyrytą na twarzy determinacją zarzuca wielokrotnie przynętę. Nie odczuwa frustracji, nie poddaje się, po prostu z uporem stara się złapać tę cholerną rybę.

– Boisz się śmierci? – pytam.

Nieznacznie się wzdryga, następnie patrzy na mnie, unosząc wysoko brwi. Nigdy nie poruszałem z nim tego tematu ani tego, jak się z tym czuje.

Zwija żyłkę, nie trudząc się wpatrywaniem w muchę. Zamiast tego obraca się i patrzy mi prosto w twarz.

– Jestem przerażony.

– Czym dokładnie?

– Wieloma rzeczami – mówi, stwierdzając ponury fakt. – Bólem, powolnym umieraniem, smutkiem rodziców. Boję się, że nie odpuszczę, gdy będę musiał to zrobić, przez co dołożę cierpienia zarówno sobie, jak i im.

Ta myśl mocno we mnie uderza, jest niczym fizyczny cios w brzuch, dlatego muszę się pilnować, by nie zgiąć się w pół. Mimo wszystko chłopak nie odpowiedział bezpośrednio na moje pytanie. Wiele myślałem o śmierci, ale nie czułem wtedy strachu. Wiem, że byłaby bezbolesna, gdybym zrobił to prawidłowo, a i tak nikt by po mnie nie płakał.

Jednak mam wątpliwości, których nie jestem w stanie się pozbyć. Naprawdę chciałbym, by Connor jakoś się do nich ustosunkował.

– A co potem? – pytam cichym, pełnym wątpliwości głosem.

– Potem?

– Tak... no wiesz, po tym, jak umrzesz? – wyjaśniam. – Boisz się tego?

– Boże, nie – odpowiada szybko. – Wierzę, że pójdę do nieba. To mnie wcale nie martwi.

– Ale skąd możesz mieć pewność, że tak się stanie? – naciskam.

Connor się śmieje i patrzy na mnie rozbawiony.

– Najwyraźniej nie jesteś wierzący.

– Moja rodzina nie należy do tych pobożnych – wyznaję.

– Wiesz cokolwiek o Jezusie i tym, dlaczego za nas umarł? – pyta, przechylając nieco głowę.

Kręcę swoją, bo nic nie wiem na ten temat.

Connor ze smutkiem na twarzy zbliża się do mnie o krok.

– Musisz mieć w sobie wiarę. Musisz wierzyć w niebo. Musisz mieć w duszy miejsce niedostępne dla żalu, ponieważ Jezus umarł za nasze grzechy, a dzięki temu czeka nas wieczne szczęście. Z wiarą nie powinieneś obawiać się tego, co stanie się potem.

Cóż, to jest zupełnie do dupy. Patrzę na rzekę, woda opływa kamienie i szumi melodyjnie wraz ze śpiewem ptaków i wiatrem potrząsającym gałęziami drzew.

To piękne.

Daje mi pociechę.

Nie żebym miał w sobie wiarę, której mogę się uchwycić. I muszę się przyznać sam przed sobą, że to, co powstrzymuje mnie przed zakończeniem żywota na własnych warunkach, to niewiadoma, co stanie się potem. Boję się, że cokolwiek to będzie, nie będzie dobre. Będzie gorsze od tego, co jest teraz.

– Jeszcze nie jest za późno – mówi cicho Connor.

Ponownie na niego spoglądam.

– Na co?

– Na to, aby uwierzyć – odpowiada. – Jeśli chcesz... po powrocie do Raleigh możesz pójść ze mną do kościoła. Pomogę ci się nauczyć.

Nie wiem, co czuć, mając przed sobą wizję pójścia do kościoła i uczenia się o religii, ale muszę przyznać, że to, co oferuje Connor, jest najbardziej pocieszającą rzeczą, jaką ktokolwiek zrobił dla mnie od czasu wypadku. Mam pewność, że dla niego to nic wielkiego, ale dla mnie... W tej chwili wątpię we wszystko, ponadto jestem pełen obaw. Ten chłopak dał mi coś, czego nie dostałem od bardzo długiego czasu.

– Pomyślę o tym – mówię z niedowierzaniem, nie chcąc niczego obiecywać. Od dawna do niczego się nie zobowiązałem.

– Spoko – mówi Connor z uśmiechem.

– Dobra – odpowiadam i wskazuję na strumień. – Zarzuć tu jeszcze kilka razy.

Obracając się w kierunku rzeki, chłopak wykonuje trzy piękne zamachy i wypuszcza muchę na wodę. Przynęta ląduje tuż przy kamieniu. Milisekundę później widzę, że z otwartą paszczą podpływa do niej pstrąg.

– Ciągnij! – krzyczę. Kiedy Connor szarpie wędką, ryba zamyka usta na przynęcie. Wiem, że się złapała, ponieważ wędka się wygina, a żyłka naciąga na całej długości.

– Udało ci się! – komentuję z dumą.

Connor odpowiada z triumfem:

– Udało mi się!

Kolejny punkt do skreślenia z listy.

Kolejny krok bliżej śmierci.

ROZDZIAŁ 21

Chociaż wszyscy chcemy zobaczyć gejzer Old Faithful, cały dzień spędzamy, jeżdżąc wokół parku i podziwiając widoki. Szybko orientujemy się, jak odnaleźć dziką przyrodę w parku Yellowstone, który ciągnie się aż po horyzont, przecinany lasami, strumieniami, górami, skalistymi zboczami i równinami. Stanowi dom dla przeróżnych niesamowitych gatunków fauny i flory. W miarę upływu czasu orientujemy się, że jeśli przy drodze stoi zaparkowanych kilka pojazdów, gdzieś w okolicy znajduje się jakieś zwierzę.

Pierwszym stworzeniem, jakie udaje nam się spotkać, jest łoś z łopatami na głowie, które sięgają prawie na metr w każdą stronę. Zwierzak leży w cieniu pod drzewem, przyglądając się spokojnie turystom znajdującym się jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Komórka wydaje dźwięk, gdy przybliżam obraz i robię zdjęcie. Gdyby był teraz sezon polowań, a ja miałbym przy sobie dubeltówkę, historia potoczyłaby się zupełnie inaczej.

Po drodze do Upper Falls widzimy jeszcze kilka łośi i stado saren. Zachwycamy się wodospadem – nawet Barb idzie go zobaczyć – po czym wracamy do suburbana. Nieopodal parkingu, przy krawędzi lasu, zauważam strażnika leśnego z grupą około trzydziestu osób. Zmieniam kierunek i zbliżam się do nich, machając na resztę, by do mnie dołączyła.

Kiedy docieramy do grupy, słyszymy, jak strażnik mówi:

– Jeśli pozostaniecie nieruchomo, może uda nam się go zobaczyć.

Jillian pyta stojącą najbliżej babkę:

– Co oni robią?

Kobieta patrzy na nią z ekscytacją.

– W lesie jest drugi strażnik, który próbuje nagonić tu niedźwiedzia brunatnego, byśmy mogli zrobić mu zdjęcie.

Spoko.

Jillian wydaje się być jednak odmiennego zdania, bo natychmiast zaczyna się

wycofywać. Chwytam ją za rękę i przyciągam do siebie.

– O nie, donikąd nie pójdziesz. Zostaniesz i zobaczysz misia.

Kręci głową.

– Nie widzę za wyraźnie, więc wrócę po prostu...

– Strachajło – droczę się, mocniej zaciskając palce.

– Christopherze – szepcze niemal histerycznie. – Oni naganiają tu niedźwiedzia, a niedźwiedzie pożerają ludzi.

– To niedźwiedź brunatny – odpowiadam z przekonaniem. – One żywią się jagodami, nie ludźmi.

Dziewczyna patrzy na mnie sceptycznie. Jestem pewien, że miśki są wszystkożerne, a wygłodzone są w stanie pożreć nawet człowieka, jednak nie mówię tego na głos. Zamiast tego dodaję:

– I nie ma mowy, by strażnik go naganiał, gdyby to było niebezpieczne.

Chyba udało mi się ją uspokoić. Po jakichś piętnastu minutach na skraju lasu pojawia się niedźwiedź i idzie wzdłuż krawędzi parkingu. Zdaje się, że grupa kilkudziesięciu osób mu nie przeszkadza. Zwierzak nawet na nas nie patrzy. Po prostu przechodzi, wraca do lasu i znika między drzewami.

– Wydaje mi się, że to wyszkolony misiek z cyrku – mówi cicho Barb, na co śmieję się tak żywo, że mało nie sikam w spodnie.

Wracamy do samochodu i kierujemy się przez dolinę Hayden do gejzera Old Faithful, zatrzymując się po raz kolejny na widok stada pasących się bizonów. Podchodzimy zboczem, by mieć lepszy widok na dolinę, a gdy wspinamy się na górę, zamieram. Po drugiej stronie, jakieś dziesięć metrów dalej, stoi potężny byk. Te zwierzęta są wielkości samochodu.

Kiedy wjechaliśmy do parku, dostaliśmy żółtą ulotkę informującą, że bizony są ekstremalnie niebezpieczne, więc nie powinniśmy się do żadnego zbliżać. Zamieszczono nawet statystykę zgonów spowodowanych przez ten gatunek. To nie jest, kurwa, zabawne.

Natychmiast chwytam Jillian za rękę i zaczynam się wycofywać. Connor robi to samo, jednak Barb się nie rusza. Stoi na wzgórzu i wpatruje się w pasącego się bizona. Zwierzę jest spokojne, wręcz znudzone, wydaje się nieporuszone obecnością kobiety. Unosi głowę, przeżuwał trawę, i patrzy na nią obojętnie. Nagle rusza ku niej powoli, jakby od niechcenia.

– Barb – szepczę. Cofając się i wciąż trzymając Jillian za rękę, wpatruję się w stojącą nieruchomo czarnowłosą. Słyszę za plecami, że Connor schodzi ze wzgórza.

Kilka kroków później tracę bizona z oczu, bo znajdujemy się za skarpą, ale Barb nadal stoi tam, gdzie przed chwilą.

Następnie coś brązowego porusza się na szczycie i bizon znów staje się widoczny. Zwierzę znajduje się w tej chwili jakieś trzy metry od dziewczyny,

górując nad nią, i wciąż spokojnie żuje trawę.

– Barb – szepczę ponownie, tym razem ostrzej, by wiedziała, że mówię poważnie. – Spieprzaj stamtąd. Wycofaj się powoli z boczem.

Jednak ona dalej stoi i wpatruje się w byka. Zwierzę nie podchodzi bliżej, gapi się tylko na kobietę. W tej właśnie chwili uświadamiam sobie, że Barb nadal pragnie śmierci. Najwyraźniej, w przeciwieństwie do mnie, w ogóle się jej nie boi.

W końcu bizon rusza i odchodzi w bok, by paść się dalej. Barb obraca się z niemal zawiedzioną miną i schodzi ze wzgórza. Connor i Jillian czekają bezpiecznie w samochodzie. Zostałem na zewnątrz gotowy dzwonić na pogotowie, gdyby zwierzę jednak zaatakowało.

Kiedy dziewczyna dociera do mnie, jej oczy są pełne determinacji. Ignoruję to jednak i wrzeszczę:

– To było naprawdę głupie!

Wzrusza tylko ramionami.

– A co cię to obchodzi?

Zastanawiam się dogłębnie nad tym pytaniem. Czy jej śmierć w ogóle by mnie obeszła? Nie mam pewności, jakbym się czuł, bo chociaż zacząłem tolerować tę dziewczynę, nie wiem, czy naprawdę mi na niej zależy.

Jednak odpowiedź pojawia się w mojej głowie dość szybko, choć nie jestem pewien, czy to jedyny powód.

– Obchodzi, bo gdyby coś ci się stało, odbiłoby się to na Connorze i Jillian.

– Oni też się mną nie przejmują – mamrocze, próbując mnie wyminąć.

Chwytam Barb za rękę, by ją zatrzymać, a przynajmniej sprawić, by na mnie spojrzała. Za jej ramieniem widzę, że Jillian wpatruje się w nas ze zmartwieniem przez szybę. Wiem, że myśli o tym samym co ja... Wszyscy zobaczyliśmy właśnie, jak poważny jest stan dziewczyny i jak bardzo pragnie ona umrzeć.

– Bardzo się przejmują – odpowiadam stanowczo. – Jak możesz tego nie widzieć?

– To już ich problem – odpowiada ostro, wrywając mi rękę i wsiadając do auta.

Nikt nie komentuje zaistniałej sytuacji, gdy wskakuję za kierownicę i odjeżdżam. Zrobiło się późno, wszyscy jesteśmy zmęczeni. Planuję udać się do zachodniego wyjazdu z Yellowstone, prowadzącego do Montany. Stamtąd będziemy musieli znów pojechać na południe, by znaleźć się na drodze międzystanowej prowadzącej do Portland. Jednak nie możemy wyjechać stąd bez skreślenia z naszych list największej atrakcji w Yellowstone.

Musimy zobaczyć, jak wystrzeliwuje woda z Old Faithful.

Ulotki o parku informują, że erupcja gejzera następuje jakieś siedemnaście razy w ciągu jednego dnia, z przerwami od sześćdziesięciu do stu dziesięciu minut. Nie ma szans, aby wyliczyć dokładny czas wybuchu, jednak gdy przyjeżdżamy na

miejsce, okazuje się, że szczęście nam dopisuje. Znajdujący się na sklepiku przy parkingu zegar odliczający przewidywany czas erupcji pokazuje dziesięć minut.

Spieszmy więc wszyscy do gejzera. Ławki wyznaczające strefę bezpieczeństwa pełne są oczekujących turystów, ludzie stoją również za nimi w czterech, pięciu rzędach. Prowadzę grupę nieco dalej od wejścia, byśmy nie mieli tyle osób przed sobą. Gejzer znajduje się na tyle daleko, że i tak widzimy go w całości.

Dziesięć minut ciągnie się w nieskończoność. Zdaję sobie sprawę, że to tylko przypuszczalny czas wybuchu, choć w tej chwili ta prognoza wydaje się dokładna. Wiem, że zaraz nastąpi erupcja, gdyż woda zaczyna się cofać. Pojawiają się bąble powietrza, a następnie strumień strzela w górę na wysokość kilku metrów. Słyszę bulgotanie pod kruchą warstwą skał tuż przy ujściu gejzera, w którym woda jest niespokojna.

– Wspaniałe – mówi stojąca obok mnie Jillian. Obejmuje mnie w pasie, trzymając ciepłą dłoń na moim biodrze. To coś, co robią ludzie będący w związku... Otaczają rękoma osobę, na której im zależy.

Czuję się dobrze, nie jestem zawstydzony. Choć domyślam się, że Connor coś podejrzewa, nie mam pojęcia, co wie Barb, chociaż uświadamiam sobie, że mam to w dupie. Unoszę rękę i również obejmuję dziewczynę. Jednak zamiast położyć dłoń na jej biodrze, przesuwam ją niżej i wkładam do tylnej kieszeni spodni blondynki. To śmiały ruch, dlatego Jillian zerka na mnie przez chwilę z rozbawieniem. Posyłam jej spojrzenie niewiniątka i znów spoglądam na Old Faithful.

Obejmując się, podziwiamy pełną erupcję gejzera. Strumień wody, który według informacji ma temperaturę dziewięćdziesięciu trzech stopni Celsjusza, strzela na jakieś trzydzieści metrów w górę.

– Wow – mówi oszołomiony Connor, wyjmując iPhone'a i robiąc zdjęcia. Czytałem, że wybuch może trwać od dwóch do pięciu minut. Założę się, że młody pstryknie w tym czasie tysiąc fotek.

– Cudowny – mówi cicho Jillian.

– Możesz to, do cholery, powtórzyć? – pyta z drugiej strony Barb.

– Cudowny – powtarza blondynka, poruszając figlarnie brwiami.

Czarnowłosa przewraca oczami i mamrocze:

– He, he.

– Hej, zrobię wam zdjęcie – mówi Connor, ale wiem, że ma na myśli jedynie mnie i Jillian. Patrzymy na niego przez ramię, na co chłopak się uśmiecha. – Obróćcie się twarzami do mnie.

Jillian się nie waha. Obraca siebie i mnie przy okazji, a następnie zaczeplia palec o szlufkę moich spodni. Connor cofa się kilka kroków i wyciąga komórkę, by uchwycić nas na tle tryskającego gejzera.

– Dobra, uśmiech – mówi, szczerząc zęby.

Nie muszę patrzeć na Jillian, by wiedzieć, że jej uśmiech będzie promienny i pełen słońca. Gdy próbuję dopasować się do niej miną, moja blizna się rozciąga. Przyciągam dziewczynę bliżej, przechylamy ku sobie głowy.

– Och, ale to będzie zarabista fotka – mówi Connor, gdy pstryka kilkakrotnie. – A teraz, Barb... dołącz do nich.

Dziewczyna się wzdryga, patrzy na chłopaka i mówi:

– Nie ma, kurwa, mowy. Nienawidzę zdjęć.

– Prooszęęę – jęczy chłopak, patrząc na nią żałośnie. – Ja umieram.

Jillian i ja parskamy śmiechem, a Barb warczy na Connora, gdy podchodzi do nas:

– Ty mały gnojku... Ta wymówka nie będzie na mnie wiecznie działać.

Chłopak uśmiecha się, gdy robi zdjęcie. Barb nie pozuje, stoi jedynie spięta obok mnie. Zastanawiam się, czy jej nie objąć, ale znając tę dziewczynę, wyciągnęłaby nóż i ucięłaby mi rękę, a cóż, części mojego ciała stały się dla mnie ostatnio dość cenne.

– Dobra, a teraz potrzebne nam selfie, na którym znajdziemy się wszyscy – dodaje wesoło Connor.

– Jezu Chryste – mamrocze Barb, gdy chłopak do nas dołącza.

Podaje mi swój telefon.

– Masz najdłuższe ręce, więc pstryknij.

Nie waham się, bo cholera... dzieciak umiera. Dlaczego nie miałbym zrobić sobie selfie z grupą, by upamiętnić tę wyprawę?

Przebyłeś daleką drogę przez te trzy dni, Christopherze, ty cikliwy sukinsynie.

Connor obraca się do mnie plecami, bierze Barb za rękę i przyciąga dziewczynę do siebie. Pociąga ją w dół i oboje kucają. Zmieniam perspektywę aparatu i wyciągam telefon przed siebie. Również się pochylam i przysuwam głowę do Jillian. Na ekranie komórki twarz Connora znajduje się tuż pod Jillian, a twarz Barb jest na wysokości mojej piersi. Jillian i Connor szczerzą się od ucha do ucha, chłopak wyciąga też rękę, pokazując znak pokoju. Barb się krzywi, gdy wrząca woda strzela w górę za naszymi plecami.

– Na litość boską, Barb – mówię zirytowany. – Nie mogłabyś chociaż raz się uśmiechnąć?

Jej grymas tylko się powiększa.

– Prooszęęę – nalega Connor, rezygnując z uśmiechu i znaku pokoju. – Ja umiiiiiraam...

Ja i Barb jednocześnie parskamy śmiechem. Naciskam migawkę niezliczoną liczbę razy, podczas gdy Old Faithful nadal pluje za nami wodą, a na twarzy Barb maluje się uśmiech.

Chwilę później obracamy się, by obserwować to widowisko natury, którym

wciąż jesteśmy urzeczeni. Kiedy strumień wody w końcu się zmniejsza i znika, ruszamy do suburbana. Connor przerzuca zdjęcia w galerii, gdy przeciskamy się między ludźmi.

– To jest super – mówi, zatrzymując się.

Jillian natychmiast do niego podchodzi, zaglądając mu przez ramię. Robię to samo, Barb idzie po prostu dalej.

To naprawdę dobra fotografia.

Nie potrafię przestać wpatrywać się w zdjęcie, na którym słońce rozjaśnia włosy Jillian. Błękitne oczy, widoczne tylko w połowie, są krystaliczne... połyskują radością... jak prawdziwe klejnoty. Pełne usta rozciągają się w szerokim, naturalnym uśmiechu. Jej skroń spoczywa na mojej, nasze głowy przechylone są ku sobie.

Patrzę na siebie na tej fotce i przez chwilę jestem zaskoczony.

Również się uśmiecham.

Szeroko.

Śmiało.

Pokazując zęby.

W moich oczach jest światło.

A na twarzy wyraz szczęścia.

Zupełnie nie rozpoznaję tego faceta.

ROZDZIAŁ 22

Siedem miesięcy wcześniej...

Mój brat Hank miał mnie odwiedzić. Obawiałem się tego spotkania. Byłaby to jego trzecia wizyta, odkąd przyjęto mnie do szpitala Waltera Reeda, a jednocześnie pierwsza po tym, jak trafiłem do domu weterana na rehabilitację. Ostateczne wypisanie z placówki miało nastąpić za osiem tygodni, przez co całkowity pobyt w szpitalu zamknąłby się w trzynastu miesiącach.

Dom weterana mieścił się na terenie Wojskowego Centrum Medycznego imienia Waltera Reeda. Został zaprojektowany, by gościć również rodziny leczących się tu żołnierzy. Znajdowały się tu także pokoje przystosowane dla niepełnosprawnych, więc ci wypisani ze szpitalnego oddziału, ale skierowani na intensywną rehabilitację, mogli w nim mieszkać.

Nie odzyskałem w pełni świadomości, póki nie amputowano mi nogi. Wraz z przytomnością umysłu przyszła pewna wiedza i zrozumienie stanu, w którym się znajdowałem. Dowiedziałem się, co oznacza porzucenie i beznadzieja, fantazjowałem więc o śmierci. Wpadłem w głęboką depresję, moje dni stawały się coraz bardziej mroczne. Przez resztę życia miałem być kaleką. Moja kariera w wojsku ostatecznie się skończyła. Śniły mi się koszmary, w których pojawiały się eksplozje. Przeżywałem w nich każdą bolesną chwilę z pola walki i szpitala. Moje złamane odejściem Marii serce również powodowało koszmary... sny bez światła i nadziei.

Nie miałem przyjaciela, z którym mógłbym rozmawiać. Obowiązkowa terapia psychologiczna była marnotrawstwem czasu, ponieważ ograniczałem się do niezbędnego minimum, a lekarze nie potrafili mnie nakłonić do powiedzenia czegoś więcej. Utknąłem w niekończącej się pętli samotności, bólu, upokorzenia, gniewu, więc zacząłem myśleć, żeby dać sobie z tym wszystkim spokój. Nie cieszyła mnie wizja wypisania z ośrodka i powrotu do życia. Nawet nie

wywoływała we mnie ekscytacji.

– Barlow! – krzyknął ktoś z parteru. – Masz gościa.

Wzdychając ciężko, położyłem na stoliku nocnym czasopismo „Men’s Health” i opuściłem nogi na podłogę. Musiałem się rozkołysać, by wstać z łóżka, ponieważ wciąż nie ufałem swojej mechanicznej protezie. Jednak z dnia na dzień byłem w tym coraz lepszy.

Dla stabilizacji wziąłem laskę i powoli zszedłem schodami. Była to pierwsza rzecz, jakiej musiałem nauczyć się podczas rehabilitacji, jeśli chciałem wyjść ze szpitala, by ponownie móc być niezależnym. Nazywali to „zdrowieniem z dumą”. Chodziło o to, bym któregoś dnia znów stał się normalny.

Co za pieprzone kłamstwo. Nigdy w to nie uwierzyłem.

Na końcu schodów czekał na mnie Hank. Jest starszy o pięć lat, ale to z nim zawsze byłem najbardziej zżyty. Pracował jako górnik, tak samo jak najstarszy z nas, Jody, który miał wówczas trzydzieści cztery lata. Dwudziestoośmioletni James i dwudziestodzieciuletni Justin również harowali w kopalni. Była jeszcze Sharon, młodsza ode mnie o cztery lata, stanowiąca pupilkę rodziny. Wyszła za mąż za faceta starszego od niej o dziesięć lat. Gość również zajmował się górnictwem, odkąd skończył szkołę średnią.

Byłem więc jedynym, który uciekł z kopalni. Odczuwałem też wielką gorycz na myśl, że może gdybym pozostał w Zachodniej Wirginii, tak jak powinienem, nic złego by mi się nie stało.

– Spójrz na to, chodzisz w protezie – powiedział z uśmiechem Hank. Warknąłem coś w odpowiedzi, następnie skoncentrowałem się na postawieniu kilku ostatnich kroków. Kiedy dotarłem do korytarza, brat wyciągnął do mnie rękę. Członkowie naszej rodziny rzadko się przytulali. – Dobrze cię widzieć, braciszku.

Podąłem mu prawą dłoń, zamykając dwa palce i kciuk na jego ręce. Moja skóra w większości się zagoiła, choć pozostawała mocno zaczerwieniona i wyglądała okropnie. Była zdrętwiała, więc nie bolała. Osiągnąłem już całkiem niezłą sprawność motoryczną, ale wciąż nie potrafiłem porządnie uścisnąć komuś dłoni. Przyglądałem się uważnie bratu, który ani się nie skrzywił, ani nie wydawał się zniesmaczony deformacją mojego ciała. Uśmiechał się jedynie, jakby naprawdę cieszył się na mój widok.

Odczułem ból, gdy zobaczyłem szczęście na jego twarzy, bo uświadomiłem sobie, że tylko jemu na mnie zależało. Przyjechał trzeci raz, by mnie odwiedzić. Brak wsparcia ze strony rodziny był dla mnie prawdopodobnie największym ciosem, tak samo jak porzucenie przez Marię. W końcu to zrozumiałem – związek z nią okazał się mniej stabilny, niż zakładałem, ale rodzina? Łączyły nas przecież więzy krwi...

Kiedy zabrałem rękę, ruchem głowy wskazałem na drzwi.

– Wyjdziemy na zewnątrz?

– Tak, braciszku – powiedział z entuzjazmem i otworzył drzwi wyjściowe. – Ładna pogoda.

Kiedy wyszedłem na werandę, zauważyłem pogodny letni poranek, błękitne niebo i białe puszyste obłoki. Wielkie dęby w ogrodzie, trawniki i rabatki kwiatowe przy chodnikach. Nie dostrzegłem w tym jednak nic ładnego.

Na dom weterana składały się trzy budynki z białymi kolumnami, obłożone beżowym stiukiem. Otaczał je wspaniały krajobraz usiany stołami i ławkami do odpoczynku. Skierowałem się do najbliższego siedziska, opadłem na nie ciężiej, niż zamierzałem. Deski drżały pode mną przez chwilę. Nawet jeśli Hank był zwykłym górnikiem, usiadł na nim z większą gracją.

Jednak oczywiście on miał dwie nogi do zachowania równowagi.

– Jak rehabilitacja? – zapytał, obracając się do mnie twarzą i zarzucając rękę na oparcie.

– Dobrze – odparłem. – Uczę się nowych rzeczy.

– A jak noga? – dociekał.

– Wciąż nie odrosła – rzuciłem śpiwnym, wesołym głosem.

Jego usta przybrały smutny wraz, spojrzenie nieznacznie zmiękło.

– Wiem, że ci ciężko.

– Wiesz? – odpowiedziałem ostro. – To dopiero trzeci raz, gdy przyjechałeś się ze mną spotkać, a masz zaledwie trzy i pół godziny drogi. Powiedz mi więc, skąd możesz wiedzieć, jak mi ciężko?

– Christopherze – błagał. – Gdybym mógł, byłbym tu codziennie. Wiesz o tym. Jednak mam pracę, żonę i troje dzieci.

– A ja mam czterech braci... siostrę... rodziców... bratanków i bratanice... przyjaciół... dziewczynę... a to zaledwie czwarta wizyta moich gości w ciągu jedenastu pieprzonych miesięcy – rzuciłem, gotując się w środku z wściekłości.

Hank odsunął się ode mnie. Od gniewu w moim głosie. Mimo to na jego twarzy pozostało współczucie.

– Nie mogę mówić w imieniu reszty, braciszku... ale mnie jest przykro, że nie mogę cię częściej odwiedzać.

Wiedziałem, że Hank się starał. Dzwonił do mnie kilka razy w tygodniu, pisał niemal codziennie, przysłał nawet parę paczek. Był jedynym, który naprawdę się starał.

Ale dla mnie nie miało to znaczenia. Moja gorycz wynikała z porażki wszystkich, którzy mieli mnie chronić. Byłem zły na rząd, bo wysłał mnie na misję, gdy nie byłem świadomy ryzyka, na rodzinę, bo mnie porzuciła... Wszystko to zżerało mnie od wewnątrz, przynosząc mrok. Byłem maksymalnie wkurzonym sukinsynem.

Nienawidziłem świata i wszystkich, którzy po nim chodzili.

Poderwałem się z ławki i spojrzałem z góry na Hanka.

Mojego brata.

Nieznajomego.

– Nie przyjeżdżaj do mnie więcej – powiedziałem.

– Christopherze – zawołał zszokowany i również wstał. – Nie mówisz poważnie...

Ale odwróciłem się już do niego plecami.

– A właśnie, że mówię – warknąłem przez ramię. – Trzymaj się ode mnie z daleka. Powiedz innym, żeby też się odwalili.

ROZDZIAŁ 23

Obecnie...

– Wszystko w porządku? – pytam Connora. Przeczesałem palcami mokre włosy, przeglądając się w lustrze, i zastanawiam się nad ogoleniem twarzy.

– Spoko – odpowiada, a następnie dodaje poważnym tonem: – Idź się zabaw, byle nie za bardzo.

Uśmiecham się do siebie w lustrze. Zanim wziąłem prysznic, powiedziałem chłopakowi, że chcę sprawdzić, czy Jillian nie ma ochoty na spacer ze mną przy niewielkim strumieniu płynącym niedaleko naszych kwater.

Wyjechaliśmy z zachodniej części Yellowstone, przybyliśmy do Montany, udaliśmy się na południe do Idaho i około siódmej wieczorem znaleźliśmy się w Ashton. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że chcą ciepłej wody w kranie, materaca, telewizora i posiłku, na który nie będą składały się hot dogi.

Zdecydowaliśmy się na niewielki motel położony przy strumieniu – tak naprawdę to szeroki rów z wolno płynącą wodą. Budynek jest jednak czysty i posiada restaurację. Connor skreślił ze swojej listy zjedzenie ostryg oraz jąder byka, przy czym Jillian prawie zwymiotowała. Po kolacji rozeszliśmy się do osobnych pokoi w czymś, co przypominało podwójną chatę – Jillian i Barb wzięły pokój po lewej, a my z Connorem po prawej.

Wychodząc z łazienki, znajduję chłopaka leżącego na jednym z łóżek, przerzucającego coś na telefonie. Młody unosi głowę i uśmiecha się do mnie.

– To jak pierwsza randka czy coś w tym stylu?

– Chcę tylko zobaczyć, czy się ze mną przejdzie – mamroczę.

Do rowu wypełnionego wodą przylega niezła ścieżka z kostki brukowej, przy której co jakiś czas stoją latarnie. Ich światło odbija się w wodzie, niebo jest pełne gwiazd... Cholera... chyba według standardowej definicji to będzie randka.

– Bądź grzeczny – upomina mnie Connor z uśmiechem.

Mam ochotę powiedzieć, że zawsze jestem grzeczny, ale byłoby to kłamstwo. Zamiast tego uśmiecham się i mówię:

– Spadaj.

Chłopak mruży oczy i poważnieje. Nie droczy się już.

– Serio... bądź dla niej miły.

– A jak nie, to co? – pytam całkowicie rozbawiony jego nadopiekuńczą naturą. – Zbijesz mnie?

Connor kręci głową.

– Nie... nie ma mowy, bym cię stłukł. Ale mogę cię otruć czy coś takiego. Na twoim miejscu bym o tym pamiętał.

Mrugam kilkakrotnie, zastanawiając się, czy mówi poważnie. Mimo wszystko to nie ma znaczenia, bo i tak planuję być miły dla Jillian. Nie widzę powodu, by nie być. Wręcz przeciwnie, ta dziewczyna wydaje się wydobywać ze mnie wszystko, co najlepsze.

Przez chwilę wyobrażam sobie, jakby to wyglądało, gdybym był z Jillian, kiedy zostałem ranny. Gdybym spotykał się z kobietą, która nigdy nie uciekłaby ode mnie z powodu mojego chamstwa czy deformacji ciała. Kobieta, która nie widzi zniszczonych części, ale postrzega mnie jako całość.

Ona nigdy by mnie nie zdradziła.

Mógłbym się założyć, że przez cały czas nie odstępowałyby mnie na krok.

Dopada mnie tęsknota i gorycz. Zastanawiam się, dlaczego wtedy na to nie zasługiwałem. Nie mam też zielonego pojęcia, czym zasłużyłem sobie na to teraz.

– Będę miły – obiecuję cicho, a oczy Connora się rozpozadzają. – Wrócę późno.

Zabieram ze sobą granatową flanelową koszulę, bo na zewnątrz może się zrobić chłodno. Muszę przypomnieć Jillian, by też coś wzięła, choć jeśli zapomni, wykażę się rycerskością i oddam jej swoje okrycie. Albo będziemy się tulić. Lub całować. Cokolwiek, byleby się rozgrzać.

Śmieję się w duchu, wychodząc z pokoju. Stawiam dwa kroki w lewo i pukam do pomieszczenia obok.

Drzwi otwierają się niemal natychmiast. Stoi w nich Barb. Nie jest zdziwiona moim widokiem, unosi jedynie brew.

– Pomyślałem, że sprawdzę, czy Jillian ma ochotę na spacer – mamrocę nieco zażenowany, wyglądając w oczach tej sceptycznej kobiety jak zakochany kundel.

Ku mojemu zaskoczeniu Barb się do mnie uśmiecha.

– Właśnie się kąpie. Możesz wejść i poczekać.

Wchodzę więc do środka, zauważając, że ich pokój wygląda dokładnie jak nasz, łącznie z tymi samymi narzutami na łóżka i obrazkami na ścianach – wszystko w klimacie westernu. Słyszę szum suszarki do włosów.

Barb nie zamyka drzwi, sięga za to po plecak. Rozpina boczną kieszonkę, wkłada dłoń do środka, jednocześnie do mnie podchodząc.

Staje naprawdę blisko mnie. Mam ochotę odsunąć się o krok, bo nie wiem, co zamierza. Jestem jeszcze bardziej zdezorientowany, gdy z plecaka wyciąga prezerwatywę. Kiedy zaczynam panikować, układając w myślach wymówki, by ją spławić, Barb wciska mi gumkę w pierś i mówi:

– Możesz zostać tu na noc. Prześpię się w samochodzie albo w twoim łóżku.

– Co? – pytam, chwytając kondom. Patrzę na niego z przerażeniem. Nie planowałem tego dzisiaj, ale niech mnie szlag trafi, jeśli nie podoba mi się to, co sugeruje ta dziewczyna.

– Przeleć ją, koleś – mówi Barb, z powrotem zapinając kieszonkę. – Gapić się na siebie maślanym wzrokiem, a od tego robi mi się niedobrze. Zalicz ją, spuść ciśnienie albo przenieś związek na wyższy poziom, tylko nie mów, że tego nie chcesz.

Przysuwam się i ruchem głowy wskazując na łazienkę, mówię cicho:

– Tak... ale czy ona tego pragnie?

Barb prychnie, odsuwa się i wskazuje na mnie drwiąco palcem.

– Naprawdę uważasz, że rozmawiałam z nią na takie tematy?

Nie, niespecjalnie, ale i tak pytam:

– Wspominała coś?

Barb szczyrzy zęby.

– Domyśl się, mistrzu. Do zobaczenia rano.

Co za zdzira.

Tak jakby.

Dała mi gumkę, o zakupieniu której nawet nie pomyślałem. Nie sądziłem, że będę miał szansę z Jillian na coś takiego. Nie wiem do końca, czy jesteśmy na to gotowi.

Otwierają się drzwi łazienki, więc pospiesznie wciskam prezerwatywę do kieszeni jeansów. Jillian wchodzi do pokoju ubrana, jak mi się wydaje, w piżamę. Jej spodnie są luźne, w niebieskie paski, na górę włożyła granatową koszulkę z dekoltem w serek i, co oczywiste dla moich szybkich, spostrzegawczych oczu, nie ma pod spodem biustonosza.

Kobieta wzdryga się na mój widok, jednak natychmiast się rozluźnia. Przechyla głowę i pyta:

– Co ty tu robisz?

– Przyszedłem sprawdzić, czy będziesz chętna na spacer, ale widzę, że przygotowałaś się już do snu – odpowiadam.

Pospiesznie przychodzi mi do głowy, że dziewczyna gotowa jest pójść do łóżka, a ja mam w kieszeni gumkę, przez co uświadamiam sobie, że najprawdopodobniej powinienem w cholerę wynieść się z jej pokoju.

– Gdzie jest Barb? – pyta.

– Ona... eee... ona... cóż... – jąkam się, kołnierzyk koszulki nagle robi się za ciasny.

– Co ci jest? – pyta Jillian, podchodząc do mnie, a przez głowę przepływa mi milion kłamstw, dzięki którym wybrnę z tej sytuacji bez zażenowania. Zatrzymuje się przede mną, a ja przyglądam się jej zaciekawionej minie i naturalnemu uśmiechowi, gdy czeka, bym odpowiedział. Świadomość, że ta dziewczyna jest jedną z najserdeczniejszych osób, jakie znam, skłania mnie do pozostania w tej szalonej sytuacji.

– Przyszedłem, by sprawdzić, czy będziesz chętna na spacer, ale Barb dała mi prezerwatywę, mówiąc, żebym się z tobą zabawił. Wyszła i zamierza spać w samochodzie albo w moim łóżku, bym mógł zostać tu z tobą na noc – recytuję pospiesznie.

Spodziewam się, że Jillian się obrazi, ale jej powieki opadają trochę niżej, a usta rozciągają się w jeszcze większym uśmiechu. To seksowne rozbawienie w najlepszym wydaniu, a zalotność podkreśla jej ochryply głos:

– Zatem mam do wyboru iść na spacer albo zostać tu z tobą i kondomem?

Chryste.

Bądź dobry, bądź dobry, bądź dobry...

– Liczyłem jedynie na spacer – odpowiadam naturalnie. – Opcja z kondomem pojawiła się z winy Barb.

– Ale nie odmówiłeś przyjęcia tej gumki, prawda?

Z trudem przełykam ślinę.

– Mam ją w tylnej kieszeni – przyznaję cicho.

Przysuwa się nieznacznie, dzięki czemu czuję woń szamponu, jakiego użyła. Nie potrafię określić marki, ale wiem, że był owocowy. Słoneczny. Pachnie jak Jillian.

Wyciąga rękę i trzymając ją przede mną mówi:

– Pokaż ten kondom.

Wpatrując się w jej oczy, sięgam do tylnej kieszeni po foliowe opakowanie. Kładę je na jej dłoni i przyglądam się, jak patrzy na nie przez chwilę, po czym mówi:

– Myślę, że powinniśmy zostać.

– Jillian – mówię ochryple, nakręcony i gotowy, by wskoczyć do łóżka, ale równie gotowy, by uciec stąd ze strachu. Nie wiem, czy jestem na to przygotowany. To stwierdzenie brzmi strasznie kiepsko nawet w mojej własnej głowie, ale świruję, że Jillian zobaczy... mnie w pełnej okazałości.

– No chyba że ci się nie podobam – mówi, a jej uśmiech nieco blednie.

Przewracam oczami.

– Bardzo mi się podobasz i doskonale o tym wiesz.

– Więc w czym problem? – pyta.

Biorę złoty pukiel jej włosów i pocieram go pomiędzy palcami. Skóra moich opuszków została poparzona w wyniku eksplozji, więc mam w nich jedynie minimalne czucie. Mimo to lubię dotykać Jillian, bo nie wzdryga się ani nie odsuwa.

Unoszę głowę i patrzę jej w oczy, próbując chronić swoją męskość, a jednocześnie pozbyć się niepewności.

– Nie wiem, czy jesteś gotowa.

Bogaty, ochryply dźwięk wymyka się spomiędzy pięknych ust Jillian, gdy kładzie wolną dłoń na mojej piersi.

– Christopherze, to, że przez ostatnie lata byłam więziona przez własnych rodziców, nie oznacza, że jestem naiwna czy niewinna. Jestem dużą dziewczynką i potrafię podejmować własne decyzje.

– Nie to miałem na...

– No chyba, że sam nie jesteś gotowy – podsuwa... niemal trafiając w punkt.

– W takim razie możemy zaczekać.

– Jestem gotowy – rzucam. Wypowiedziane przeze mnie słowa są ostre, ponieważ dziewczyna właśnie odkryła moją słabość. Odsuwam się, natychmiast zamykając oczy, i biorę głęboki wdech. Kiedy ponownie unoszę powieki, patrzę na nią i powtarzam łagodniejszym głosem: – Jestem gotowy.

Jillian jak zwykle przygląda się z empatią mojej walce. Udowadniając, że jest bystra i ma niesłychaną intuicję, mówi cicho:

– Zdradź prawdziwy powód, dlaczego się wahasz, Christopherze.

Chryste, zamieniam się w babę.

– Jillian... znamy się od pięciu dni...

– Nie, znamy się od siedmiu tygodni – poprawia.

– Nie – mówię, kręcąc głową. – Przed tą podróżą nie znałaś mnie ani ja nie znałem ciebie. I prawdę mówiąc, nie mam pewności, czy naprawdę się poznaliśmy ani czy zdajesz sobie sprawę, że oboje powinniśmy być powściągliwi w tym temacie.

– Dlaczego? – pyta niewinnie.

– Jezu – mówię, przeczesując włosy palcami. Chwytam je na czubku głowy i patrzę jej w oczy. – Wiesz, że jestem dupkiem, prawda? Stałem się rozbitym człowiekiem. Nie dbam o nikogo i o nic prócz samego siebie. Jeśli będziemy się pieprzyć, będzie to tylko... cóż, pieprzenie.

– Kłamiesz w tej chwili, Christopherze Barlow – przerywa mi. – To nie będzie tylko pieprzenie.

– Dobra – mówię zażenowany, wyrzucając ręce w górę. – To będzie coś więcej niż pieprzenie, ale, cholera, Jillian... Nie wiem, czy dam radę. Nie wiem, czy zdołam utworzyć się na coś takiego.

– Ponieważ się boisz – podsuwa łagodnym tonem.
– Tak – przyznaję, wzdychając pokonany jej uwagami. – Boję się.
– Czego? – Przygląda mi się uważnie, prawdopodobnie zastanawiając się, czy ucieknę.

– Tego, że cię wystraszę – mówię cicho, patrząc pod nogi. To wyznanie cholernie mnie zawstydzia.

– Jak możesz mnie niby wystraszyć? – pyta, ale brzmi na szczerze zdezorientowaną.

Ponownie na nią spoglądam i się krzywię.

– No proszę cię, Jillian... Przecież zamiast nogi mam brzydki kikut. Moja ręka także nie powala wyglądem. – Aby to podkreślić, podsuwam jej swoją dłoń pod nos, choć wiem, że już wcześniej ją widziała. Nie patrzy jednak na nią, tylko obejmuje palcami mój nadgarstek i zdeformowane przedramię.

– Nie wierzysz we mnie wystarczająco – szepcze, a w jej oczach zauważam ból.

Staram się nie przewrócić oczami i mówię:

– Jasne... wiem, że nie zwracasz na to uwagi i nie przejmujesz się moim wyglądem...

– Christopherze – mówi ostro. – Zwracam uwagę. Widzę to dokładnie. Widzę twoją przystojną twarz, widzę twoje blizny i chciałabym zobaczyć twoją nogę. A kiedy to się stanie, pomyślę, że wygląda pięknie, bo dzięki niej jesteś tym, kim jesteś. Ona pomogła ukształtować osobę stojącą dziś przede mną...

– Dupka – rzucam.

– Indywidualność, która została zraniona, porzucona i zdradzona. Kogoś, kto doświadczył ogromnego bólu, a teraz żyje, wątpiąc we wszystko. Jednak jesteś jednocześnie miłośnikiem przygód i ryzyka. Pod swoją niezbyt przyjemną powierzchownością jesteś dobry, rozważny i uczynny. Masz anielskie oczy, diabelskie usta i bez wątpienia cudownie całujesz. Zakładając, że to, co masz poniżej pasa, nie ucierpiało i działa, jak należy, wnoszę, że zapewne jesteś dobry w łóżku, nawet jeśli masz tylko jedną nogę.

– Prawdę mówiąc, mam jedną i jedną trzecią nogi – informuję.

Tak jak się spodziewałem, dziewczyna parska śmiechem. Uśmiecham się, gdy wielki kamień spada mi z serca. Moje obawy zmniejszyły się, czuję się lepiej na myśl o bliskości z tą wspaniałą istotą. Jillian sprawiła, że poczułem się bezpiecznie.

Spojrzenie dziewczyny mięknie, jej powieki opadają nieznacznie, a głos znów staje się ochrypły. Cały się spinam, gdy mówi:

– Zatem... sugeruję, byśmy poszli do łóżka i trochę się w nim zabawili. Zobaczymy, do czego nas to doprowadzi.

– Zobaczymy, do czego nas to doprowadzi? – pytam, upewniając się, że

żadne z nas nie odczuwa presji, aby zrobić coś, czego nie chce. To znaczy, ja wiem, czego pragnę. Chcę, by pod koniec tej nocy zużyta prezerwatywa wylądowała na dnie śmietnika, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że jeśli Jillian zechce, będzie mogła wszystko przerwać. Jeżeli ja zapragnę to zatrzymać, również będę mógł tak zrobić. Nie żeby miało do tego dojść.

Jillian odpowiada mi, obracając się i idąc do łóżka znajdującego się bliżej łazienki, które jak zakładam, wcześniej zajęła. Stojąc plecami do mnie, chwyta za brzeg swojej koszulki i zdejmuje ją, a jej włosy znikają przy tym na chwilę. Kiedy już ściąga materiał, na jej gładkie, opalone plecy opada wspaniała, złota kaskada.

Podchodzę do niej z nadzieją, jakiej jeszcze nigdy nie miałem.

ROZDZIAŁ 24

W pokoju jest ciemno, więc budzę się zdezorientowany, zbity z tropu i z pełnym pęcherzem. Nie jestem zdezorientowany z powodu pęcherza, a z powodu miękkiego, wtulonego we mnie nagiego ciała. A raczej tego, że obejmuję na łyżeczkę ciepłe, jedwabiste, szczupłe, soczyste i wyraźnie kobiece ciało. Wspomnienia wracają do mnie falą.

Piękne obrazy tego, co robiliśmy w nocy...

Wypalone w mojej głowie już na zawsze.

Tulenie.

Rozbieranie.

Dotyk.

Szarpanie się z protezą.

Całowanie blizn.

Śmiały dotyk.

Taniec języków.

Zmagania z prezerwatywą.

Seks.

Fenomenalny.

Urywane oddechy.

Drżące jęki.

Eksplodujące serca.

Sen.

Spoglądam na zegarek znajdujący się na szafce nocnej i zauważam, że jest pierwsza w nocy. Wtulam nos we włosy Jillian, wsłuchując się w jej głębokie, miarowe oddechy. Cały przód mojego ciała dotyka jej tyłu. Leżymy na prawym boku, moja zdrowa noga znajduje się z przodu, natomiast kikut z tyłu, daleko od dziewczyny. Nie zrobiłem tego celowo, po prostu obudziłem się w tej pozycji.

Być może to podświadome działanie – aby trzymać zdeformowaną kończynę

jak najdalej – chociaż nie wydaje mi się. Jillian długo wpatrywała się w moją protezę, obserwowała, jak ją ściagam, po czym zadała kilka pytań na temat jej mocowania. Kiedy wszystko było dla niej jasne, wodziła palcami od mojego biodra aż do blizny, gdzie po amputacji płaty skóry zostały ze sobą zszyte. Robiła to, gdy leżałem na łóżku w samych bokserkach i tak bardzo się denerwowałem, że nie sądziłem, że dam radę się podniecić. Mimo to w chwili gdy jej palce zetknęły się z moją skórą, dostałem wyraźnej erekcji, więc wszystko stało się dość oczywiste.

Strach, że Jillian będzie zniesmaczona lub przerażona, zniknął całkowicie, kiedy pochyliła się i pocałowała mnie w to, co zostało po moim udzie.

Uniosła głowę.

– Wiesz, co mi się najbardziej nie podoba? – zapytała, głaszcząc kikut.

Spojrzałem po sobie, wróciłem wzrokiem do jej oczu i pokręciłem głową.

– Nie podoba mi się myśl o bólu, który musiałeś przeżyć – szepnęła. – Szczerze jej nienawidzę.

– Moje cierpienie się skończyło – odparłem. Przypuszczałem, że w tym przypadku było podobnie jak z porodem – wspomnienia z czasem się zacierają. Wciąż z brutalną klarownością pamiętałem, że pragnąłem umrzeć, a także to, jak się wtedy czułem, ale tak naprawdę wspomnienia fizycznego bólu zdecydowanie zbladły.

Wyraz twarzy Jillian podpowiadał, że mi nie wierzyła, a ja nie chciałem, by była smutna. Wprawdzie zobaczyła, jak ucierpiało moje ciało, ale istniało jeszcze wiele rzeczy, których nie widziała.

Zerknąłem na swój wzwód, po czym z powrotem na jej leniwy uśmiech.

– Mam inne części ciała, których możesz dotknąć. Ja na pewno bardzo bym tego chciał.

– Ha, ha – droczyła się, przewracając oczami. Jej dłoń znalazła się jednak na tym, co pragnęło jej dotyku. Oczy od razu wywróciły mi się na tył głowy.

Potem zaznałem najwspanialszego intymnego doświadczenia w życiu. Sądząc po dźwiękach i jękach, jakie wydawała Jillian, jestem pewien, że odczuwała to samo. Wydaje mi się, że było mi tak wspaniale, ponieważ bardzo długo nie uprawiałem seksu, a poza tym Maria rzuciła mnie z powodu mojej niepełnosprawności, więc kiedy Jillian wyjaśniła, że podobam się jej cały, dała mi tym samym możliwość, by się otworzyć i bez przytłaczających wątpliwości cieszyć tym aktem.

W tej chwili mam ochotę ją obudzić, odwrócić na plecy i zacząć wszystko od początku. Nie sądzę, by pozostało mi wystarczająco dużo czasu na zwiedzanie jej ciała, ponieważ mój pełny pęcherz domaga się pierwszeństwa. Ostrożnie odsuwam się od Jillian, przesuwam do krawędzi łóżka i przerzucam przez nią nogi. Staję z łatwością na lewej kończynie, podpierając się o ścianę, a następnie podskakuję w kierunku łazienki. Nie kłopotzę się zakładaniem protezy na tak krótki dystans.

Właściwie na początku rehabilitacji skakanie sprawiało mi mniej trudności niż używanie protezy, więc wydawało mi się wtedy, że do końca życia będę do tego zmuszony.

Wiem, byłem głupi jak but.

Załatwiam potrzebę, myję ręce, a następnie pospiesznie zęby. Po powrocie do pokoju zostaję zaskoczony widokiem zapalonej niewielkiej lampki i Jillian siedzącej na łóżku. Dziewczyna podciągnęła prześcieradło pod pachy, zasłaniając ciało, a ręce ułożyła na brzuchu.

– Wszystko w porządku? – pyta, gdy balansuję na jednej nodze, podtrzymując się ściany.

– Tak – odpowiadam, następnie skaczę zażenowany w stronę łóżka. Ponieważ jestem nagi, wszystko mi zwisa i powiewa. Jillian przygląda mi się z zaciekawioną, zupełnie się z tym nie kryjąc. A kiedy mówię, że się przygląda, mam na myśli te fruujące części.

Uszy mnie pałą, gdy próbuję zamaskować wstyd uśmiechem. Wchodzę pod kołdrę, a następnie odwracam się na prawy bok, twarzą do Jillian, która kładzie dłoń na moim policzku. Jej oczy ciemnieją ze zmartwienia.

– Obudził cię kolejny koszmar?

– Koszmar?

– Jakąs godzinę temu śniło ci się coś niedobrego – mówi. – Rzucałeś się na łóżku i jęczałeś.

Unoszę brew.

– Skąd wiesz, że to nie był sen erotyczny?

Spodziewam się śmiechu, przewrócenia oczami lub lekkiego szturchnięcia w ramię. Zamiast tego jej twarz przybiera jeszcze bardziej zmartwiony wyraz.

– Nie był erotyczny. Byłeś naprawdę przerażony... zdenerwowany. Próbowałam cię obudzić, lekko potrząsając. Nie wróciła ci świadomość, choć sen musiał się skończyć, bo się uspokoiłeś.

– Ha – mówię, patrząc na ścianę ponad ramieniem Jillian. Tak, miewam koszmary, choć dzisiejszego nie pamiętam. Ani żadnego snu erotycznego, jeśli już o tym mowa.

– Często miewasz koszmary? – pyta.

Ponownie patrzę jej w oczy i wzruszam ramionami.

– Tak... chyba tak. To znaczy, teraz już nie tak często, ale... – urywam, obracam się na plecy, wkładam ręce pod głowę i gapię się w sufit. Co mi się, u licha, śniło? Co gorsza, nie podoba mi się, że Jillian to widziała. Odsłania to moją słabość, a nie chcę, by dziewczyna o niej wiedziała. Cholera, i tak zobaczyła już wystarczająco wiele.

– Opowiedz mi o tych koszmarach – szepcze, gdy przysuwa się i kładzie głowę na mojej piersi. Opiera się na mnie, wsuwa swoją nogę na mój kikut, a rękę

układa na brzuchu. To bezpieczna, kojąca pozycja, dlatego natychmiast ją obejmuję i tulę do siebie.

– To nic takiego – mówię.

– Więc opowiedz – nalega.

– Dlaczego?

– Ponieważ chcę się dowiedzieć o tobie wszystkiego – wyznaje cicho. –

Wszystkiego.

Wzdycham pokonany, bo Jillian nigdy nie będzie zadowolona, patrząc jedynie na moje blizny czy ślizgając się po powierzchni mojej skorupy. Chce ją ze mnie zerwać, zrozumieć mnie dogłębnie i pomóc mi poczuć się lepiej. Jestem o tym przekonany, bo obserwowałem, jak tygodniami postępowała podobnie z Connorem. Widziałem to również przez kilka ostatnich dni, gdy próbowała tego z Barb i ze mną.

– Nie miewam ich już tak często. Najwyraźniej nie pamiętam dzisiejszego – mówię, bagatelizując całą sprawę. – Są to głównie obrazy eksplozji, w której zostałem ranny. Czasami w koszmarach widzę, jak amputują mi nogę, ale im to nie wychodzi, więc zostają z gnijącym kawałkiem mięsa.

– O Boże – Jillian praktycznie jęczy, przesuwając dłoń z mojego brzucha na pierś. Zatrzymuje ją na moim sercu. – Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Wzruszam ramionami.

– Jak mówiłem... nie są częste. Już prawie się z tym uporałem.

– To nieprawda – mówi, podważając moje zdanie. – Nie uporałeś się, może nigdy ci się to nie uda, ale wydaje mi się, że w tej chwili po raz pierwszy chcesz tego dokonać, i myślę, iż należy o tym porozmawiać.

– Niech zgadnę – mówię szorstko – masz również magistra z psychologii?

– Nie. Tylko licencjat z historii sztuki, ale no weź, Christopherze... Wiesz przecież, że dojdiesz do siebie, tylko dyskutując o tym, co ci się przytrafiło. Jesteś na tyle bystry, by to pojąć. Nigdy nie otworzyłeś się przed grupą, nie wyjawiałeś o sobie za wiele nawet podczas tej podróży, ale ja jestem teraz przy tobie... Leżę obok nago, pragnąc powtarzać to w przyszłości, i chcę, byś wiedział, że przy mnie ci nic nie grozi. Możesz mi o wszystkim powiedzieć, a jeśli nie będziesz chciał, nie muszę się w ogóle odzywać. Możesz po prostu mówić, a ja będę słuchać. Przrzekam, że nigdy nie przyjdzie mi do głowy cię oceniać.

Unoszę głowę z poduszki, by spojrzeć na Jillian, która leży na mojej pierś. Również się podnosi, by odwzajemnić spojrzenie. W jej oczach połyskuje determinacja będąca obietnicą, że dziewczyna zrobi dokładnie to, co powiedziała.

Opuszczam głowę na poduszkę, ściskając Jillian w talii.

– Wjechałem na tę minę kilka tygodni przed zakończeniem misji. Prawie wróciłem do domu bez szwanku. Spędziłem w Afganistanie niemal rok, zobaczyłem tam tysiące przeróżnych rzeczy. Miewałem dobre dni, miewałem i złe.

Miałem przyjaciół, czekała na mnie dziewczyna pisząca do mnie seksowne listy, jednak wszystko to okryte było ciągłym niepokojem, że każdego dnia mogę zginąć. Mimo to nie myślę już o tym. Nie śnię. Jedyne, co nieustannie do mnie wraca w koszmarach, to mój kumpel Jelonek, który siedział na miejscu pasażera. Rozmawialiśmy wtedy. Mina wybuchła w połowie dialogu. W jednej chwili Jelonek siedział obok mnie, w drugiej puf... i Jelonka już nie było.

– O rany – mówi drżącym głosem Jillian.

Parskam śmiechem, choć to bardziej jęk.

– W powietrzu unosiła się czerwona mgiełka. Pomyślałem, że to piasek albo że coś się stało z moimi oczami, ale gdy wziąłem oddech, poczułem miedź i wiedziałem już, że to krew. Wiedziałem, że to szczątki mojego kumpla.

– Christopherze – szepcze ze smutkiem Jillian.

– Od tamtej pory nie potrafię zjeść steka, jeśli nie jest dobrze wysmażony, prawie spalony, tak bym nie czuł krwi. Jeśli widzę krew, na żywo czy w telewizji, odnoszę wrażenie, jakby ktoś ułożył dziesięcotonowy cementowy blok na mojej piersi. Trudno mi oddychać. I próbuję sobie przypomnieć, czy Jelonek krzyczał, gdy umierał. Miał na to czas? To znaczy... nie potrafię tego stwierdzić, ponieważ wybuch był tak głośny, że na chwilę straciłem słuch. Kiedy o tym myślę, mam jedynie nadzieję, że nic nie poczuł w momencie eksplozji, ponieważ choć noga potwornie mnie bolała, wiedziałem, że to nic w porównaniu do bycia zredukowanym do krwawej mgiełki.

Jillian przesuwa się i układa całym ciałem na mnie. Obejmuje dłońmi moją twarz i patrzy mi prosto w oczy.

– Proszę, powiedz, że rozmawiałeś z kimś o tym, Christopherze.

Wzruszam ramionami.

– Z tobą teraz rozmawiam.

Kręci głową, blond kosmyki rozsypują się na jej ramionach.

– Nie... chodzi mi o profesjonalistę. Nie możesz być świadkiem takich wydarzeń i nie być przez nie prześladowany. I nie możesz ich w sobie pogrzebać.

– Zanim wypisano mnie ze szpitala, musiałem odbyć rozmowy z niekończącym się stadem psychiatrów. Nic mi nie jest.

Jillian mruży oczy na tyle, na ile pozwalają jej słabe mięśnie.

– Nie, to nieprawda.

– Dobra – mówię ostrożnie, kładąc dłoń na jej karku. – Może nie wszystko ze mną w porządku, ale nie chcę już dziś o tym rozmawiać.

Jillian patrzy na mnie lekko poirytowana, po czym zmienia taktykę.

– Dobra... porozmawiajmy o czymś innym...

Podrywam głowę z poduszki i napadam na nią ustami. Dziewczyna próbuje się odsunąć, ale po chwili przesuwa dłonie z mojej twarzy na ramiona i odpowiada mocnym pocałunkiem. Zapamiętuję na przyszłość, jak łatwo ją rozproszyć podczas

rozmowy.

Jednak w tej chwili to ja jestem zdekoncentrowany. Czuję, jak sztywnieję pod ciepłym ciałem dziewczyny, gdy jej piersi spoczywają na mojej klatce, a język tańczy z moim. Przesuwam ręce na plecy Jillian, a ona kołysze się na mnie, wywołując tym mój jęk.

Odsuwam się i szepczę:

– Nie mamy więcej gumek.

– Coś wymyślimy – dyszy. – Mamy przecież ręce i usta.

Ponownie wymyka mi się jęk, gdy ją całuję. Do diabła, tak... mamy ręce i usta i nawet bez gumek możemy tak wiele zrobić.

ROZDZIAŁ 25

Zaparkowałem suburbaną pod podwójną chatą, aby wyjąć i przeorganizować to, co się w nim znajduje. Przez ostatnie dni po prostu wrzucaliśmy wszystko do bagażnika, dlatego muszę posprzątać.

Jednak biorę się za to głównie dlatego, że chcę znaleźć sobie jakieś zajęcie, czekając, aż wstanie reszta grupy. Jeśli spodoba im się mój genialny pomysł, nie będziemy musieli pakować toreb.

Drzwi pokoju, który powinienem dzielić z Connorem, otwierają się i chłopak wychodzi na zewnątrz. Kiedy ostatnio sprawdzałem, brał prysznic, więc postanowiłem posprzątać w samochodzie, póki nie zwolni łazienki. Barb wróciła do siebie, przypuszczalnie przygotowuje się do drogi, po tym jak jakiś kwadrans temu wykopałem ją z tylnego siedzenia. Jillian smacznie spała, gdy wyszedłem, ale zakładam, że Barb już ją obudziła.

– Dzień dobry – mówi z szerokim uśmiechem Connor.

Odpowiadam pomrukiem na jego powitanie i pochylam się do bagażnika, by wyrzucić pustą torebkę po jedzeniu z McDonalda. Kiedy się prostuję, chłopak stoi tuż obok.

– Pomóc? – pyta ponownie bardzo radośnie. Z szerokim, głupkowskim uśmiechem. Jego oczy błyszczą, gdy kołysze się na piętach, trzymając kciuki w szlufkach spodni. Gdybym nie wiedział, że jest trzeźwy, powiedziałbym, że się upił, bo wygląda jak nasycony kot, który niedawno pożarł kanarka.

Wtedy to do mnie dociera.

Spoglądam na drzwi, za którymi zniknęła Barb, a następnie wracam wzrokiem do Connora. Dziewczyna spała w samochodzie, ale to wcale nie oznacza, że...

– Czy ty... i Barb...? – nie kończę pytania, ale wiadomo, o co mi chodzi.

Uśmiech chłopaka staje się jeszcze szerszy. Młody dosłownie szczyrzy się od ucha do ucha.

– Powiedzmy, że już nie będę potrzebował twojej pomocy z punktem z listy, o którym wcześniej rozmawialiśmy.

Krytycznym wzrokiem przyglądam się Connorowi. Cerę ma w porządku, z jego twarzy tryska szczęście, a cokolwiek wczoraj Barb mu lub z nim zrobiła, musiało być dobre. Jeśli tak było, właśnie zarobiła u mnie nieco szacunku.

Opieram się biodrem o tył samochodu, krzyżuję ręce na piersi i pochylam się nieco do Connora.

– Jak do tego doszło?

Choć nie wydaje mi się, by było to możliwe, uśmiech Connora powiększa się jeszcze bardziej.

– Stary... Barb zapukała wczoraj do naszego pokoju. Myślałem, że chce zająć twoje łóżko czy coś, ale musiała mieć inne plany, bo kiedy tylko zamknąłem drzwi, zaczęła się rozbierać.

– Jaja sobie robisz? – pytam zdumiony. To znaczy... jasne, wszyscy wiedzieliśmy, że Barb lubi seks i że w ciągu ostatnich kilku dni zaprzyjaźniła się nieco z chłopakiem, jednak jej chęć, by tak aktywnie pomóc mu skreślić ten intymny punkt z listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią, nie mieści mi się w głowie.

Cóż, pewnie dlatego że dziewczyna nie jest zdolna do bliskości.

Cholera.

– Connor... wiesz, że... to, co zrobiła dla ciebie Barb, było zapewne tylko...

– Jednorazowym numerkiem – odpowiada ze śmiechem chłopak. – Tak... rozumiem, bo my... porozmawialiśmy po wszystkim.

– Rozmawialiście? – Jestem porażony tym, że Barb w ogóle pokusiła się o rozmowę.

– Tak – mówi z zadowoleniem Connor, kiwając głową. – Zachowała się w porządku. Powiedziała, że nikt nie powinien umierać, nie zaznawszy seksu, więc postanowiła mi pomóc, bym nie musiał kombinować z podlegszymi rozwiązaniami. Zgaduję, że miała na myśli prostytutki. I wyjaśniła również, że... to tylko jednorazowa sprawa. Cóż, właściwie to dwurazowa. Miała dwie gumki.

– Kto miał dwie gumki? – pyta Jillian zza moich pleców. Odwracam się i widzę, że stoi z zaciekawionym wyrazem twarzy. Ubrana jest we wczorajszą piżamę i ma uroczo potargane włosy, ale, cholera, nie mogłaby być piękniejsza.

Connor wpatruje się w nią, nie chcąc lub nie potrafiąc odpowiedzieć na jej pytanie. Jillian spogląda więc na mnie, unosząc pytająco brwi.

– Kto miał dwie gumki?

To nie moja rola, by informować ją o przygodach chłopaka, więc trzymam gębę na kłódkę, wzruszając jedynie ramionami.

Kodeks braterski.

Dziewczyna ponownie patrzy na młodego, nieznacznie mrużąc oczy.

– Co to za wielka tajemnica?

Connor wzdycha ciężko i zawstydzony przyznaje cicho:

– Uprawiałem w nocy seks.

Muszę go uświadomić, jak radzić sobie z uczuciami, które sprawiają, że się czerwieni. Nie ma się przecież czego wstydzić.

– Z kim? – pyta oszołomiona, nawet nie biorąc Barb pod uwagę.

W tej samej chwili drzwi ich pokoju otwierają się i wychodzi z nich czarnowłosa z plecakiem przerzuconym przez ramię. Najwyraźniej brała prysznic, ponieważ jej krótkie włosy zaczesane są do tyłu. Connor zerka na nią i jego policzki natychmiast stają się szkarłatne. Jillian to zauważa, dlatego natychmiast spogląda na chłopaka.

– Nie. Tylko nie z nią. – Niewielkie przerażenie w jej głosie jest nieco obraźliwe, ale to nie moja sprawa.

– A jednak – mówi cicho Barb, podchodząc do tyłu samochodu i wrzucając rzeczy do bagażnika. – Wykreśliliśmy kolejny punkt z listy, prawda, Connor?

Jillian nawet nie zwraca na nią uwagi. Staje obok chłopaka i szepcze:

– Connor, coś takiego... powinno być wyjątkowe. A... ty masz, na litość boską, dopiero siedemnaście lat.

– Było wyjątkowe – odpowiada Connor, czym zamyka jej usta. – I za mniej niż miesiąc będę pełnoletni. Przestań się tak o mnie martwić. Nie potrzebuję drugiej matki.

Jillian rumieni się i nie spiera z nim więcej. Zamiast tego odwraca się do Barb i piorunuje ją wzrokiem, jednak nim ma szansę otworzyć usta, czarnowłosa podchodzi do niej i staje z nią twarzą w twarz.

– Oszczędź sobie hipokryzji – mówi ostro. – I nie bądź taką cnotką. Wiem, co robiłaś tej nocy. – Barb przepycha się obok Jillian i podchodzi do Connora. Przysuwa się do niego na tyle, by jej usta znalazły się tuż obok jego ucha, jakby chciała wyznać mu jakąś tajemnicę, ale mówi tak głośno, że wszyscy ją słyszą: – Byłeś wczoraj fantastyczny. We wszystkich trzech razach.

Connor staje się jeszcze bardziej czerwony i uśmiecha się do dziewczyny. Zakrywa usta i pochyla głowę, by nie parsknąć śmiechem z powodu tego jawnego kłamstwa. Chłopak mówił, że zrobili to jedynie dwa razy, jednak Barb urządza przed Jillian małe przedstawienie.

Czarnowłosa puszcza oko do Connora, a następnie wchodzi do pokoju i zatrząskuje za sobą drzwi. Kiedy unoszę głowę, zauważam, że zdumiona Jillian gapi się za nią z szeroko otwartymi ustami. Wyciągam rękę, chwytam ją za podbródek i zamykam jej usta.

Dziewczyna skupia wzrok na mnie i pyta:

– To twoja sprawka?

Unoszę obie ręce w geście poddania.

– Nie.

Spogląda więc na Connora.

– Jesteście teraz... razem?

– Boże, nie! – mówi głośno chłopak, na co Jillian nieco się rozluźnia. – To tylko jednorazowy numer. Tylko by skreślić to z listy. Barb dała mi solidne podstawy. Ona nie jest w moim typie, a poza tym... jest ode mnie dużo starsza, a ja umieram, więc...

– Dobra – przerywa mu ze śmiechem Jillian. – Rozumiem. Punkt na liście odhaczony. Muszę to jakoś przetrwać. Jedziemy dalej.

– Dobrze – mówi z uśmiechem chłopak. – Rzucanie jajami, spanie na kempingu i wędkowanie było superfajne, ale, bez obrazu, ostatnia noc ląduje na szczycie listy moich przygód na tej wycieczce.

Śmieję się, a dziewczyna posyła mu zadowolony uśmiech i obraca się do mnie. Podchodzi i kładzie rękę na moim brzuchu. Patrzy na mnie z czułością, która przypomina o naszym wczorajszym połączeniu. Kiedy Jillian staje na palcach, pochylam głowę i naturalnie składam pocałunek na jej oczekujących ustach.

Gdy się odsuwa, mówi:

– Wezmę szybki prysznic i jestem gotowa do drogi. Wiem, że czeka nas długa podróż do Portland.

– Właściwie – mówię, zerkając pomiędzy Jillian a Connorem. – Mam pewien pomysł.

– Jaki? – Zaciekawiona dziewczyna przechyla głowę.

– Wiem, że Connor chciałby zrobić coś niebezpiecznego jak bungee. Nie udało mi się znaleźć tutaj niczego takiego, za to za granicą Wyoming, w Jackson, mają parolotnie.

– O, rany, byłoby super! – cieszy się chłopak.

– I mają też spływy pontonami po rzece – dodaję. – Tego też moglibyśmy spróbować.

– Ale to dołoży kolejny dzień do naszej podróży – wytyka Jillian.

– W związku z tym – ciągnę – skoro jesteśmy na Zachodnim Wybrzeżu, dlaczego nie mielibyśmy zwiedzić go całego, nim udamy się do domu?

– To znaczy? – pyta dziewczyna.

Wzruszam ramionami.

– Po Cannon Beach pojedźmy na południe. Moglibyśmy dotrzeć do San Francisco... może do Los Angeles, a następnie do San Diego. Wrócilibyśmy dolną granicą kraju. Zrobilibyśmy taką wielką pętlę.

Jillian uśmiecha się do mnie.

– Kim jesteś i co zrobiłeś z Christopherem Barlowem?

Uśmiecham się i biorę ją za rękę.

– Może zaczął się dobrze bawić i nie chce jeszcze wracać do domu?

Wydawało mi się, że widziałem już całe piękno, jakie ta dziewczyna ma do zaoferowania, ale po moich słowach wyraz jej twarzy się zmienia. Spojrzenie, które mi posyła, uderza w sam środek mojej piersi, przez co moje serce rośnie.

Jillian zbliża się do mnie i kładzie mi na nim dłoń.

– Cieszę się, że dobrze się bawisz, bo ja też nie jestem gotowa, by kończyć tę podróż.

Czyste emocje przedzierają się przez całe moje ciało, rozpalając we mnie szczęście, jakiego nie czułem, odkąd zostałem ranny. Ujmuje mnie ciepło i jasność, co sprawia, że mam ochotę postawić krok naprzód i zaryzykować.

Obracając się do Connora, Jillian mówi:

– Powinieneś zadzwonić do rodziców, by z nimi porozmawiać. Jak do tej pory nie robili problemów, ale jeśli się na to zdecydujemy, nasza wyprawa wydłuży się o kilka dni. Wiem, że chcieliby cię zobaczyć, więc musisz się upewnić, iż nie będą mieli nic przeciwko.

– Tak, jasne – mówi Connor. – Jestem pewien, że nie będą oponować, a jeśli nie... Wrócę do domu samolotem, byście mogli jechać dalej beze mnie.

Jillian i ja obserwujemy, jak chłopak wraca do pokoju. Kiedy zamyka drzwi, dziewczyna patrzy na mnie. Uśmiecha się słodko i seksownie, a w połączeniu z nieznacznie opadającymi powiekami wygląda jednocześnie uroczo i nieśmiało.

– Żałujesz wczorajszej nocy? – pyta.

– Wcale – odpowiadam szczerze. Cóż, żałuję tylko, że nie miałem więcej prezerwatyw. Będę musiał o tym pomyśleć, nim zajdzie dziś słońce.

– Więc... ee... to, co jest między nami, to tajemnica? – pyta z wahaniem. – Powinniśmy się ukrywać przed resztą?

– Myślę, że oni wiedzą, co robiliśmy tej nocy – mówię oschle, choć tylko żartuję.

Jillian kręci głową.

– Nie, chodzi mi raczej o spontaniczne wyrażanie uczuć w miejscach publicznych.

– Co? – pytam całkowicie zdezorientowany.

– Co byś pomyślał, gdybym podczas jazdy samochodem postanowiła się do ciebie przytulić i pocałować cię w szyję? Albo gdybym chwyciła cię za rękę podczas spaceru? Lub znienacka cię uściskała?

Mrugam wielokrotnie zaskoczony tym, że w ogóle musi o to pytać. Wcześniej, gdy chciała wziąć mnie za rękę, wcale się nie krępowała. I nie potrafiła się pohamować w wyrażaniu uczuć. Wydaje mi się, że musi o to zapytać, bo choć wie, co siedzi w jej własnej głowie, nie ma pojęcia, co dzieje się w mojej. Prawdę mówiąc, nie odbyliśmy wielu poważnych rozmów.

Pochylam głowę, muskam ustami jej skroń i kładę dłoń na jej karku. Opieram policzek na czubku jej głowy i mówię:

– Jillian... możesz mnie całować, tulić, trzymać za rękę lub pieprzyć, kiedy tylko najdzie cię ochota, dobrze?

– Dobrze – szepcze.

Odsuwam się, chwytam ją za ramiona i odwracam w kierunku pokoju.

– To dobrze. A teraz idź przekonać Barb, że ona również chce wydłużyć tę podróż. Następnie ruszymy w stronę parolotni.

– Robi się – mówi i spieszy do środka.

Zastanawiam się, czy zadzwoni do rodziców, by im o tym powiedzieć, czy po prostu wyśle im wiadomość. Od wczorajszego porannego telefonu, gdy wędkowałem z Connorem, nie wspominała o nich, a ja nie chciałem pytać. Jednak powinienem to zrobić, prawda? To znaczy... wydaje mi się, że jesteśmy teraz w związku. Z pewnością łączy nas przyjaźń, choć rozszerzyliśmy nieco pakiet korzyści. Lubię ją i wiem, że ona lubi mnie. Nadal mnie fascynuje, sprawia, że pragnę się rozwijać, doświadczać nowych rzeczy, które wcześniej pozostawały w cieniu.

Tak... powinienem zapytać. Powinienem wypytać ją o wiele więcej, jeśli to coś, co jest między nami, ma się rozwinąć. Relacja z Marią nauczyła mnie, że właśnie tak działa związek. Wymaga komunikacji. Chodzi o branie i dawanie.

Nagle przytłacza mnie smutek, gdy wracam myślami do mojej rodziny w Zachodniej Wirginii. Rodziców i rodzeństwa, którzy nie potrafili poradzić sobie z moimi obrażeniami, i brata próbującego mnie wspierać. Odepchnąłem go jednak od siebie i nie odezwałem się do niego od tamtej pory. Przy różnych okazjach wysyłałem tylko zdawkowe SMS-y.

Odczuwając niemal bolesną potrzebę złagodzenia wyrzutów sumienia, wyciągam telefon i wybieram numer Hanka.

Brat odbiera po drugim sygnale, brzmiąc radośnie, choć ostrożnie.

– Christopherze... to ty?

Odchrząkuję, próbując uporać się z emocjami.

– Tak... to ja.

– Co tam u ciebie, braciszku? – pyta, dzięki czemu muszę się uśmiechnąć. Brakowało mi jego głosu.

Kurwa... brakowało mi brata.

– Dobrze – mówię, opierając się o samochód. – Jestem w Idaho.

– No nie żartuj. Co ty tam robisz?

– Jestem na wyprawie z przyjaciółmi – odpowiadam, na co również się uśmiecham. Jeszcze kilka dni temu ci ludzie nimi nie byli. Rany, sprawy potrafią się szybko zmieniać.

– Super – mówi. Słyszę w jego głosie ulgę, bo postanowiłem zadzwonić i nie zdążyłem być chamski. – Co cię skłoniło do tej podróży?

Głaszczę się po zarośniętym policzku i krzywię w duchu, gdy mówię:

– Popadłem w konflikt z prawem. Aby uniknąć odsiadki, musiałem dołączyć do grupy terapeutycznej. Nie wiem, jakim cudem, ale nakłoniono mnie do tej wycieczki i cóż... Ta cała wyprawa okazała się nieco inna, niż się spodziewałem.

Zapada chwilowa cisza, nim Hank zauważa:

– Wydajesz się szczęśliwy, Christopherze.

– Słuchaj – głos mi się nieco łamie, ponieważ nie jestem gotowy przyznać się do odczuwanego szczęścia. – Dzwonię bo... Cholera, chciałem tylko przeprosić za to, jak potraktowałem cię ostatnim razem. Za to, że kazałem ci odejść i nie wracać.

– Hej, braciszku – mówi kojąco – musiałeś poradzić sobie z niezłym gównem. Nie wziąłem sobie do serca twojej złości ani tego, jak sobie z nią radziłeś.

– Między nami wszystko w porządku? – pytam z wahaniem.

– Tak, w porządku – odpowiada, a ja czuję, jak kamień spada mi z serca. Brat ciągnie: – Opowiedz coś więcej o tej podróży. Kim są twoi towarzysze?

Uśmiechając się, wspominam leżącą wczoraj pode mną Jillian i to, że akceptuje moje kalectwo. Wiem, że Hank polubiłby ją, gdyby się spotkali.

– Poznałem dziewczynę... – zaczynam, a następnie o wszystkim mu opowiadam.

ROZDZIAŁ 26

Jackson w Wyoming to popularne miejsce wakacyjnych wycieczek. W mieście znajduje się wiele atrakcji, każda z nich zapewnia widok na najpiękniejszy krajobraz, jaki w życiu widziałem. Prawdziwy klejnot w koronie stanowi pasmo gór Teton, znajdujących się na wschodnim krańcu Wyoming, zaraz przy granicy z Idaho.

Nie podróżowałem w życiu za wiele. Z Zachodniej Wirginii przeniosłem się na Parris Island, następnie do Karoliny Południowej, a potem do Karoliny Północnej, gdzie stacjonowałem w Camp Lejeune. Stamtąd trafiłem do Helmand River Valley w Afganistanie, skąd na krótko znalazłem się w Landstuhl, by lekarze mogli ustabilizować mój stan, następnie wróciłem do Stanów, gdzie wiele miesięcy próbowałem dojść do zdrowia po wypadku. Poza tym widziałem miejsca, które mijaliśmy w podróży. Choć moje doświadczenie jest minimalne, wiem, że nigdy nie zobaczę nic piękniejszego niż góry Teton w Wyoming.

Przejazd z Ashton w Idaho zajmuje nam zaledwie godzinę. Po drodze Jillian zdołała dokonać rezerwacji, więc po południu zamierzamy latać na paralotniach. Mieliśmy szczęście, że w ostatniej chwili trzy osoby zrezygnowały z wcześniej zaklepanych miejsc. Jestem przekonany, że czuwa nad nami siła wyższa, która pilnuje, by Connor skreślił kolejny punkt ze swojej listy.

Oczywiście jest nas czworo, a miejsc tylko trzy, ale Jillian pospiesznie i z wielką ochotą zrezygnowała z latania. Powiedziała, że nie ma ochoty na szybowanie na lotni. Oczywiście zaczęliśmy z Connorem niemiłosiernie się z niej nabijać, jednak szybko mi się odgryzła.

– Drwijcie, ile tylko chcecie – powiedziała stanowczo – ale wolę nie dostać zawału serca, a zbiegając z tej góry, zapewne bym padła.

Nie byłem przygotowany na strach czy niepokój, który obudziło we mnie to stwierdzenie. Czasami tak skupiam się na zbliżającej się ślepcie Jillian, że zapominam, w jak poważnym stanie jest jej serce. Ona może nagle umrzeć. Na

samą myśl o tym mdłości podchodzą mi do gardła.

Nie byłem gotowy, by dać jej odejść.

Kiedy uderzyła we mnie kolejna straszna myśl, musiałem spojrzeć na dziewczynę. Zapytałem cicho, choć wiedziałem, że reszta mnie usłyszy:

– Możesz bezpiecznie uprawiać seks?

Jillian parsknęła śmiechem. Rechotała, aż pociekły jej łzy, w końcu odparła:

– Christopherze... moje serce jest słabsze, ale nie ma zagrożenia, że zejdem z tego świata tu i teraz. Z czasem mój stan może się pogorszyć, a może pozostać bez zmian, jednak zapewniam cię, że mogę uprawiać seks. A wymówki z sercem użyłam, bo przeraża mnie wizja upadku z nieba.

Tak mi ulżyło, że nie obchodziło mnie, czy reszta nas słyszy. Jednak gdybym wątpił w prawdziwość moich uczuć do Jillian lub wierzył, że są efektem desperackiej potrzeby tego, aby mieć w życiu coś dobrego, całkowicie zmieniłbym zdanie po odczuciu strachu, jaki mnie przeszył, kiedy powiedziała, że mogłaby dostać zawału serca, gdyby tylko zbiegła z góry. Bez względu na to, czy mówiła prawdę, uświadomiłem sobie, że... związek z kimś takim jak Jillian jest tak samo skomplikowany jak związek z kimś takim jak ja. Najwyraźniej, olśniony jej blaskiem i duchem, zapomniałem, że fizycznie jest niepełnosprawna w takim samym stopniu jak ja.

Chyba nie muszę dodawać, że przestaliśmy się z niej nabijać.

Mamy ruszać z góry Rendezvous. Znajduje się ona na południowym końcu masywu Teton, a jej szczyt leży ponad trzy tysiące metrów ponad poziomem morza. Connor chciał przeżyć przygodę. Zostaniemy przypięci do pilotów parolotni, siedzących wygodnie w uprzęży, i będziemy musieli pobiec zboczem góry, a następnie polecieć i wylądować.

Kiedy zatrzymujemy się w miasteczku Teton Village, leżącym u podnóża góry Rendezvous, Jillian i Connor wysiadają pośpiesznie z auta. Ich małe pęcherze już prawie pękają, bo odmówiłem postoju, ponieważ bałem się, że zabraknie nam czasu na dotarcie tutaj. Tych dwoje biegnie w stronę szeregu budynków mieszczących się u podnóża góry, podczas gdy Barb zostaje ze mną, szukając w plecaku słuchawek. Założę się, że podczas lotu puści sobie jakiś szalony podkład muzyczny.

Kiedy odkłada plecak do bagażnika, zamykam SUV-a i idziemy w kierunku, w którym pobiegła druga połowa naszego składu. Cieszę się, że zostałem sam na sam z Barb, bo muszę z nią poważnie porozmawiać, choć chcę to ograniczyć do minimum.

– Dzisiaj... zamierzam spać z Jillian – informuję ją.

Patrzy mi w prosto twarz i posyła spojrzenie mówiące, że to dość oczywiste.

Kontynuuję temat, zdając sobie sprawę, że to, co powiedziałem, nie było niczym niespodziewanym. Jednak to nie jest jedyny powód naszej rozmowy.

– Chcesz oddzielny pokój?

– Nie – mówi, nie patrząc na mnie. – Prześlpię się w twoim łóżku albo ponownie w aucie.

Wiem, że powinienem ostrożnie dobierać słowa i wykazać się delikatnością, ale szczerze mówiąc, nasz spacer nie będzie trwał w nieskończoność. Niedługo wpadniemy na Connora i Jillian, więc muszę się streszczać.

– Między tobą a Connorem wszystko dobrze?

Barb zatrzymuje się gwałtownie, a ja stawiam jeszcze dwa kroki, nim wyhamuję. Odwracam się do dziewczyny, która wygląda na wkurzoną.

– Co to ma niby znaczyć? – pyta ostro.

– To, że on ma siedemnaście lat, a ty ofiarowałaś mu jego pierwsze i na razie jedyne seksualne doświadczenie, więc nie wiem, jakie będzie miał wobec ciebie oczekiwania, jeśli zostaniesz z nim dziś w pokoju – mówię szczerze.

Rodzice Connora nie byli entuzjastycznie nastawieni do wydłużenia naszej podróży, ale nie tylko dlatego, że tęsknili za nim i nie mogli się doczekać, by mieć go z powrotem. Zegar tyka także dla nich. Choć bardzo im zależało, aby pojechał na tę wyprawę, oni tracą czas, który mogliby spędzić z synem. Ojciec chłopaka prosił o rozmowę ze mną, chcąc usłyszeć o szczegółach tego, dokąd się wybieramy i kiedy planujemy wrócić do domu. Podejrzewam, że potrzebował zapewnienia, że wszystko naprawdę jest w porządku i że nie zabieramy jego syna na wyprawę, z której nie będzie chciał wrócić. Potwierdziłem, że nic złego się nie dzieje, i wyłożyłem plany na przyszłe dni. Zapewniłem również, iż chłopak miewa się świetnie i wyśmienicie się bawi.

Oczywiście nie wspomniałem, że punktem kulminacyjnym wycieczki była utrata dziewictwa przez Connora, bo miałem pewność, że jego ojcu by się to nie spodobało. Z jakiegoś powodu mężczyzna mi zaufał, powierzając pod opiekę swojego syna, więc musiałem się upewnić, że Barb będzie się zachowywała, jak należy.

Spodziewam się, że naskoczy na mnie za takie pytanie, bo... przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu jest wkurzona. Zamiast tego krzywi się i ukrywa przede mną twarz, opuszczając i odwracając głowę. Garbi się i mówi cichym... najcichszym głosem, jaki słyszałem:

– Nigdy nie skrzywdziłabym Connora.

– Wiem, że byś tego nie zrobiła – odpowiadam automatycznie, choć nie byłem tego stuprocentowo pewien, aż do momentu, kiedy usłyszałem jej łagodny głos. Jednak teraz jej wierzę. To jedyna okazja, bym mógł zobaczyć, że Barb zależy na innej osobie.

– Rozmawialiśmy wczoraj – mówi, unosząc głowę i patrząc mi w oczy. Widząc jej minę, zgaduję, że niepokoi ją jego zbliżająca się śmierć. – I to sporo. Nie tylko o tym, co się między nami wydarzyło, ale również o życiu i umieraniu.

Przegadaliśmy wiele godzin. Możesz mi zaufać, gdy powiem, że Connor jest najprawdopodobniej najbardziej dojrzałą osobą z całej naszej grupy. Lepiej poradził sobie z tym, co między nami zaszło, niż ja.

Pierś mi się ściska, gdy uświadamiam sobie, że Barb się otworzyła i wpuściła kogoś do swojego małego, ograniczonego świata. Któż mógłby pomyśleć, że dokona tego sprytny nastolatek, nad którego głową wisi wyrok śmierci?

– W porządku – mówię, obracając się w stronę budynku, gdzie czekają na nas Jillian i Connor. – W takim razie wszystko spoko.

Barb nie odpowiada, po prostu idzie przez parking.

Cholera, jak tu zimno. U podnóża góry temperatura wynosiła dwadzieścia stopni, ale do czasu aż wagonik wywiózł nas na górę, spadła niemal do zera. Firma zajmująca się lotami ostrzegła przed tym, ale nikt nie spodziewał się takiego ziąbu, podróżując przez Stany pod koniec lipca.

Najcieplejszym okryciem Jillian jest lekka wiatrówka, więc dziewczyna cała się trzęsie, nawet jeśli rozgląda się wokół z zachwytem. Kiedy patrzę na dolinę, gdzie konie pasą się na kołysanej wiatrem trawie, uświadamiam sobie, że trochę dziwnie jest siedzieć na szczycie góry, na której wciąż leży śnieg. Czuję się, jakbym znalazł się w innym świecie, spoglądając na ten poprzedni.

Proponuję Jillian jeansową kurtkę, ale dziewczyna odmawia, twierdząc, że bez okrycia będzie mi o wiele zimniej niż jej, gdy zjedzie wagonikiem, a my polecimy na paralotniach.

Biedna Barb... Nie sądzę, by miała jakąkolwiek niedziurawą parę jeansów, jednak założyła przynajmniej grubą skórzaną kurtkę.

Connor znajduje się obok mnie, jego pilot zapina mu uprząż. Niemal przez pół godziny całą grupą słuchamy instrukcji – jest nas łącznie siedmioro – aż w końcu nadchodzi czas na przygodę.

– Wszystko w porządku? – pytam chłopaka, który nieco zbladł, choć pot wystąpił mu na czoło. Na łysą głowę założył włóczkową czapkę, pożyczoną ode mnie.

– Tak – odpowiada, gdy asystent przypina jego uprząż do upręży pilota.

– Zbladłeś – zauważam.

– Minął miesiąc od ostatniej chemii, umieram i przygotowuję się do lotu z wysokiej góry – odpowiada oschle. – Chyba mam powody, by być blady.

Chichoczę, gdy jego instruktor unosi głowę na te wieści i uśmiecha się do mnie. Myślałem, że oczy mojego pilota wyjdą z orbit, gdy zapytał mnie, czy mam jakieś fizyczne ograniczenia, których powinien być świadomy, nim polecimy. Podciągnąłem nogawkę, by pokazać mu swoją protezę, i powiedziałem, że mogę

biec, choć nie tak szybko jak on. Kiedy otrząsnął się ze zdziwienia, zapewnił, że nie musimy robić tego szybko, bo gdy lotnia złapie prąd powietrza, praktycznie sama nas poniesie i wtedy wzniesiemy się w powietrze.

Kiedy mój instruktor zapina mnie w uprząż, ponownie spoglądam na Jillian. Dziewczyna obserwuje mnie spod przymkniętych powiek. Ruchem głowy proszę, by podeszła. Zbliży się, obejmując się rękoma, by było jej cieplej, i przechyliła głowę na bok.

Zadaje jej to samo pytanie co Connorowi.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiada, uśmiechając się nieznacznie. – Tylko się martwię.

– Przecież jesteś wieczną optymistką – zauważam z uśmiechem. – Nie możesz się martwić.

– A ty przygotowujesz się do biegu z boczem góry – wytyka. – Mój optymizm ma swoje granice.

– To całkowicie bezpieczne – mówi stojący za mną instruktor, ale Jillian nie zwraca na niego uwagi.

Kiwam palcem, by podeszła jeszcze bliżej. Kiedy znajduje się na tyle blisko, bym mógł złapać ją za szyję, przyciągam ją do pocałunku. Nasz związek jest dość świeży, jednak pocałowanie jej w tej chwili wydaje się cholernie naturalne. Nie wstydzę się tego, ale nie mogę pojąć, skąd we mnie taka otwartość. Dlaczego jeszcze kilka dni temu byłem zblazowany, a w tej chwili dobrze się czuję i pragnę, by Jillian była ostatnim, co zobaczę, zanim pobiegnę ku przepaści. Jej pocałunek rozpała we mnie świadomość, że w moim życiu wszystko się ułoży.

Kiedy się odsuwam, mówię coś, o czym myślałem wczoraj w nocy, zanim zasnęliśmy.

– Zawsze widzisz szklankę do połowy pełną.

Kiwa z uśmiechem głową.

– To prawda.

– A ja do połowy pustą – dodaję.

– To też prawda.

– Ale w obu naszych szklankach czegoś brakuje. – Wodzę kciukiem po jej szyi. Nie ma znaczenia, że moja dłoń jest zniekształcona i bez połowy palców.

– Około stu mililitrów w każdej – wyznaje, ale mam wrażenie, że wie, o co mi naprawdę chodzi.

– Kiedy jesteśmy razem, szklanka jest pełna – mówię z czułością.

Pilot, do którego jestem teraz przypięty, przesuwa się za mną. Zapewne czuje się dość niezręcznie, będąc świadkiem czegoś takiego.

– Dobra, zaczynasz mnie przerażać – mówi Jillian i szturcha mnie figlarnie w pierś. – Nie możesz w ciągu kilku dni zmienić się z dupka w romantyka.

Pilot chrząka cicho.

Uśmiecham się do dziewczyny, która się odsuwa.

– Do zobaczenia na dole.

– Mam nadzieję, że w jednym kawałku – woła do mnie.

Asystent, który przypinał Connora do instruktora, podchodzi do mnie i sprawdza uprząż, ciągnąc za paski. Pokazuje uniesione w górę kciuki i odchodzi za linię.

– Gotów? – pyta mnie pilot, a ja czuję na skórze mrowienie wywołane przyływem adrenaliny.

Przytakuję w odpowiedzi i obracam głowę, by spojrzeć na znajdującego się po lewej Connora.

– Gotowy?

Odpowiada skinieniem, wciąż jest blady, ale w jego oczach błyszczy ekscytacja. Patrzę na stojącą za nim Barb.

– Gotowa?

Posyła mi namiastkę uśmiechu i również kiwa głową.

– Tak.

Zgaduję, że z naszej trójki to ona jest najbardziej gotowa, bo nie zależy jej na tym, czy przeżyje. Właściwie może mieć nawet nadzieję, że zerwie się któraś z linek utrzymujących lotnię w powietrzu.

– Wszystko gotowe! – krzyczy ktoś stojący za linią, przed którą siedmiu ludzi zostało przywiązanych do siedmiu pilotów i jest przygotowanych, by polecieć z trzytysięcznika.

Znów patrzę na Connora.

– Boisz się?

Mam na myśli chwilę, gdy przygotowujemy się, by przeżyć potężny dreszcz emocji, ale równie dobrze mógłbym pytać o całe życie.

Kiwa głową.

– Jak cholera.

Odpowiedź może dotyczyć lotu lub tego, że chłopak prawdopodobnie nie dożyje końca bieżącego roku. Może odnosić się do tak wielu rzeczy, chyba najmniej do tego, co właśnie zamierzamy zrobić.

– Dobra – mówi mój pilot, po raz ostatni ciągnąc za uprząż. – Jesteśmy gotowi.

– A ty? – pyta Connor, gdy jego instruktor przygotowuje się do biegu z boczem. – Boisz się?

Spoglądam przez ramię na Jillian, która unosi kciuki i zachęca uśmiechem. Jej wiara we mnie jest zaraźliwa.

Ponownie zerkam na Connora i wyznaję:

– Też cholernie się boję, ale jest ryzyko, jest zabawa, prawda?

– Prawda – potwierdza stanowczo i kiwa głową.

– Zróbmy to – mówię, patrząc na rozpościerającą się przede mną dolinę. Czuję się dobrze, bo wiem, że na dole będzie czekać na mnie zarówno Jillian, jak i moja przyszłość, a jest ona zupełnie inna, niż spodziewałem się jeszcze kilka dni temu.

ROZDZIAŁ 27

Dwa miesiące wcześniej...

Wziąłem do ręki stos poczty leżący na niewielkim, rozchwianym stoliku w kuchni. Nie przeglądałem korespondencji przez wiele dni, teraz też nie mam na to ochoty, jednak zmotywowała mnie do tego wiadomość nagrana na poczcie głosowej od kobiety imieniem Mags.

Kiedy przekopywałem się przez stos, na którym położyłem dłonie – cóż, półtoręj dłoni – znalazłem list z sądu mówiący, że albo stawię się na terapii grupowej, albo skończę w więzieniu.

Ta cała Mags przypomniała mi całkiem przyjaźnie, że jutro mam się pojawić na spotkaniu, inaczej będę musiał iść do pudła za pobicie. Najwyraźniej powinienem przeczytać list z instrukcjami, gdzie się odbywa to spotkanie i co jest na nim zaplanowane.

Wyciągnąłem właściwą kopertę ze stosu. Nie spojrzałem nawet na resztę przesyłek, ponieważ na wszystkie rachunki ustawiłem w banku polecenia zapłaty, by niczego nie przegapić. Nie radziłem sobie najlepiej z płatnościami, głównie dlatego że miałem to w dupie. To niewielkie mieszkanie zapewnia mi dach nad głową, a rządowa renta wystarcza na piwo, marychę i tabletki. Zleciłem więc w banku zapłatę za rachunki, by moje życie nie było jeszcze bardziej żalosne.

Opróżniłem butelkę piwa trzymaną w lewej ręce i wyrzuciłem ją do śmieci, słysząc, że szkło się rozbiło. Wyciągnąłem kolejną z lodówki. Poza piwem była w niej jedynie opróżniona do połowy flaszka wódki i pudełko z pizzą, w którym brakowało dwóch kawałków. Powinienem coś zjeść, ale musiałbym się wysilić, więc zamknąłem chłodziarkę i odkręciłem butelkę. Wziąłem list i piwo i opadłem ciężko na kanapę. Kikut mnie bolał, ponieważ kiedy zakładałem rano protezę, nie trudziłem się nasunięciem ochraniacza. Dobrze by było zdjąć to cholerstwo i dać skórze poddychać, ale wiedziałem, że gdy tylko łyknę pastylki leżące

w przeźroczystym woreczku na ławie, niczego nie będę już czuł.

Upiłem spory łyk piwa i rozejrzałem się po mieszkaniu. Składało się jedynie z dwóch pomieszczeń – maleńkiego aneksu kuchennego, gdzie codziennie w zlewie zastawałem karalucha, i części salonowej, w której stała jedynie wysłużona kanapa i stolik, a pod ścianą ustawiono podwójne łóżko. Drugim pomieszczeniem była mała łazienka z kibelem, umywalką, prysznicem i także karaluchami. Przebywałem w tej norze od trzech miesięcy, ale tylko dlatego, że koleś, z którym mieszkalem w Jacksonville, mnie wykopał.

Podaję, że miał ku temu dobry powód. Służyłem z Richem w Afganistanie. Gdy wjechałem na minę, jego pojazd jechał za moim humvee jako czwarty. Utrzymywaliśmy sporadyczny kontakt, a kiedy zostałem wypisany z ośrodka rehabilitacyjnego i czekałem jedynie na ostateczne orzeczenie komisji lekarskiej, zaproponował, że mógłbym przez chwilę u niego pomieszkać. Nie kwaterował w bazie, a w mieście, jego chata stanowiła coś w rodzaju centrum imprezowego. I to było świetne, okazało się jednak, że Rich miał pewne granice, jeśli chodzi o zabawę.

Po pierwsze imprezy organizował tylko w weekendy i tylko z piwem. Nie mógł sobie pozwolić, aby na niezapowiedzianym badaniu moczu wyszło coś nie tak. W końcu Rich wkurzył się jednak na fakt, że nieustannie chodziłem pijany, a pod sufitem mojego pokoju ciągle unosiła się chmurka dymu ze skrętów. Kazał mi się wynieść.

Więc się wyniosłem. Przeprowadziłem się na zachód, do Raleigh w Karolinie Północnej, ale zrobiłem to tylko dlatego, że koleś, od którego kupowałem trawę, miał tam kuzyna chcącego wynająć tę zabita dechami dziuplę. Pomyślałem, że co mi tam... Jeśli mnie stać, to dlaczego nie?

Następnie rząd postanowił usunąć mnie z wojska, komisja spojrzała na odniesione przeze mnie obrażenia i oceniła, ile pieniędzy będzie mi wypłacać do końca życia za moje poświęcenie.

Okazało się, że utratę dwóch palców wycenia się na dwadzieścia procent pensji. Amputacja nogi w połowie uda to sześćdziesiąt procent. Dowiedziałem się, że gdyby odcięli ją przy biodrze, dostałbym dziewięćdziesiąt, ale niech im będzie. I tak wyszło sto procent, gdy dodali do tego strzaskane przedramię, jak i zespół stresu pourazowego. Mówili coś o skomplikowanej diagnozie urazu mózgu, ale szczerze mówiąc... nie miałem pojęcia, co niby miało być ze mną nie tak. Wiedziałem jedynie, że będę dostawać jakieś trzy tysiące miesięcznie.

Bąłem się, byłem wkurzony i nienawidziłem świata z taką pasją, że nie chciałem już żyć. Nie tylko stałem się przez to chamem, ale też agresywnym skurczybykiem, szczególnie gdy się upijałem. Zupełnie nie pamiętałem gnoja, którego pobitem w barze, chociaż byłem pewien, że sobie na to zasłużył.

A teraz zostałem zmuszony do przesiadywania z grupą nieznajomych

frajerów i dzielenia się z nimi swoim bólem.

Jasne, już lecę.

Rzuciłem list na kanapę, nawet go nie otwierając. Nie byłem w nastroju.

Podle się czułem.

W głębi duszy wiedziałem, że powinienem skorzystać z któregoś z programów pomocy, jednak myśl o otwarciu się i poddaniu analizie była zbyt przerażająca. Skorzystałem z łatwiejszego rozwiązania i postanowiłem pograżyć się w niedoli. Za pomocą alkoholu i prochów mogłem jakoś przetrwać.

Pochyliłem się, mocniej ścisnąłem butelkę, by nie wylać cennego płynu, i sięgnąłem pod kanapę. Moje mechaniczne kolano zgięło się, ale nie tak, jak to zdrowe, więc musiałem przechylić się na bok, by wydostać to, co zamierzałem.

Rewolwer Smith & Wesson magnum, kaliber 0,44 cala.

Kiedy usiadłem prosto, wziąłem kolejny łyk piwa i odstawiłem butelkę na ławę. Otworzyłem bęben, sprawdzając to, co wiedziałem wcześniej. Był pełny.

Kupiłem tę broń jakiś rok po wstąpieniu do wojska od kumpla, który chciał się oświadczyć swojej dziewczynie. Nie miał kasy na pierścionek, więc wymyślił, że sprzeda mi broń. Laska dostała niewielki brylant, ja skończyłem z fajną spluwą.

Zawsze kręciła mnie broń. Nie mogłem mieszkać w Zachodniej Wirginii i nie mieć czym strzelać, zwłaszcza na polowaniach, czy wstąpić do wojska i nie nauczyć się wcześniej obchodzić z bronią palną.

Rewolwer leżał w szafie w pudełku po butach przez wiele lat, zapomniany i nieużywany. W Afganistanie obsługiwałem wyrzutnię rakiet, która była o wiele fajniejsza.

Nie patrzyłem na ten rewolwer, dopóki nie przyjechałem do Raleigh, gdzie schowałem go pod kanapą. Nie zrobiłem tego z powodu bezpieczeństwa, ale dlatego że zastanawiałem się, jak ta broń może mi się przydać.

Zamknąłem bębenek i położyłem rewolwer na kolanie. Wydawał się ciężki, ciepły i kojący. Z foliowej torebki wyciągnąłem dziesięciomiligramową tabletkę oksykodonu i wrzuciłem ją sobie do ust. Pogryzłem ją pospiesznie, ignorując gorzki smak, a następnie popiłem piwem.

Nie musiałem długo czekać na efekty – właśnie dlatego rozgryzłem pastylkę, a nie połknąłem od razu. To, co zostało w woreczku, powinno było wystarczyć mi do następnej wypłaty. W zależności od tego, jak miałem się czuć przez kolejny kwadrans, mogłem się zdecydować na jeszcze jedną tabletkę.

Spojrzałem na rewolwer, wziąłem go do ręki. Oparłem się, ułożyłem głowę na kanapie i zacząłem oglądać broń. Ten moment tuż przed tym, jak oksykodon uderzał z pełną mocą, byłby najlepszy, by przystawić sobie lufę do skroni. Zaczynałem właśnie odczuwać pierwsze efekty, zrobiłem się odważniejszy. Tak łatwo byłoby przysunąć pistolet do siebie i pociągnąć za spust.

Nie byłoby bólu.

Nie byłoby cierpienia.

Nie byłoby zdeformowanego ciała, bóli fantomowych w nodze, okropnych blizn ani pełnych litości spojrzeń nieznajomych. Nie byłoby samotności. Nie byłoby wspomnień o dziewczynie bez serca ani o rodzinie, która nie chciała mi pomóc. Nie byłoby obrazów, jak wyparował Jelonek, i nie byłoby wspomnień wielomiesięcznych męczarni.

Niczego by już nie było.

Zastanawiałem się, co pomyślałaby moja rodzina, gdyby otrzymała wiadomość, że się zabiłem. Czy poczuliby ulgę? Czy mieliby wyrzuty sumienia? A może zignorowaliby ten fakt, tak samo jak ignorowali mnie?

Korzystając z usług wojskowych prawników, sporządziłem niewielki testament, rozporządzający majątkiem na wypadek, gdyby coś mi się stało. Ponieważ byłem zakochany w Marii i przekonany, że zaraz po moim powrocie z misji się pobierzemy, wszystko jej zapisałem. Nie trzymałem się później, by to zmienić, więc gdybym przyłożył sobie lufę do skroni i pociągnął za spust, to właśnie Maria otrzymałaby wszystkie moje pieniądze.

Zastanawiałem się, czy dostałaby również protezę.

Parsknąłem na tę myśl i zacząłem się śmiać. To trwało jedynie sekundę, przeszło w chichot, aż dźwięk zamarł i na mojej twarzy pozostał jedynie uśmiech. Oksykodon zaczął działać, dlatego czułem się przyjemnie odrętwiały.

Położyłem broń na kanapie, zamknąłem oczy i odpłynąłem.

Najwyraźniej nie miałem się dziś zabić.

ROZDZIAŁ 28

Obecnie...

Wow.

Nie czuję bólu, a to bardzo miłe uczucie. Jakikolwiek gaz podają mi za pomocą tej maski, świetnie się sprawdza. Obracam głowę w lewo, widzę anestezjologa posyłającego mi kojący uśmiech. Wiem, że się uśmiecha, ponieważ widzę, jak oczy marszczą mu się w kącikach, a żuchwa porusza się pod papierową maseczką, którą ma na twarzy.

Obracam głowę w prawo i widzę, że pielęgniarka puszcza do mnie oko. Jest fajna. Chyba. Ma ładne oczy.

– Dobrze, jesteśmy gotowi, by zaczynać, Christopherze – mówi lekarz.

Muszę nieznacznie unieść głowę, by spojrzeć na niego ponad własnym ciałem. Cały mój tors, biodra i lewa noga okryte są niebieskim materiałem, jednak prawa kończyna jest odsłonięta, napuchnięta, pełna sińców i otwartych ran. Guzki pod skórą świadczą o tym, że połamana kość stara się wyjść na zewnątrz. Próbuję poruszyć palcami u stóp, ale nie mogę. Nie czuję bólu, więc może dlatego nie mam władzy nad nogą.

Lekarz wyciąga rękę w stronę tacki i bierze z niej nóż do masła. Widzę wygrawerowany wzór na rączce, wydaje mi się, że mama używała kiedyś takiego sztućca. Chirurg unosi go, od jego powierzchni odbija się światło lampy, trafiając mnie prosto w oko. Krzywię się nieznacznie, ale w tej właśnie chwili lekarz przysuwa nóż do mojego uda, więc patrzę, co robi.

– Eee... doktorku... czy to coś jest wystarczająco ostre? – pytam z wahaniem.

– Oczywiście, że tak – mówi oburzony. – Twoja noga ledwie się trzyma. Powinniśmy ją łatwo usunąć, a wtedy będziemy mogli posmarować masłem chleb.

Nie, chwila... to zabrzmiało dość złowieszczo. Opuszcza nóż i przyciska do

mojej skóry, zaraz obok rozległej rany. Nic nie czuję, kiedy zaczyna ciąć. Obserwuję z chorobliwą fascynacją, jak lekarz napina z wysiłku mięśnie, by nożem do masła rozciąć moją skórę, jednak wcale mu to nie wychodzi. Na jego czole pojawia się pot, który ociera rękawem fartucha pomiędzy próbami rozcięcia mi nogi.

– Stop! – krzyczę sfrustrowany. – To nie działa. Musi pan wziąć coś ostrzejszego.

– Nie mamy nic ostrzejszego – stwierdza doktor, zamierając. Patrzy na mnie z wyrzutami sumienia. Zaskakują mnie kobiety, do których się zwraca.

Jillian stoi w kącie sali, zaraz obok Marii, obie patrzą na mnie z troską.

– Przykro mi – mówi do nich cicho lekarz. – Nie mogę obciąć mu nogi.

Obie mają łzy w oczach, gdy kiwają ze zrozumieniem głowami i wspierają się, trzymając za ręce. Patrzę na mnie z litością.

– Przykro mi, Christopherze – mówi zbolalym głosem Maria.

– Nie możemy z tobą zostać, chyba że amputują ci nogę – dodaje Jillian.

Natychmiast spoglądam na lekarza.

– Proszę ją odciąć! – skrzeczę. – Proszę odciąć tę pieprzoną nogę!

– Nie mogę – mówi pokonany, pokazując mi nóż do masła.

– Proszę ją odciąć! – ponownie charczę.

Otwieram oczy i biorę ogromny haust powietrza, przerażony, że mogłem wołać przez sen. Koszmar był realny, żywy, wciąż nie mogę się z niego otrząsnąć. Jillian śpi smacznie obok. Najwyraźniej musiałem przewrócić się na plecy po tym, jak zasnęliśmy przytuleni. Kobieta leży na boku, trzymając głowę na moim ramieniu, zwinięta na mojej ręce. Czuję się miło i bezpiecznie, jednak moje galopujące serce nie chce zwolnić.

Nigdy wcześniej nie miałem takiego koszmaru. Z tego, co pamiętam, Maria nigdy się w nich nie pojawiała, a widok Jillian cholernie mnie wystraszył. Zupełnie nie rozumiem też, dlaczego kobiety czekały, aż amputują mi nogę. Wydaje mi się, że powinny pragnąć mnie w całości.

Ten sen był cholernie dziwny i niepokojący.

Jestem całkowicie rozbudzony, ciało mrowi mnie na myśl o odcinaniu nogi nożem do masła, ręce trzęsą się z przerażenia. Wiem, że za cholerę nie usnę bez niewielkiej pomocy, więc ostrożnie wysuwam się spod Jillian i wstaję. Pospiesznie zakładam protezę i ubranie.

Spodenki i bluzę od dresu.

Oraz but pasujący do tego założonego na protezę.

Z torby wydaję woreczek z jointami, które skręciłem w Colorado, a z bocznej kieszeni spodenek zapalniczkę. Wychodzę tak cicho, jak tylko potrafię, w drzwiach zerkając na wciąż śpiącą smacznie Jillian.

Kiedy się odwracam, nieomal potykam się o osobę siedzącą na schodach.

Nie widzę kto to, ale od razu rozpoznaję zapach marihuany, więc zakładam, że to Barb. Wcześniej podzieliliśmy się skrętami, więc dziewczyna ma swoją własną paczuszkę.

– Co ty tu robisz? – pytam szeptem.

– Jaram trawę – odpowiada, po czym zaciąga się głęboko dymem. Kiedy go wypuszcza, unosi rękę, by podać mi jointa. Chwytam go, siadam na stopniu obok niej i biorę macha.

Kiedy oddaję jej jointa, pytam:

– Z Connorem w porządku?

– Tak – mówi cicho. – Po dzisiejszych przeżyciach był cholernie zmęczony. Natychmiast zasnął.

Mogę to sobie wyobrazić. Latał na parolotni, po czym spłynął pontonem w spienionej Snake River, a okrzyki jego radości odbijały się od skał. Jillian dołączyła do nas na spływie i choć nie był on tak fascynujący jak lot, czułem się lepiej, bo siedziała obok mnie.

Palimy jointa w ciszy, jednak gdy się kończy, odpalam swojego, by również się podzielić. Powietrze jest rześkie, substancje ze skręta przepływają przez mój organizm, więc zaczynam się rozluźniać i zapominać o śnie.

– Czy twoim zdaniem Connor dobrze dziś wyglądał? – pytam, wiedząc, że to najbezpieczniejszy temat do rozmowy. Nauczyłem się dzisiaj, że Barb ma miękkie serce, jeśli chodzi o tego dzieciaka.

– Też to zauważyłeś? – odpowiada pytaniem.

– Był bledszy niż zwykle, prawda?

– Tak – zgadza się. – A wieczorem bardziej się pocił. Zapytałam go, czy dobrze się czuje, na co odparł, że tak, ale sama już nie wiem. Zauważyłam, że po wyjściu spod prysznicę wziął tylenol.

– To był wyczerpujący dzień – mówię. – Może dla niego to za dużo wrażeń?

– Może – odpowiada tylko i znów zapada między nami cisza.

Kiedy joint się kończy, spodziewam się, że Barb wróci do pokoju, ponieważ nie lubi towarzystwa. Ja również go nie toleruję, ale nauczyłem się cierpliwości w stosunku do moich nowych przyjaciół, a szczególnie do tego najbardziej wycofanego, czyli Barb. Jednak dziewczyna nadal siedzi na schodku, patrząc w ciemną noc.

Ponieważ marycha nieźle na mnie podziałała, mówię:

– Mam ochotę zapytać cię o coś bardzo osobistego, mogę?

– Dawaj – rzuca wyzywającym tonem. – To wcale nie znaczy, że odpowiem.

– Próbowłaś popełnić samobójstwo od czasu tamtego pierwszego razu w kuchni rodziców, prawda? – mówię prosto z mostu. To tak naprawdę nie jest pytanie, ale stwierdzenie faktu. Widziałem kilka dodatkowych blizn na jej nadgarstkach.

Powoli obraca głowę. Na zewnątrz jest wystarczająco jasno od poświaty księżyca, bym dostrzegł na jej twarzy zdziwienie. Zaskakuje mnie, kiedy postanawia odpowiedzieć.

– Jeszcze trzykrotnie. Dwa razy podcinałam sobie żyły. Za trzecim razem próbowałam przedawkować tabletki.

– Dlaczego ci się nie powiodło? – pytam zaintrygowany. To znaczy... wiem, dlaczego mnie się nie udało, gdy przystawiłem sobie rewolwer do skroni. W końcu nie miałem jaj, by to zrobić. Jednak jestem ciekawy, czy myśli samobójców są do siebie podobne.

Barb wzrusza ramionami i odwraca ode mnie twarz.

– Chyba nie byłam wystarczająco zdeterminowana.

– Bardziej chcesz żyć niż umrzeć?

– Nie wiem, czy akurat o to chodzi – odpowiada ostrożnie. – Właściwie o umieraniu myślę więcej niż o życiu.

– Dlaczego? – naciskam.

Odwraca się do mnie, krzyżuje ręce na piersi i układa je na zgiętych kolanach, chroniąc się w ten sposób przed zimnem.

– Pozwól, że teraz ja cię o coś zapytam... Co widziałeś, gdy lataliśmy dziś na parolotniach?

– Co masz na myśli? – pytam zdezorientowany.

– Co widziałeś? – powtarza. – Opisz scenerię.

Wracam myślami do tych kilku chwil, gdy unosiłem się w powietrzu pomiędzy górami w chmurach.

– Zieloną dolinę z ciemniejszymi drzewami. Srebrno-zielone góry z białymi wierzchołkami. Niebo i obłoki, a ponad nimi czysty błękit.

Kiwa głową.

– Zieleń, srebro, biel i błękit.

– Co?

– Użyłeś kolorów, by to opisać – zauważa cicho. – Chcesz wiedzieć, co ja widziałam?

– Co?

– Szarości – odpowiada. – Ciemnoszary, jasnoszary, średnioszary. Tylko szarości.

Kurwa, to przygnębiające, ale podejrzewam, że tak właśnie wygląda depresja, gdyby do jej opisania użyć barw. Sam nigdy nie postrzegałem świata w ten sposób. Wiem, że miałem depresję, ale zrozumiałem również, iż nie mogę porównywać swoich problemów z jej, ponieważ się różnią, a nasze sposoby radzenia sobie z nimi są wyjątkowe.

– Widzisz w ogóle jakiś kolor? – pytam, chcąc usłyszeć coś pozytywnego. Jillian nauczyła mnie wartości nadziei, więc nie chcę, by Barb przypominała mi, że

można żyć bez dobra.

Dziewczyna wstaje ze stopnia i patrzy na mnie. Wkłada ręce do kieszeni jeansów.

– Tak, czasami je widzę. Nieczęsto, ale pojawiają się w dziwnych momentach, tak jak wtedy, gdy jestem na samym dnie. W chwilach, gdy czuję się całkowicie beznadziejnie, myśląc, że tylko śmierć może podziałać na moje problemy. To kuszące rozwiązanie, Christopherze. Kiedy jest szaro lub czarno, cholernie mnie kusi, by to zakończyć.

– Może powinnaś poszukać sposobów, by twoje życie nabrało kolorów – sugeruję, mając na myśli psychoanalitikę, medytację lub cokolwiek, co jej pomoże. Wiem, że ta wyprawa nic jej nie da... nawet pomimo nasikania na grób wujka.

Barb parska ostrym śmiechem i przysuwa się do mnie. Cichym głosem mówi:

– Czasami ci zazdroścę. – To mnie zaskakuje. Jak ktokolwiek, patrząc na mnie, może być zazdrosny? – Zazdroścę ci, bo wyruszyłeś w tę podróż, pokonałeś mrok i nauczyłeś się śmiać. Przyglądałam się, jak śmiałeś się z Jillian i Connorem, i zazdrościłam wam tego. Robiliście to szczerze. Prawdziwie.

– Widziałem, że też się śmiałaś – zauważam, desperacko pragnąc, by uświadomiła sobie, że ona również doświadcza normalności, chcąc, by dostrzegła, iż ma teraz przyjaciół. Muszę ją do tego przekonać, inaczej nie uwierzę, że to wszystko jest prawdziwe.

Jednak dziewczyna mi nie odpowiada, wymija mnie tylko na schodach, rzucając na odchodne:

– Jestem zmęczona. Do zobaczenia rano.

Zostaję, zastanawiając się... czy Barb nie odpowiedziała mi, bo wiedziała, że zaboli mnie świadomość, iż uśmiechała się i zachowywała radośnie tylko po to, by inni sądzili, że wszystko z nią w porządku. Czy nie chciała odpowiedzieć, bo zabolaloby ją przyznanie się do tego, że jej nie można już pomóc?

ROZDZIAŁ 29

Dzisiejsza podróż była ciężka, biorąc pod uwagę przebicie się przez Portland w godzinach szczytu, by dostać się na zachodnią stronę miasta, jadąc w kierunku Cannon Beach. Nawet po uwzględnieniu zmiany czasu, jest prawie dziewiąta wieczór, gdy docieramy na kemping. Po drodze musieliśmy zatrzymać się w sklepie, by nabyć coś do jedzenia i picia.

Kiedy wszyscy wysypują się z suburbana, Connor natychmiast zaczyna szukać łazienki. Chłopak nie ma dziś dobrego dnia, martwimy się o niego.

Rankiem wyszedł z pokoju dzielonego z Barb jeszcze bledszy niż zwykle, z ciemnymi workami pod oczami. Jillian natychmiast zaczęła mu matkować, dotknęła czoła, sprawdzając temperaturę, i powiedziała, że wyczuwa gorączkę. Musieliśmy wstąpić do apteki, by kupić termometr, który pokazał nieco ponad trzydzieści siedem stopni.

Connor stwierdził, że go zawiąło, jednak wątpiłem w to, biorąc pod uwagę jego bladą cerę, stan podgorączkowy i zmęczenie. Bez względu na symptomy Connor bagatelizował nasze obawy, włącznie z zaskakującą propozycją Barb, by podjechać na pogotowie, żeby go zbadano. Zamiast tego chłopak zażądał zawiezienia na Cannon Beach, przespał jednak większą część podróży zwinięty na tylnej kanapie, nakryty skórzaną kurtką Barb. Zatrzymaliśmy się jedynie, by zatankować, skorzystać z toalety i kupić jakieś jedzenie na wynos. Za każdym razem Barb budziła Connora, delikatnie go potrząsając, a on się do nas uśmiechał. Skorzystał z łazienki, zjadł nieco, następnie znów zasnął. Jillian sprawdzała jego czoło jakieś milion razy. Wiem, że się martwiła, jednak nie odezwała się słowem. Barb również była zatroskana. Wymieniła ze mną kilka zaniepokojonych spojrzeń w lusterku, kiedy zerkałem do tyłu, by sprawdzić, czy chłopak nadal śpi.

Dziewczyny podeszły do mnie, gdy stanąłem przy bagażniku.

– Prześlę się dziś z Connorem w dużym namiocie – powiedziała Jillian, gdy chłopaka nie było w zasięgu słuchu.

To mnie wcale nie zaskoczyło.

Zdziwiły mnie jednak słowa Barb.

– Jeśli chcesz... ja będę z nim spała. W ten sposób będziecie mieć z Christopherem nieco prywatności.

Jillian zmrużyła oczy i warknęła:

– Nie potrzebuję prywatności z Christopherem. Wolę mieć pewność, że Connorowi nic nie będzie.

Barb również zmrużyła oczy i przysunęła się do blondynki.

– Ja też nie chcę, by Connorowi coś się stało. Nie jesteś jedyną osobą, która się o niego martwi.

Gdyby tylko Connor mógł to zobaczyć. Dwie babki kłócące się o niego. Założę się, że to też znajduje się na jego liście.

– Mam pewien pomysł – mówię, wyciągając z bagażnika wielki namiot. – Może wszyscy prześpimy się w tym hangarze? Zmieściłoby się w nim dziesięciu ludzi. Wszyscy będziemy mieć pewność, że Connorowi nic się w nocy nie stanie.

Jillian mruga, patrząc na mnie, a Barb się rozluźnia i mówi:

– Dobry plan.

Pytam blondynki:

– Może być?

Przez chwilę dziewczyna milczy, następnie się uśmiecha.

– Tak... może. Zrobimy sobie piżama party.

– Nikomu nie będę malował paznokci – mówię z powagą.

Barb prycha śmiechem i wyjmuję swój plecak z auta.

Jillian chichocze.

Uśmiecham się do siebie, zabierając namiot w dogodne miejsce. Kiedy zacznę pakować, Jillian kuca obok mnie.

– Myślisz, że wszystko z nim w porządku?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Nie mam pojęcia, jak to jest umierać na raka. Nie wiem, czy to są jakieś symptomy, czy się po prostu przeziębili. Mówił, że nic mu nie jest. Nie możemy za wiele zrobić.

– Może powinnam zadzwonić do jego matki? – zastanawia się Jillian.

– Może powinnaś pozwolić mi być dorosłym? – pyta Connor zza jej pleców.

Jillian wstaje i obraca się do niego. Wiem, że chce mu wytknąć, że wcale nie jest dorosły, ale roztropnie trzyma język za zębami. Doskonale zdaje sobie sprawę, że ten chłopak powinien być traktowany jak dorosły, choćby za to, jak radzi sobie z diagnozą.

– Po prostu się o ciebie martwię – kaja się Jillian.

Barb staje za Connorem, ale się nie odzywa.

– Rozumiem – mówi chłopak, jednak jego surowy ton nie pozostawia miejsca na spory. – Ale nie możecie traktować mnie jak dziecka. Czuję się wtedy

źle, a do tej pory byłem dumny z tego, że jestem silny. Tylko dzięki temu zabrnąłem tak daleko.

Barb podchodzi do Connora, więc chłopak na nią spogląda. Czarnowłosa kładzie rękę na jego ramieniu i stwierdza:

– Nie sądzę, by Jillian wiedziała, jak poradzić sobie z troską o ciebie, ponieważ żadne z nas nie ma pojęcia, co się z tobą dzieje. Wiemy jedynie, że umierasz na raka. Może gdybyś nam wyjaśnił, co cię czeka, a także określił mniej więcej ramy czasowe, laska by się uspokoiła.

Podczas tej przemowy uświadamiam sobie, że Barb też się martwi, choć jest zbyt twarda, by to przyznać, więc postanawia zrzucić wszystko na troskę Jillian.

Jednocześnie cieszę się, że to powiedziała, ponieważ nauczyłem się, że obawa przed nieznanym jest straszna, a jak do tej pory żadne z nas nie ma pojęcia, czy Connor nie padnie nam tu zaraz trupem. To znaczy... nie sądzę, żeby tak się stało. Wspominał, że zostało mu kilka miesięcy życia, mimo to... Wydaje mi się, że powinien zdradzić szczegóły, byśmy się uspokoiłi.

– A co chcesz wiedzieć? – pyta Connor, kupując historyjkę o zatroskanej przyjaciółce. Nie zauważa nawet, że Barb się nieco przysuwa, nie chcąc stracić ani jednego jego słowa.

Jillian patrzy na towarzyszkę z niewielką irytacją, a następnie jej wzrok powraca do Connora.

– Gorączka... zmęczenie... bladość... mam wrażenie, że to sprawka twojego nowotworu.

– Nie zapominaj o biegunce – mówi Connor z grymasem. – Równie dobrze może to być zatrucie pokarmowe po tym burrito, które jedliśmy na śniadanie.

– Jakie są twoje prognozy? – pytam prosto z mostu.

– To znaczy? Pytasz, kiedy umrę? – Chłopak zaczyna się denerwować. Jak na całkowicie otwartego dzieciaka, wkurza się dość mocno, gdy naciskamy na wyjawienie szczegółów. Jestem na tyle bystry, by zorientować się, że nie lubi, gdy się o niego martwimy, a kiedy tak się dzieje, wkurza go to.

– Kiedy... Jak... – mówię, wzruszając ramionami. – No wiesz... szczegóły.

– Jesteś okropny – mamrocze, ale wkłada ręce do kieszeni i patrzy na nas. W końcu mówi: – Pierwotna diagnoza stwierdziła czwarte stadium mięśniakomięsaka prążkowanokomórkowego. Miałem piętnaście lat i zauważyłem guz w ręce. Wycięto go, poddano mnie tomografii komputerowej i pozytronowej tomografii emisyjnej, dzięki którym odkryto, że mam zajęte również węzły chłonne. Przeszedłem chemioterapię i radiację. Węzły chłonne skurczyły się, więc radośnie ogłoszono remisję. Jednak cztery miesiące temu, na powtórnej pozytronowej tomografii emisyjnej, znaleziono przerzuty nowotworu do wątroby i płuc. Próbowano kolejnej chemii, ale to nic nie dało, więc zaprzestano leczenia.

Wyobrażam sobie, jak musiał czuć się Connor, gdy lekarz ogłosił mu stan

terminalny. Gdy powiedział, że nie ma nadziei. Że jego życie wkrótce dobiegnie końca.

Czy czuł się podobnie do mnie, gdy po raz pierwszy odzyskałem przytomność i zrozumiałem, że straciłem połowę dłoni i że mogę stracić również nogę? A może jak wtedy, gdy poinformowali mnie, że nie zdołają jej uratować, i uświadomiłem sobie, iż utracę potężną część własnego ja?

Przeszukuję wspomnienia, próbując przypomnieć sobie, jak źle się czułem, słysząc te słowa, jednak nie potrafię. Nie wiem, czy byłem zszokowany, czy wściekły. Smutny czy wycofany. Zgorzkniały czy pogodzony z losem. Nie wiem, jak czułem się w tamtej chwili, gdy przekazano mi te straszne informacje. Nie mogę jednak wyobrazić sobie, by mój nastrój był porównywalny z tym, jak czuł się Connor.

Cały ten czas spędzony na terapii grupowej, gdy złościłem się, że muszę tam siedzieć, i nie chciałem uwierzyć, iż problemy innych mogą być poważniejsze niż moje, wydaje się w tej chwili błahy. Uświadomiłem sobie, że spośród nas wszystkich Connor ma najbardziej przerąbane. Jest młody, energiczny, bystry i zabawny. Jest kimś, kto zasługuje, by żyć.

Czuję, jak dopada mnie mocne przygnębienie, bo żal mi Connora. Muszę przyznać przed samym sobą – przed egoistycznym dupkiem, którego ci ludzie poznali na początku – że nie wiem, czym jest prawdziwa beznadzieja. Wstydzę się, że aż do tej chwili nie miałem uznania dla tego dzieciaka.

Barb odchrząkuje i pyta:

– Zakładam, że nowotwór będzie się rozprzestrzeniał i właśnie z tego powodu twój stan jest terminalny?

Connor przytakuje.

– Będzie coraz gorzej. Moja wątroba stanie się niewydolna, płuca zostaną uszkodzone. Rak wpłynie negatywnie na mój apetyt i odżywienie organizmu. W końcu całe moje ciało po prostu się podda.

Jillian szlocha, patrząc na nią, widzę, że po policzkach płyną jej łzy. Natychmiast tulę ją do siebie, a ona opiera twarz na mojej piersi. Bierze urywane oddechy i patrzy na Connora.

– Będziesz cierpiał?

W oczach chłopaka przez nanosekundę pojawia się ból, choć nie wiem, czy komuś prócz mnie udaje się go dostrzec.

– Nie. To się stanie dość szybko, poza tym środki przeciwbólowe zrobią, co do nich należy.

Cholerne kłamstwo.

– Ile czasu ci zostało? – pyta Barb. Jestem zaskoczony, że patrzy na niego z takim żalem. Ta dziewczyna naprawdę polubiła Connora. Z tego, co się do tej pory dowiedziałem, chłopak może być jedyną osobą, na której jej zależy.

Biorąc głęboki wdech, Connor posyła jej wymuszony uśmiech, po czym mówi:

– Jestem pewien, że nie stanie się to dzisiaj ani przez następnych kilka dni. Zapewniam was, że nic mi nie jest.

– Ile? – naciska Barb, na co uśmiech chłopaka blednie.

– Powiedziano mi, że kilka miesięcy – przyznaje cicho.

Jillian ponownie wciska twarz w moją pierś, czuję, że łyzy przesiakają przez moją koszulkę.

Barb odwraca się gwałtownie od grupy i mamrocze pod nosem:

– Idę pod prysznic.

Jednak nie robi tego wystarczająco szybko, więc jestem w stanie dostrzec wilgoć, przez którą błyszczą jej oczy. Chamski Christopher wytknąłby jej to, ale nowy, nawrócony i przytłoczony sytuacją bez słowa pozwala jej odejść.

Nie komentuję, gdy okazuje słabość, smutek czy empatię, ponieważ niech mnie szlag jasny trafi, też mam ochotę się rozbeczeć.

ROZDZIAŁ 30

– Czy to będzie dziwne, jeśli cię poproszę, byś po powrocie przyjechał do mnie, by poznać moich rodziców? – pyta Jillian, gdy wracamy plażą do miejsca, w którym zostawiliśmy Barb i Connora.

Trzyma mnie za lewą rękę. Choć nie wstydę się trzymać jej prawą, w drugiej mam lepsze czucie. Ściskam nieznacznie jej dłoń, ponieważ nie chcę dać po sobie poznać, jak mocno uderzyła we mnie ta prośba. Nie rozmawialiśmy jeszcze, co będzie po naszym powrocie do Raleigh. Chyba oboje mieliśmy wrażenie, że nadal będziemy się spotykać, jednak muszę przyznać, iż miałem pewne wątpliwości.

Jak mógłbym ich nie mieć, kiedy tyle bliskich mi osób odwróciło się do mnie plecami?

– Myślisz, że obwinia mnie za twój wyjazd bez ich zgody? – pytam.

– Nie, obwinia tylko mnie – mówi ze śmiechem.

– Więc możesz na mnie liczyć – stwierdzam, idąc brzegiem. Zbliża się zachód słońca, chcemy wrócić, by obejrzeć go razem z Connorem.

Spędziliśmy na Cannon Beach niemal cały dzień. Po szybkim śniadaniu, na które składały się płatki śniadaniowe i sok pomarańczowy, przebraliśmy się w kostiumy kąpielowe, na nie założyliśmy inne ubrania, ponieważ poranek był dość chłodny. W miarę ocieplania się pogody zdjęliśmy je, jednak tylko Connor odważył się zanurzyć w zimnej wodzie. Dziś rano wyglądał lepiej, choć narzekał, że brzuch wciąż go pobolewa, ale przynajmniej Jillian i Barb nie marudziły mu nad głową.

Rozłożyliśmy koce i usiedliśmy na piasku jakieś sto metrów od skały Haystack, z lodówką turystyczną pełną jedzenia, napojów i piwa. Przyglądaliśmy się, jak inni rzucają frisbee, spacerują i kąpią się w zatoczkach. Po lunchu drzemaliśmy, a następnie Connor wszedł do zimnej wody. Zostałem z Jillian, gdy chłopak poszedł z Barb na spacer po plaży. Ucieliśmy sobie również popołudniową

drzemkę. Na obiad zjedliśmy kanapki z mielonką i serem oraz chipsy prosto z torebki. Ja i Barb wypiliśmy kilka piw, podczas gdy Jillian i Connor poprzestali na wodzie.

To był świetny dzień.

Connor widział Pacyfik. Niedługo zobaczy zachód słońca nad oceanem.

Na plaży zaczyna roić się od ludzi pragnących obejrzeć zachód słońca. Siadamy na kocach obok naszych towarzyszy, cała czwórka zajmuje miejsca i zwraca twarze w kierunku horyzontu. Jestem zmęczony przez spędzenie całego tego wietrznego dnia na plaży, ale czuję się też zrelaksowany, gdy podziwiamy piękno natury, trzymając ręce na czołach i przymykając oczy, ponieważ rażą nas ostatnie promienie.

W ciszy obserwujemy, jak wielka złota kula schodzi coraz niżej, aż zatrzymuje się na krawędzi świata. Barwi niebieską wodę na pomarańczowo i różowo, następnie jej blask zaczyna słabnąć, dzięki czemu możemy opuścić dłonie robiące za daszki nad naszymi oczami.

– Nie ma na świecie nikogo innego, z kim chciałbym tu dziś być – mówi cicho Connor, a jego słowa niosą prawdę na fale i wiatr. Wszyscy troje obracamy głowy i spoglądamy na niego. Wie, że patrzymy, więc uśmiecha się psotnie. – No co? Chłopcy nie mogą być sentymentalni?

Milczymy. Nie mogę mówić w imieniu dziewczyn, ale mnie gardło się ściska. Connor uśmiecha się jeszcze szerzej, wiedząc, że nas rozczulił. Obraca głowę i podziwia wspaniałą zachód słońca. Widzę, że siedząca z lewej Jillian również je ogląda, ale Barb jeszcze przez długi moment wpatruje się w chłopaka, a następnie unosi rękę i obejmuje go. Przysuwa się i opiera głowę na jego ramieniu, mówiąc szeptem:

– Jesteś w porządku, młody.

Connor podnosi rękę i klepie dziewczynę po czubku głowy.

– Wiem.

Jillian wtula się we mnie mocniej. Obejmuję ją i przyciągam do siebie. Patrząc na nią, zauważam, że na jej twarzy gości jednocześnie szczęście i smutek. Chwila, którą ze sobą dzielimy, jest punktem kulminacyjnym naszej podróży, końcem wyprawy, w jaką wyruszyliśmy. Choć wszyscy zgodziliśmy się, by ją kontynuować, to właśnie był nasz cel. Żeby skreślić ten punkt z listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią Connora.

Słońce przez chwilę wydaje się odpoczywać na horyzoncie. Choć wydawało się, że bardzo długo opadało do tego miejsca, teraz zaczyna pospiesznie zniknąć nam z oczu. Wody stają się ciemniejsze, aż pomarańcze i róże stapiają się i zmieniają w czerwień. Niebo nad słońcem wciąż jest dość jasne, fiolety znaczą błękit, gdy zaczyna zapadać noc.

Kilka minut później tarcza słoneczna całkowicie znika za widnokretem, aż

nie jesteśmy już w stanie jej dostrzec. Pozostaje po niej jedynie złoty blask na horyzoncie.

Mimowolnie porównuję to w myślach do chłopaka imieniem Connor, który pewnego dnia również odejdzie z tego świata, ale ponieważ wywarł tak wielki wpływ na naszą grupę, jestem pewien, że pozostanie nam po nim złota poświata. Uśmiecham się w duchu z powodu popieprzonych, cikliwych rzeczy, jakie odczuwam, ale podobnie jak w przypadku Jillian, która otworzyła drzwi do moich emocji, także w tej chwili uczucia kotłują się we mnie jak szalone.

W końcu niebo ciemnieje całkowicie, fiolety zmieniają się w czerń. To jedna z tych niezwykłych nocy, gdy gwiazdy wiszą tak nisko, że moglibyśmy do nich sięgnąć i je dotknąć. Rozkładałam się na plecie, pociągając za sobą Jillian, by na nie popatrzeć. Barb i Connor również się kładą, więc w milczeniu wpatrujemy się we czworo w rozgwieżdżone niebo.

Pograżam się w myślach o życiu, śmierci i kruchości świata.

– Timonie – mówi Connor ochryplym, nosowym głosem – zastanawiałeś się kiedyś, co to są te migające punkty tam na górze?

Nie mam pojęcia, o czym on gada, dlatego unoszę głowę, by na niego spojrzeć. Leży na plecach, z rękami pod karkiem, uśmiechając się leniwie. Widzę, że Barb też się uśmiecha.

– Pumbaaa... Nie zastanawiałem się, ja wiem – mówi Jillian niczym mędrzec z Brooklynu. – To świetliki. Świetliki, które, hm, przyczepiły się do tej dużej, niebiesko-czarnej rzeczy tam na górze.

Że co?

Barb się śmieje, Connor prychnął, ale odpowiada:

– Och. Zawsze myślałem, że to są gazowe kule palące się miliony mil stąd.

– Pumba, tobie wszystko kojarzy się z gazami – dodaje Jillian tym samym głosem.

Connor, już normalnym tonem, mówi:

– To się zgadza z dolegliwościami żołądkowymi, które mnie wczoraj dopadły.

Jillian trzęsie się, leżąc na mnie i śmiejąc się głośno, Connor natychmiast do niej dołącza. Patrząc na Barb i widząc, że też się śmieje, chociaż ciszej niż tych dwoje.

– O czym wy, u diabła, mówicie? – pytam zdezorientowany, przez co Jillian śmieje się jeszcze mocniej, aż obraca się na bok i podciąga kolana do piersi.

Connor śmieje się tak bardzo, że puszcza bąka, udowadniając, że jego jelita nie do końca doszły do siebie. Nawet Barb zaczyna rechotać.

– No co? – pytam sfrustrowany.

Barb siada, obraca głowę i mi się przygląda.

– To jeden z najśtywniejszych cytatów z najlepszego filmu na świecie.

– Nie może być aż tak sławny – spieram się.

Jillian siada i pociąga mnie za rękę, bym również usiadł. – To z *Króla Lwa*. Nigdy go nie widziałeś?

– Nie – odpowiadam, ale zaraz dodaję: – Ale oczywiście o nim słyszałem.

– Jak mogłeś go nigdy nie obejrzeć? – docieka Connor, gdy również siada. – Wydawało mi się, że każda istota na tej planecie oglądała ten film.

– Przykro mi, kolego – mówię, prostując jego światopogląd. – Nie wychowywałem się w domu, gdzie filmy Disneya były na porządku dziennym.

– Do bani – stwierdza Connor. – Kiedy wrócimy, urządzimy sobie u mnie wieczór filmowy. Mamy kino domowe i prawdziwą maszynę do popcornu. Będzie super.

– Jestem za – mówi Jillian, kiedy znów siada blisko mnie i bierze mnie pod rękę.

– To oznacza, że Christopher też – mówi ucieszony Connor. Szturcha lekko Barb w ramię. – Dołączysz do ekskluzywnego pokazu *Króla Lwa*?

Dziewczyna kręci głową i się krzywi.

– Przykro mi, młody, ale czy ja wyglądam na kogoś, kto ogląda filmy Disneya?

– W któryś momencie swojego życia musiałeś go obejrzeć, bo rozpoznałaś tekst – odpowiada Connor.

– Widziałam go, jak byłem mała – mówi z uśmiechem. – To było wtedy, gdy wciąż wierzyłam w Świętego Mikołaja i sądziłam, że boogeyman nie jest prawdziwy.

Wydaje mi się, że Barb droczy się z Connorem, ponieważ rozmawia swobodnie, ma figlarny wyraz twarzy. Prawdę mówiąc, ten wygląd zupełnie nie pasuje do jej natury, jednak słowa Barb obnażają bolesną prawdę na jej temat. Była mała, a jej niewinność została brutalnie zniszczona. W nanosekundę dziewczyna przeszła z Disneya do Stephen Kinga.

Spoglądam na Connora i zauważam, że jego również przeraziło to, co powiedziała, a także fakt, że doprowadziło do tego jego gadanie o Disneyu.

– Barb – mówi z poczuciem winy. – Nie chciałem...

– Wyluzuj, młody – mówi, klepiąc go kilkakrotnie po kolanie. – Doceniam zaproszenie, ale wiesz, takie filmy po prostu mnie nie kręcą.

Connor przytakuje, ale widzę, iż obawia się, że jednak obraził Barb albo otworzył jej stare rany.

Dziewczyna wstaje z koca i otrzepuje spodnie z piasku.

– Wracam na kemping – mówi.

– Pójdę z... – zaczyna Connor, wstając, ale Barb wyciąga rękę, by go powstrzymać.

– Bez obrazy – mówi cicho i uśmiecha się nieznacznie – ale nie mam

nastroju na śpiewanie przy ognisku. Potrzebuję побыć chwilę w samotności.

Odwraca się i maszeruje po plaży w kierunku głównej drogi biegnącej równoległe do brzegu. Nasz kemping znajduje się po drugiej stronie, jakieś pięćset metrów na północ.

Connor opada z powrotem na koc i wzdycha.

– Hej, nie martw się o nią – mówię dobrodusznie. – Pamiętaj, że jest w niej więcej jędry niż człowieka. Jeszcze do nas przyjdzie.

Chłopak próbuje zachować dzielny wyraz twarzy, ale Jillian pozbawia nas złudzeń.

– Nie, nie przyjdzie.

– Słucham? – pytam, patrząc na nią.

– Nie przyjdzie – odpowiada dziewczyna ze smutkiem. – To dla niej zbyt trudne.

– Co masz na myśli? – docieka Connor z niepokojem.

– Troszczy się o ciebie – ostrzega Jillian. – I jest krucha. Nie potrafi dalej budować tej przyjaźni, wiedząc, że umrzesz. Nie ma na to wystarczająco siły.

Chłopak patrzy na zachodnią część plaży, gdzie zniknęła Barb.

– Ale... ona jest najtwardsza z nas wszystkich.

– Nie, wcale nie – mówię, zgadzając się ze wcześniejszym stwierdzeniem Jillian.

Chociaż ja i Jillian jesteśmy chętni na wieczór filmowy w domu McCannów, by spędzić więcej czasu z Connorem, Barb do nas nie dołączy. Próbuje się ochronić, bo nie chce cierpieć po jego śmierci. Mogę się założyć, że gdy wrócimy do Raleigh, po Barb nie zostanie ani śladu. Nigdy jej już nie zobaczymy.

ROZDZIAŁ 31

Otwieram oczy i natychmiast odczuwam zdenerwowanie. Zawsze byłem rannym ptaszkiem, co tylko umocniło się, gdy zaciągnąłem się do wojska. Ciśnienie w pęcherzu zmusza mnie do wstania, więc wyczołguję się ze śpiwora i zakładam protezę. Powoli zaczyna świtać i widzę, że Connor i Jillian smacznie śpią w swoich śpiworach. Siedzieliśmy na plaży do późna, patrząc w gwiazdy i rozmawiając.

Były to przyjemne pogaduchy z przyjaciółmi, którzy znają wszystkie swoje słabości i wybaczą je bez chwili namysłu. Nigdy wcześniej nie miałem takich towarzyszy jak Connor czy Jillian.

Niedługo zostanie tylko Jillian.

Kiedy wychodzę z namiotu, chłodne powietrze sprawia, że drzę, więc pocieram ramiona, aby się rozgrzać. W nocy temperatura spadła do dziesięciu stopni, na szczęście śpiwory zdołały utrzymać ciepło. Nie wiem, jak Barb dała radę wytrzymać w samochodzie, skoro miała tylko koc, ale wydawała się nie marznąć, kiedy wróciliśmy w nocy na kemping. Gdy zajrzałem przez szybę, ujrzałem, że spała na boku owinięta kocem pod samą brodę.

Po dotarciu do łazienek, sikam długo, a mój pęcherz wzdycha z zadowoleniem, gdy się opróżnia. Karczę się w duchu, że nie zabrałem kosmetyczki, bo mógłbym przynajmniej umyć zęby. Przeciagam po nich językiem, stwierdzając, że nieco zarosły mchem. Mimo wszystko pocałunek z Jillian nawet z nieświeżym oddechem jest lepszy niż żaden. Uśmiecham się do siebie w lustrze i wychodzę z łazienki.

Zastanawiam się, czy nie obudzić wszystkich, byśmy zaczęli dzień jak najwcześniej. Mamy zamiar udać się prosto do San Francisco. W nocy, gdy siedzieliśmy na plaży, padła propozycja, byśmy zostali w Portland, jednak ostatecznie ją odrzuciliśmy, ponieważ bardziej zależy nam na zwiedzeniu zoo w San Diego. Connor zdecydował, że skoro już tam będziemy, możemy skoczyć do

Las Vegas, bo musi odhaczyć to z listy, na co ze śmiechem się zgodziliśmy.

Zatem zrezygnowaliśmy z Portland na rzecz Las Vegas, po którym czeka nas powrót do domu.

Teraz musimy tylko poinformować Barb o naszych planach i mieć nadzieję, że się nie sprzeciwi. Myślę, iż będzie za. Dziewczyna dała nam dość jasno do zrozumienia, że po powrocie będzie musiała odciąć się od Connora, w głębi duszy wiem, iż nie odmówi mu tej podróży. Może utrzymywać chłodną, twardą postawę, by ludzie się do niej nie zbliżali, ale jestem pewien, że chłopak wślizgnął się już do jej serca, tak samo jak udało mu się zakorzenić w moim.

Mały gnojek. Jego odejście mocno mnie zaboli, jednak zgadzam się na to brzemię.

Podchodzę do suburbana, aby obudzić Barb jako pierwszą. Z rana jest najwolniejsza i najbardziej marudna. Kiedy otwieram tylne drzwi, zastaję jednak puste siedzenie i koc, którym była wczoraj okryta, rzucony na podłogę.

Rozglądam się po kempingu, ale jej nie widzę. Zgaduję, że mogła pójść do damskiej łazienki, gdy ja byłem w męskiej.

Wzruszam ramionami, zamykam samochód i podchodzę do namiotu. Otwieram jego poły i wołam do Jillian i Connora:

– Dobra, śpiochy, pobudka. Musimy ruszać.

Dziewczyna unosi głowę, jej powieki są ciężkie od snu, gdy próbuje skupić na mnie wzrok.

– Która godzina?

– Około wpół do siódmej – odpowiadam, bo niedawno patrzyłem na zegarek. Jillian kiwa głową, ziewa i szturcha leżącego obok chłopaka.

– Czas wstawać, Connor.

Młody jęczy, zakopuje się głębiej w swój śpiwór i mamrocze:

– Jeszcze pięć minut, mamo.

– Wstawaj – mówię stanowczym tonem. Ku mojemu zdziwieniu chłopak unosi głowę. Patrzy na mnie zaspany, więc się do niego uśmiecham. – No dalej... umieram z głodu. Mam ochotę na naleśniki.

Jillian kręci głową z uśmiechem, całkowicie zadowolona z tego nowego, lepszego Christophera Barlowa i muszę przyznać, że jej radość mnie cieszy. Wycofuję się z uśmiechem z namiotu i czekam, aż wyjdą. Chwilę później na zewnątrz pojawia się Jillian. Dając mi buziaka w kącik ust, mówi cicho:

– Dzień dobry, przystojniaku.

Po chwili odchodzi z Connorem w kierunku toalet.

Tak, duma rozpira mnie po słowie „przystojniak”. Mam nadzieję, że nigdy nie znudzi mi się to uczucie euforii, jakie Jillian we mnie rozpala. Nie mam pojęcia, czemu tak bardzo w to wierzę, ale tak właśnie jest. Teraz gdy postanowiłem sprawdzić, dokąd zaprowadzi mnie związek z Jillian, i otworzyłem

się na możliwość, że mogę mieć wspaniałe życie, zamierzam wykorzystać tę sposobność, na ile tylko się da, nawet jeśli pod koniec spotka mnie jeszcze więcej bólu. Muszę zaryzykować.

Wyciągam śpiwory z namiotu, by je pozwijać. Gdy jestem w połowie zadania, Jillian i Connor wracają z łazienek.

– Mówiłaś Barb, że się zwijamy i jedziemy na naleśniki? – pytam Jillian.

Dziewczyna marszczy brwi.

– Nie było jej w łazience.

– Hm – mówię zdezorientowany, zastanawiając się, gdzie się podziała.

Upuszczam rurki stelaża, które wyjąłem właśnie spod tropiku namiotu, i podchodzę do auta. Otwieram tylne drzwi i szukam jej plecaka. Widzę jedynie poduszkę i koc, więc sprawdzam w bagażniku, jednak tam też go nie znajduję.

– Co się stało? – pyta Connor, gdy zamykam klapę.

– Barb zniknęła – mówię, drapiąc się po głowie. Patrzę na Jillian. – Jesteś pewna, że nie było jej w łazience?

Blondynka marszczy brwi i kręci głową.

– Sprawdzę raz jeszcze.

– Ja sprawdzę na plaży – mówi Connor z uśmiechem. – Założę się, że siedzi nad brzegiem.

– Tak, pewnie masz rację – zgadzam się, próbując otrząsnąć się z niepokoju.

Chłopak spieszy na skróty na plażę, więc wracam do namiotu, by skończyć go składać. Idąc, rozglądam się po kempingu, przy czym moje zdenerwowanie rośnie, aż włoski na karku stają mi dęba.

Kemping od otwartej przestrzeni jest oddzielony gęstym rzędem drzew, graniczącym ze ścieżką, którą poszedł Connor. Są tam również dwa szeregi namiotów, ale nikt się wokół nich nie kręci, bo jest jeszcze bardzo wcześnie. Znajduje się tam żwirowa droga dla samochodów, a za nią budynki i niewielka połać brązowej, wysokiej do pasa trawy. Dalej stoi wielkie drzewo z rozłożystymi konarami, na jednym z nich zawieszona została huśtawka z opony. Nie widziałem go wczoraj, gdy tu zajechaliśmy, wyobrażam sobie jednak, że wiele dzieci bawiło się w jego cieniu. Przesuwam wzrokiem obok drzewa, chcąc zatoczyć krąg, ale coś mnie zatrzymuje.

Wracam spojrzeniem do drzewa i skupiam się na nim. Po drugiej stronie wschodzi słońce, jego złote promienie oświetlają trawę i liście. Z jednej strony huśtawki, blisko pnia, coś dostrzegam. Coś, co wygląda jak plecak Barb.

Ruszam w tamtą stronę, przechylając głowę na bok, nie wiedząc, co tam znajdę. Dostrzegam cały plecak dziewczyny, a następnie odziane w potargane jeansy nogi i znajome glany. Moje usta rozciągają się w uśmiechu, bo wiem, że ją znalazłem, przyłapując prawdopodobnie na paleniu skręta przed wyruszeniem w trasę.

Przyglądam się plecakowi i nogom i nie mam wątpliwości, że dziewczyna siedzi oparta plecami o pień. Wyskakuję zza drzewa, krzycząc:

– Mam cię!

Chcę ją wystraszyć. Zaczynam się nawet śmiać, wiedząc, że zaraz mnie opieprzy.

Ale Barb się nie rusza.

Jej ręce spoczywają na udach, palce są lekko zwinięte do wewnątrz, a głowa opada na ramię. Podchodzę bliżej, patrząc w jej rozluźnioną twarz, zamknięte oczy i nieznacznie rozchylone wargi.

– Barb? – pytam z wahaniem, szturchając czubkiem trampka jej glana.

Dziewczyna siedzi nieruchomo, więc zgaduję, że upaliła się na maksa.

– Barb – mówię nieco głośniej, kucając obok.

Wciąż nic, ale wtedy to do mnie dociera... Jej klatka piersiowa się nie porusza.

– Barb! – krzyczę, wyciągając ręce, by objąć jej twarz. Pomimo mojej szorstkiej, pełnej blizn skóry potrafię wyczuć chłód, dlatego odruchowo cofam dłonie.

– Barb – szepczę, ponownie wyciągając rękę i kładąc palce na jej tętnicy szyjnej.

Czuję jedynie lodowato zimną skórę.

Dopada mnie odrętwienie, zdrowa noga zmienia się w galaretę. Opadam na tyłek, patrząc z niedowierzaniem na dziewczynę. Rozglądam się, ale nikogo nie widzę. Odwracam głowę, spoglądając na otoczenie, i wtedy zauważam to coś.

Pusty woreczek obok Barb.

Nie mam pojęcia, co w nim miała, ale cokolwiek to było, okazało się zabójcze. Torebka jest pusta, a Barb nas opuściła.

Kurczy mi się żołądek, czuję się jak wykręcana mokra szmata, gdy dopadają mnie mdłości. Wciągam powietrze przez nos i wypuszczam przez usta, pragnąc, by żółć się cofnęła. Do oczu napływa mi wilgoć, więc ocieram ją niespiesznie grzbietem dłoni.

– Niech cię szlag, Barb – szepczę ostro. – Niech cię wszyscy diabli...

Niech ją cholera za to, że była skryta i załamana, ale bardzo prawdziwa. Podobna do mnie. W tej chwili jej słabości, które zostały obnażone, błyszczą jasno tak jak moje własne. Pieprzyć spokojny wyraz jej twarzy mówiący, że zostawiła nas i uciekła z tego okropnego świata.

Kurwa, co mogliśmy zrobić, by temu zapobiec?

Pieprzyć jej udręczoną duszę, bo choć zachowanie Jillian obudziło we mnie nadzieję, sądziłem, że swoją przemianę zawdzięczam również kobiecie, która sikała na groby i niszczyła młotkiem płyty – ponieważ uważałem, że była najsilniejsza z nas wszystkich. To ona przybiegła, by uratować Connora z rąk

wściekłego właściciela domu, który obrzuciliśmy jajami. I to ona z troską i słodyczą podarowała chłopakowi wyjątkowe doświadczenie. Była silna z wielu powodów, których zapewne nie uznawała, ale głównie dlatego, że wielokrotnie wybrała życie zamiast śmierci. Już wcześniej chciała popełnić samobójstwo, jednak udało jej się pozbiierać. Takie właśnie powinno być jej przeznaczenie.

Życie.

Czyżbym błędnie ocenił zarówno Barb, jak i jej zdolność do powrócenia znad krawędzi mroku? W czym jeszcze się myliłem?

Wracam myślami do chwili, gdy zapytałem Jillian o jej siłę i odwagę mimo diagnozy mówiącej o utracie wzroku, a także do tego, jak wyjawiała mi całą prawdę o szczęściu. Opowiedziała mi wtedy o słońcu, o tym, że nie zatęskni za nim, gdy przestanie je widzieć, bo ono nie zniknie. Miała pewność, iż zawsze będzie je odczuwać, tylko że innymi zmysłami. Że zmieni się jedynie jej percepcja, ale stwierdziła, iż się do tego przyzwyczai.

Mówiła, jakby to było naprawdę proste.

Sprawiła, że uwierzyłem w jej optymizm, rzuciłem się na niego jak wygłodniały człowiek na kotleta.

Połknąłem przynętę, haczyk i spławik, byłem skłonny uwierzyć, że Barb również zrozumie, co to szczęście. Sądziłem, iż przy odpowiednim wsparciu jej szary świat nabierze barw, że dziewczyna znajdzie w końcu drogę powrotną z mroku.

Jednak tak się nie stało, nawet jeśli była silna. W tej chwili mogę jedynie poddać w wątpliwość własną siłę i to, czy faktycznie zdołam zaakceptować całą prawdę o własnym szczęściu.

ROZDZIAŁ 32

Wychodzę na hotelowy balkon i zamykam za sobą drzwi. Wyciągam z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Bez namysłu odpalam fajkę. To moja pierwsza, odkąd znalazłem Barb, i wiem, że nie będzie ostatnia. Ponieważ joint, alkohol czy prochy nie są możliwe, papierosy to jedyny środek, który trzyma mnie jako tako przy zdrowych zmysłach. Przynajmniej gdy palę, ręce tak bardzo mi się nie trzęsą.

Zaciągam się głęboko, włączając dym do płuc, trzymam go tam przez chwilę, następnie wypuszczam, ciężko wzdychając. Opieram łokcie na barierce, zwieszam głowę i patrzę na ulicę znajdującą się pięć pięter pode mną.

Zginałbym, gdybym skoczył?

Pewnie nie. Moje ciało zostałoby pogruchotane, ale tego już kiedyś doświadczyłem.

Poza tym nie mógłbym zrobić tego Jillian i Connorowi. Nie po tym, co się dziś stało.

Oboje są w pokoju. Jillian śpi wyczerpana emocjami. Była wyraźnie zdenerwowana, płakała przez ponad godzinę. Bałem się, że nie przestanie. Jednak wzięła się w garść i zaczęła pocieszać Connora. Chłopak naprawdę źle przyjął wieść o śmierci Barb. Jillian przez cały dzień opowiadała mu o „bożym planie” i „okolicznościach, na które nie mieliśmy wpływu”. Wiedziałem, że utrzymywanie pozorów ją wykończy, więc w końcu, kilka godzin temu, zasnęła. Connor siedzi jedynie na łóżku, opierając się plecami o zagłówek. Gdy wychodziłem na balkon, chłopak gapił się w ścianę.

Kiedy dotknąłem zimnej skóry Barb i dotarło do mnie, że ona nie żyje, coś we mnie pękło. Czuję się, jakbym spadał. Byłem na nią wściekły – wciąż jestem – i wiedziałem, że nie trzeba wiele, bym się stoczył. Mogłem popaść w niedolę i znów zacząć się nienawidzić, ponieważ samobójstwo Barb dało mi pozwolenie na użalanie się nad sobą. Ta dziewczyna zniszczyła całą nadzieję, jaka się we mnie zrodziła.

Jednak zwirową drogą prowadzącą z łazienek przyszła Jillian i miałem do zrobienia coś znacznie ważniejszego niż popadnięcie w mrok. Musiałem chronić resztę.

Podniosłem się, ponownie otarłem oczy i pospieszyłem do Jillian, nim zdołała zbliżyć się zaudto do drzewa. Rzuciła tylko okiem na moją twarz i już wiedziała.

Po prostu wiedziała.

Skrzywiła się, z oczu popłynęły jej łzy. Potrząsnęła gwałtownie głową, nie mogąc w to uwierzyć.

– Nie zrobiła tego. Powiedz, że tego nie zrobiła.

– Przykro mi – odparłem ochryple, gdy porwałem ją w ramiona i mocno do siebie przytuliłem. Jillian natychmiast uwolniła wszystkie emocje. Smutek i rozpacz wylały się z niej wraz ze szlochem, który poniósł się po kempingu. Niektórzy wyszli z namiotów, przyglądając się nam z troską, mimo to nie zrobiłem niczego, by uspokoić moją przyjaciółkę. Musiała to z siebie wyrzucić. Im bardziej płakała w moich ramionach, tym silniejszy się czułem.

Wracający z plaży Connor natychmiast nas dostrzegł. Nawet jeśli był oddalony o dobre pięćdziesiąt metrów, poznałem po wyrazie jego twarzy, że też wiedział.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że nie było to dla nas zaskoczeniem.

Uzmysłowiłem sobie własną głupotę. To, że Jillian roztacza wokół siebie optymizm, nie oznacza, że każdy da się na niego złapać. Również byłem naiwny, oceniając poziom rozpacz Barb, mam więc wyrzuty sumienia, bo może nie zrobiłem wystarczająco wiele, by jej pomóc. W myślach odtwarzam tę pieprzoną rozmowę o samobójstwach – nie mogę uwierzyć, że wtedy jakoś nie zareagowałem.

Connor rozejrzał się po kempingu i sokolim wzrokiem dostrzegł plecak Barb. Podbiegł do niego – do niej – więc musiałem puścić Jillian, by go zatrzymać. Jednak gnojek był szybki. Szybszy niż ja w protezie, więc mnie wyprzedził i zatrzymał się dopiero obok drzewa.

– Connor... Nie! – zawołałem do niego.

Zignorował mnie i uklęknął przy ciele Barb. Patrzył na nią bez wyrazu.

Jillian przeszła obok mnie, a gdy sięgnąłem po rękę dziewczyny, by ją zatrzymać, nie zdołałem jej złapać. Podbiegła do Connora i uklękła obok niego, obejmując go troskliwie. Nadal szlochała, przez co nigdy wcześniej nie czułem się bardziej bezradny.

Nawet wtedy, gdy ból nogi był tak zajadły, że miałem ochotę ją sobie odgryźć.

Do tego czasu ludzie, którzy powychodzili z namiotów, zaczęli zdawać sobie sprawę, że coś jest nie tak. Kilka osób podeszło do drzewa, by sprawdzić, co się

dzieje. Choć wolałbym ich stamtąd przegonić, miałem ważniejsze rzeczy do roboty.

Wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem na numer alarmowy.

Ponownie zaciągam się dymem, patrząc w dół na Portland, gdy słońce zaczyna zachodzić. Spoglądam na zegarek, wiedząc, że rodzice Connora powinni się zjawić za kilka godzin. Zdołali kupić na dziś bilety lotnicze z Raleigh.

Po wykonaniu telefonu na numer alarmowy zadzwoniłem do ojca chłopaka i przekazałem, co się wydarzyło. Poprosiłem, by przyleciał do Portland, ponieważ nie wiedziałem, co zrobić i jak poradzić sobie z jego synem. Nie miałem również pojęcia, jak uporam się z Jillian, chociaż pomyślałem, że wezmę kilka wskazówek od McCannów. Ojciec Connora nie wahał się ani sekundy przed podjęciem działań.

Zadzwoniłem również do Mags, która po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, zaniemówiła. Pozbierała się jednak szybko i przeszła w tryb mediatorki. Pozwoliłem, by mówiła mi, co mam robić, ponieważ tego właśnie potrzebowałem. Obiecałem kobiecie, że zajmę się Jillian i Connorem i że zadzwonię do niej później.

Podczas gdy ja musiałem uporać się z policją, załogą karetki, która nawet nie próbowała reanimować Barb, a także z prokuratorem, Jillian i Connor siedzieli w samochodzie. Wiedziałem, że chłopak rozmawiał z rodzicami, Jillian również zadzwoniła do swoich. Nie miałem zielonego pojęcia, co się dalej stanie, ale byłem wdzięczny, że pan McCann zarezerwował nam hotel w Portland i powiedział, że mamy tam na nich poczekać.

To właśnie robimy. Ja palę, Jillian śpi, a Connor gapi się tępo w ścianę.

Zajebicie.

Kończę papierosa, a ponieważ nie chcę wracać do środka, odpalam kolejnego.

Jego również kończę i odpalam następnego.

Kiedy i on się kończy, orientuję się, że moja paczka jest pusta.

Wzdycham, odwracam się, przesuwam drzwi i wchodzę cicho do pokoju, odsuwając ciężkie zasłony. Jillian wciąż śpi, Connor nadal gapi się w ścianę. Pokój jest ciemny, ponury i cholernie depresyjny.

– Idę kupić fajki – mówię cicho do chłopaka, z niewielkiego stolika zabierając portfel i kluczyki.

Connor nie odpowiada. Muszę przyznać, że nieco się o niego martwię. Od rana nie powiedział za wiele.

Niezależnie od tego podchodzę do drzwi, bo muszę kupić pieprzone papierosy. Jestem pewien, że moi towarzysze poradzą sobie beze mnie przez kilka minut.

Ale gdy tylko otwieram drzwi, z przytłaczającego smutkiem pokoju dobiega mnie głos Connora.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobiła? Dlaczego teraz?

Wzdycham, garbiąc się. Chciałbym zignorować to cholernie trudne pytanie, ale wiem, że nie mogę tego zrobić. Chłopak potrzebuje odpowiedzi, nawet jeśli moja może być kiepska.

Odwracam się, podchodzę do łóżka i siadam na skraju, twarzą do chłopaka, lewą nogę uginając, a protezę prostując na podłodze. Oczy Connora są zaczerwienione, ale suche. Rozpacza w duchu, co mocno we mnie uderza... To pierwszy raz, gdy widzę, by dzieciak był roztrzęsiony. Żyjąc z wyrokiem śmierci, wykazywał się takim opanowaniem, że zapomniałem, iż nadal jest tylko przestraszonym dzieckiem.

– To przez nas? – pyta. – Przeze mnie?

Kręcę głową, kładąc rękę na materacu i przysuwając się do niego.

– Nie, Connor. To przez nią. To nie miało nic wspólnego z tobą, Jillian czy mną.

– Skąd wiesz? – pyta... Nie, niemal błaga, bym zabrał od niego wszelkie wyrzuty sumienia.

– Ponieważ wielu specjalistów od zdrowia psychicznego grzebało mi w głowie – odpowiadam szczerze. – Ponieważ myślałem o tym samym, więc wiem, jak trudno jest prosić kogoś o pomoc.

– Myślałem, że była szczęśliwsza – mamrocze, patrząc na spoczywające na kolanach dłonie. – Wydawało się, że zaczęła się otwierać i dobrze się z nami bawić.

– Wiem. Myślę, że w zeszłym tygodniu przeżyła swoje najlepsze chwile. W depresji są wzloty i upadki. Czasami nie widać, że ktoś źle się czuje, ponieważ doskonale potrafi to ukryć.

– To bez sensu – stwierdza z frustracją. Unosi głowę i widzę, że w jego oczach błyszczy furia. – Jestem na nią naprawdę wkurzony.

– Ja też – mówię. – I wydaje mi się, że to naturalne.

– To było egoistyczne – wytyka, zaciskając rękę w złości.

– Nie, nie było – mówi Jillian z drugiej strony łóżka. Obracamy się obaj, by na nią spojrzeć. Leży na brzuchu ze skrzyżowanymi rękoma i opartą na nich głową, z twarzą obróconą w naszą stronę. Jej oczy są zaczerwienione i opuchnięte. – Barb próbowała uporać się ze swoimi demonami w najlepszy ze znanych sobie sposobów. Nam nie wydawał się on dobry, jednak gdy podjęła decyzję, by to zrobić, sądziła, że tak będzie dla niej najlepiej.

– Żałuję, że nie rozpoznałem sygnałów – mówi Connor. – Że nie zauważyłem czegoś, co powinno nas zaniepokoić... Że nie dałem nam szansy, byśmy coś zrobili.

Mam ochotę powiedzieć, że nie było żadnych znaków – że jej próba samobójcza zbliżała się nieubłaganie.

Nie dawała oczywistych sygnałów.

W tej chwili zaczynam rozumieć Keitha, choć poprzednio wykpiłem jego „wyrzuty sumienia ocalałego”. Wiem, że Connor właśnie to teraz czuje, przez co zaczynam się jeszcze bardziej niepokoić.

Ja też myślałem, że Barb zaczęła się otwierać i że pilnie obserwowała grupę, która stała się drużyną. Rzeczywiście dziewczyna dobrze bawiła się w tym tygodniu, choć wydaje mi się, że również otworzyły się niektóre jej rany. A co najważniejsze, sędzę, iż rozwinęła więź z Connorem na tyle, na ile zdołała. Bez względu na to, czy był to jego młodzieńczy entuzjazm, by robić coś tak głupiego jak obrzucanie domów jajami, czy intymne chwile, które z nim dzieliła, Barb pozwoliła mu się do siebie zbliżyć i zależało jej na nim.

Wczoraj... gdy Connor zaprosił nas do siebie na seans filmowy... Myślę, że właśnie wtedy podjęła decyzję. Wydaje mi się, że wiedziała, iż nie poradzi sobie po śmierci Connora. Nie chciała być przy nim i przyglądać się, jak powoli odchodzi. Nie chciała, by jej dusza strzaskała się na widok jego cierpienia. Myślę, że wczoraj zdecydowała się opuścić ten świat na własnych warunkach, a przynajmniej na takich, na jakich zdołała.

Jestem przekonany, że pragnęła, by jej ostatnim wspomnieniem było obserwowanie z Connorem zachodu słońca nad Pacyfikiem ze świadomością, że chłopak osiągnął kulminacyjny punkt swej podróży, a ona brała w tym udział.

Jednak nie ma mowy, bym powiedział o tym Connorowi. Weźmie to sobie do serca, co przytłoczy go poczuciem winy. Wolę, by myślał, że Barb była egoistyczna, i żeby nie musiał dźwigać jeszcze większego ciężaru na barkach.

– Jestem pewien, że będziemy o tym rozmawiać, gdy wrócimy do Mags – sugeruję. Ta kobieta to profesjonalistka, pomoże nam wyłuskać z tego więcej sensu.

– Ale przecież nie mamy zaplanowanych kolejnych spotkań – zauważa Connor. – Mags powiedziała, że jeśli pojedziemy na tę wyprawę, będziemy po wszystkim wolni.

– Nie – poprawiam go z uśmiechem. – Miała na myśli tylko mnie, a ja sędzę, że dobrze by było, gdybyśmy spotkali się po powrocie. To wszystko jest dla nas trudne.

Nie mogę uwierzyć, że dobrowolnie zgłaszam się na terapię. Rany, od zmian, jakie zaszły ostatnio w moim życiu, kręci mi się w głowie.

Connor przytakuje, rozumiejąc, o co mi chodzi. Zwiesza głowę, ale zaraz ją podnosi.

– Przepraszam, że z wami nie wrócę.

Spoglądam na Jillian, zauważając, że do oczu znów napływają jej łzy. Wydaje mi się, że dziewczyna martwi się, że to początek końca Connora. Że jego dusza otrzymała dziś tak wielki cios, że efekty tego odczuje także ciało chłopaka.

Kiedy wcześniej rozmawiał z ojcem, był tak zaniepokojony, że chciał tylko wrócić do domu i spędzić czas z rodzicami. Jutro cała trójka McCannów poleci do Raleigh.

– Hej – mówię, patrząc na niego. – Daliśmy radę. Ta wyprawa była wspaniała. Kto by się przejmował tym, że skończy się nieco wcześniej?

Jillian przytakuje zgodnie, wzdycha i mówi wesoło:

– Tak. Podczas tej podróży zrobiliśmy tak wiele, a zrobimy jeszcze więcej po powrocie.

Nie rozmawiałem z nią jeszcze, ale zakładam, że pojedziemy prosto do domu. Nie chcę kontynuować tej wyprawy. Bez Barb i Connora wydaje się to nie w porządku, założę się, że Jillian też tak czuje.

– Obiecujecie? – pyta z wahaniem Connor, przeskakując wzrokiem pomiędzy mną a Jillian.

– Co mamy obiecać? – pyta dziewczyna.

– Że zrobimy coś razem po powrocie. – W jego cichym głosie słychać obawy. Wydaje mi się, iż on także zdaje sobie sprawę, że to początek końca, i podejrzewa, iż Barb wybrała łatwiejsze wyjście, nie chcąc oglądać, jak chłopak umiera. Sądzi zapewne, że my także nie damy rady.

Uśmiecham się, by poprawić mu nastrój.

– Cholera, oczywiście. Najpierw wpadamy do ciebie na seans filmowy z *Królem Lwem*. Powiedz tacie, żeby kupił dla nas sporo piwa, okej?

Usta Connora rozciągają się w uśmiechu. Zawstydzony chłopak spuszcza na chwilę głowę, jednak zaraz ją podnosi i patrzy na Jillian, ale ostrzega nas oboje:

– Obserwowanie tego, jak umieram, nie będzie przyjemne.

– Mimo to będziemy przy tobie – obiecuje dziewczyna.

Z trudem przełykam ślinę przez ściśnięte gardło i przytakuję, zgadzając się z nią. Nie sądzę, bym miał wybór. Muszę to z nim przejść.

Zaledwie osiem dni temu Connor był dla mnie zaledwie Martwym Dzieciakiem. Teraz wiem, że jego koniec jest bliski i będzie okropny, więc przez krótką chwilę zazdroszczę Barb tego, co zrobiła.

ROZDZIAŁ 33

Dwa dni później...

Kiedy pompa wyłącza się automatycznie, wyciągam pistolet węża i odkładam na uchwyt dystrybutora. Z kieszeni spodnek wyjmuję portfel, otwieram drzwi pasażera i pytam Jillian:

– Chcesz coś ze stacji?

Dziewczyna ma na nosie grube okulary, bo czyta książkę o sztuce, i nie unosi nawet głowy, by na mnie spojrzeć. Kręci nią jednak nieznacznie i mówi cicho:

– Nie, dzięki.

Wzdycham, zamykam drzwi i idę po kawę. Jestem cholernie zmęczony, ale Jillian niecierpliwi się, by wrócić do domu. Wiemy, że Connor już doleciał, nie chcemy, żeby czuł się opuszczony, więc gnamy na złamanie karku. Pierwszego dnia po wyjeździe z Portland prowadziłem niemal jedenaście godzin, byśmy jak najszybciej dotarli do Salt Lake City. Następnie padliśmy jak nieżywi na łóżko, wyczerpani od przytłaczających nas emocji.

Następnego dnia spędziłem za kółkiem piętnaście godzin, dzięki czemu dotarliśmy do Kansas City. Nadal jesteśmy jakieś piętnaście godzin jazdy od domu, ale sądzę, że trzeci dzień ciężkiej podróży mnie nie zabije.

Poza tym chcę, by Jillian znalazła się jak najszybciej w swoim otoczeniu. Od śmierci Barb jest tak niesamowicie cicha, że aż mnie przeraża. Próbowałem wciągnąć ją w rozmowę, ale odpowiadała jedynie monosylabami. Często spała w samochodzie i nie jadła za wiele.

Wczoraj wieczór, gdy dotarliśmy do pokoju hotelowego, próbowałem wyrwać ją z tego stanu. Zdałem sobie sprawę, że chodzenie wokół niej na paluszkach nic nie da, więc walnąłem prosto z mostu:

– Musisz ze mną porozmawiać i powiedzieć, co się dzieje.

Zdenerwowała się. Z błyskiem w oku i zaczerwienionymi policzkami, odparła:

– Przepraszam za to cholerne milczenie, Christopherze, ale moja przyjaciółka właśnie popełniła samobójstwo.

Po jej słowach to ja się wkurzyłem i – zdecydowanie niewłaściwie – odpowiedziałem:

– Barb nie była twoją przyjaciółką. Ledwie się tolerowałyście.

Nie powinienem był tego mówić. Niebieskie oczy Jillian wypełniły się łzami, a jej dolna warga zaczęła drżeć.

– Jesteś podły – powiedziała cicho.

Boże, byłem skończonym dupkiem. Natychmiast spróbowałem to naprawić, biorąc ją w ramiona i kładąc się z nią na łóżku. Przeprosiłem i szepnąłem na pocieszenie, że Barb naprawdę była naszą przyjaciółką, a ja czułem się zdezorientowany i zagubiony niemal tak jak ona. Mówiłem szczerze, więc Jillian to zaakceptowała.

Następnie przyznała coś, co mnie zdziwiło.

– Widok ciała Barb... i wiedza, że czuła się na tyle samotna, iż wydawało jej się, że to jej jedyna możliwość... To był najmroczniejszy z moich dni, Christopherze. Gorszy nawet od tego, gdy zginęła Kelly, dużo gorszy niż ten, gdy dowiedziałam się o mojej diagnozie.

– Jak to? – zapytałem ochryplym głosem, głaszcząc Jillian po plecach, by ją uspokoić. To dość mocne stwierdzenie.

– Śmierć Kelly była straszna. W końcu to moja siostra. Moja druga połówka. Była szczęśliwa i pełna życia. Myślę, że tam na górze czekało ją większe powołanie niż tu na ziemi. Wiem, że znalazła się w lepszym miejscu. Jednak Barb... była samotna, przerażona, ale widziałam, że zaczynała się przed nami otwierać. Pozwoliłam, by mój optymizm przekonał mnie, że wszystko się ułoży. Że dostrzeże dobro, bo jak idiotka wmawiałam każdemu, by to właśnie robił. Nagadałam ci jakichś głupot o szczęściu po utracie wzroku... O tym, że słońce nadal będzie świecić, tylko ja będę musiała nauczyć się odbierać je w inny sposób, jednak w tej chwili widzę, że nie mogłam wykazać się w tym względzie większą naiwnością. Nauczyłam się właśnie, że niczego nie wiem o życiu, i czuję się jak skończona kretynka.

– Nie jesteś kretynką – skarciłem ją. Odchyliłem jej głowę, upewniając się, że patrzyła mi w oczy. – Jesteś pełna nadziei... Wierzysz, że otrzymaliśmy dobre życie i że potrafimy uczynić je cudownym... Sprawiałaś, że otworzyłem się na możliwość, iż zasługuję jednak na coś więcej.

Pokręciła głową pogrążona w żalu, nie chcąc zaakceptować daru, jaki mi przekazała.

– Nie... ty już to w sobie miałeś.

– Dokładnie – powiedziałem. – Ale bez ciebie nie potrafiłem tego dostrzec. Barb po prostu tego w sobie nie miała. Są na świecie ludzie, którym nie można pomóc, kochanie.

Jillian nie odpowiedziała, ale mocniej się przytuliła. Obejmowałem ją i głaskałem, aż zasnęła. Miałem nadzieję, że moje słowa do niej dotrą, ale tego ranka znów się przede mną zamknęła. Zacząłem się martwić. Nie wiem, czy poradzę sobie, gdy kobieta, która sprawiła, że uwierzyłem w siebie samego, straci swoją wiarę.

W budynku stacji szybko robię sobie kawę i kładę ją na blacie. Mam ochotę kupić fajki, ale porzucam ten pomysł. Po rozmowie z Connorem nie poszedłem po papierosy, choć cholernie chciało mi się palić. Stwierdzenie, że ostatnie dni były bardzo stresujące i smutne, to duże niedopowiedzenie.

Kiedy podaję kasjerowi pięciodolarowy banknot, zauważam kolorowe ulotki. Biorę jedną i czytam.

– Te wycieczki są dość fajne – mówi chłopak. – I historia jest spoko... Wiesz, jeśli się tym interesujesz.

Patrzę na niego.

– Tak? Daleko to?

– Nie... jakieś pół godziny stąd na północ – odpowiada, nieświadomie dając mi szansę.

Wkładam ulotkę do kieszeni.

– Może spróbujemy. Dzięki.

– Nie rozumiem, dlaczego się tu zatrzymujemy – narzeka Jillian.

– Bo zawsze chciałem zwiedzić jaskinię – kłamię. – A ta jest po drodze.

Prawdę mówiąc, zwiedzanie jaskiń znajduje się na końcu listy moich marzeń. Mam niewielką klaustrofobię i cholernie nie znoszę nietoperzy. Ale oboje potrzebujemy przerwy. Zmiany nastroju. Długa podróż połączona ze smutkiem sprawiła, że popadliśmy w dziwny nastrój. Prawie nie rozmawiamy i nie jestem w stanie stwierdzić, czy przed czymś uciekamy, czy do czegoś pędzimy, ale bez względu na kierunek, czuję się w tej chwili samotny podczas tej podróży. Musimy ponownie się połączyć.

Zamierzam więc poświęcić czas na przerwę i zrobić coś nieoczekiwanego. Prawdopodobnie nie ma tego na żadnej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią, ale chyba możemy się na to zdecydować, by pochwalić się później, że zwiedzaliśmy ważne pod względem historycznym jaskinie Marka Twaina.

Jillian albo jest na tyle smutna, albo nie ma w sobie siły, by ze mną rozmawiać, bo przez cały czas milczy, gdy ja płacę za wejściówki. Najpierw zostaje nam wyświetlony film, a następnie przewodniczka prowadzi nas do jaskini.

Jest nawet ciekawie, podoba mi się trasa. Przejścia są szersze, niż się spodziewałem, miejsce dobrze oświetlone, więc ani razu nie czuję objawów klaustrofobii. Muszę przyznać, że jestem nieco oszołomiony, kiedy dowiaduję się, iż w latach czterdziestych szalony doktor używał tego miejsca jako mauzoleum dla zmarłej córki, ale poza tym jestem zainteresowany historią o Marku Twainie piszącym o tych jaskiniach w *Przygodach Tomka Sawyera*, jednej z niewielu książek, które mi się podobały, gdy czytałem je w szkole.

Jillian uważnie słucha przewodniczki, a ponieważ w jaskini panuje wilgoć i chłód, dziewczyna często się do mnie przytula. Cały czas trzymamy się też za ręce. To mi się bardzo podoba, dlatego cieszę się, że zdecydowaliśmy się zwiedzić to miejsce. Potrzebowaliśmy odskoczni.

Kiedy trasa wiedzie w dół, przewodniczka – młoda kobieta, prawdopodobnie studentka dorabiająca sobie w wakacje – zatrzymuje się i mówi:

– A teraz, zanim przejdziemy do pytań i odpowiedzi, chciałabym, byśmy się nieco zabawili.

Z dramatyzmem w głosie dziewczyna zwraca naszą uwagę na to, że jaskinia została wzbogacona siecią elektryczną, by zwiedzanie było bezpieczne, ale prosi nas, byśmy wyobrazili sobie czasy, gdy Mark Twain wszedł tutaj jako mały chłopiec, mając przy sobie jedynie niewielką pochodnię.

– I wyobraźcie sobie... że jesteście głęboko w tej jaskini, a wasza pochodnia gaśnie – mówi złowieszczo i z odpowiednim wyczuciem czasu gasi światła, więc spowija nas całkowita, nieprzenikniona ciemność.

Kilkoro ludzi wciąga gwałtownie powietrze, a Jillian wydaje z siebie zboląły jęk, który rozrywa mi serce. Kiedy przewodniczka opowiada o próbach wydostania się z jaskini w ciemności, Jillian tak mocno ściska moją dłoń, że mam wrażenie, że połamię mi kości. W jej głosie słychać czystą panikę, gdy szepcze:

– Christopherze... nie mogę... Muszę stąd wyjść. Gdzie masz zapalniczkę? Potrzebuję światła.

Słyszę, że płacze, w jej głosie pobrzmiwa histeria. Jezu Chryste, Jillian ma całkowicie stracić wzrok, więc ta ciemność okropnie ją przeraża.

Klepiąc się po kieszeniach, uświadamiam sobie, że nie mam zapalniczki, bo już nie palę. Zamiast tego na ślepo wyciągam do niej rękę, w jakiś sposób udaje mi się zbliżyć usta do jej ucha. Mówię cichym, kojącym głosem:

– Jillian... wszystko w porządku. To tylko chwilowe. Jestem przy tobie i nie mam zamiaru cię puścić. Zamknij oczy, weź głęboki wdech i...

Światło zostaje zapalone. Wiem, że nie przebywaliśmy w ciemności dłużej niż dziesięć sekund, jednak było to o dziewięć sekund dłużej, niż Jillian może znieść. Mrużę oczy pod wpływem jasnego światła, lecz źrenice natychmiast się przyzwyczajają, ponieważ nie spędziliśmy w mroku za wiele czasu. Nie mogę znieść przerażenia na twarzy dziewczyny, gdy na nią spoglądam.

Biorę ją za rękę, przepycham się przez grupę turystów i przechodzę przez drzwi po lewej z napisem „wyjście”. Wypadamy na zewnątrz, gdzie jest ciepło i jasno. Natychmiast odwracam się do Jillian i chwytam ją za ramiona.

– Dobrze się czujesz? – pytam ze zmartwieniem.

Dziewczyna kiwa głową i oddycha głęboko.

– Przepraszam. To było... naprawdę mocne i diabelnie przerażające. Nie byłam na to przygotowana.

Wyobrażam sobie. Będąc na Cannon Beach wiele rozmawialiśmy o jej stanie zdrowia, więc rozumiem, o co jej chodzi. Ucieszyłem się, słysząc, że Jillian nie zostanie całkowicie niewidoma, tylko jej wzrok rozmyje się do tego stopnia, że będzie potrafiła rozróżnić jedynie duże kształty lub zobaczyć przesuające się cienie. Pewnego dnia straci wzrok, ale nie będzie żyła w nieustającym mroku. Nie zobaczy kolorów, nie dostrzeże słońca, ale niewielka porcja światła będzie przenikała przez jej oczy.

Mimo to bez wątpienia utrata możliwości zobaczenia czegokolwiek, gdy jest się na to gotowym, wraz ze świadomością, że pewnego dnia czeka coś podobnego, wstrząsnęła nią, i to mocno. Jestem zdziwiony, że Jillian nadal stoi.

– Przepraszam – mówię. – Nie sądziłem, że zrobią coś takiego.

– Nie, w porządku – odpowiada, sapiąc. Brzmi, jakby się śmiała, ale w rzeczywistości się krzywi, a do oczu znów napływają jej łzy.

– Hej, hej... co jest, kochanie? – pytam cicho, obejmując jej twarz. Turyci wychodzą z jaskini, omijając nas, ale mam ich gdzieś.

– Jestem w całkowitej rozsypce – odpowiada drżącym głosem. – Tyle się nagadałam o odwadze i optymizmie, że sama niemal w to uwierzyłam.

– Jillian – zaczynam, by ją pocieszyć, ale ona kręci tylko głową.

– Kilka sekund w ciemności i zaczęłam svirować – mówi cicho, zwieszając głowę. – I wiesz, o czym myślałam?

Kręcę głową, ale ona mnie nie widzi, bo patrzy pod nogi, więc odchrząkuję i pytam:

– O czym?

– O tym, że nie dam rady – mówi załamana. – Że nie poradzę sobie ze ślepotą. Nie chcę stracić wzroku. To niesprawiedliwe.

Odchylam jej głowę i pochylam się, by spojrzeć jej w oczy.

– Bzdura, Jillian. Ze wszystkim sobie poradzisz.

– Nie, nie...

– Powiedziałem, że to bzdury – powtarzam z determinacją i stanowczością. Dziewczyna mruga zaskoczona. – Słuchaj... jeśli chcesz, możesz patrzeć na życie z optymizmem, pragnąc zauważać jedynie dobro. Masz także prawo się wystraszyć i sądzić, że świat ci się wali. Możesz czuć obie te rzeczy. W jednej chwili możesz w siebie wierzyć, by w drugiej myśleć, że nie przetrwasz następnego dnia. Jednak

nie wolno ci się poddać i nie wierzyć, że będzie dobrze. Zrozumiesz, że wszystko się ułoży, ponieważ bez względu na to, czy to twój wzlot, czy upadek, będę przy tobie.

Jillian rozchyła usta, jej oczy są pełne zdziwienia.

– Będiesz?

Nie odpowiadam bezpośrednio. Zamiast tego idę za głosem serca, które w tej chwili jest otwarte na możliwości, jakie może nieść życie, jeśli tylko będę miał odwagę, by stawić mu czoła.

– Któraś dnia w dalekiej przyszłości, kiedy będziemy starzy i siwi, ktoś na mnie spojrzy i dostrzeże sposób, w jaki będę na ciebie patrzył. Być może mnie nie zobaczysz, ale ten człowiek tak. I ujrzy on wyraz mojej twarzy i zechce zapytać: „Christopherze, pamiętasz, kiedy zakochałeś się w Jillian?”.

– I co mu odpowiesz? – pyta szeptem dziewczyna.

Pochyliam się, wciąż trzymając jej twarz w półtorej dłoni, i całuję ją lekko w usta.

– Powiem prawdę. Wyznam, że proces ten rozpoczął się już pierwszego dnia, gdy cię poznałem. Nigdy nie zapomnę blasku, jaki bił od twoich złotych włosów, twojego słodkiego, czułego głosu i serca, w którym miałaś miejsce dla każdego znajdującego się wtedy na sali.

– Nawet takiego dupka jak ty? – pyta z uśmiechem.

– Nawet takiego dupka jak ja – odpowiadam, po czym ciągnę: – I powiem, że zakochałem się w tobie podczas niesamowitej siedmiodniowej podróży przez kraj, podczas której nawet śmierć nie zdołała zepsuć doskonałości czasu spędzonego razem.

– Wow – wzdycha zdumiona. – Nie miałam pojęcia, że taki z ciebie romantyk.

– Ja też nie wiedziałem – przyznaję z uśmiechem. – Ale mówię szczerze. W ciągu tak krótkiego czasu nauczyłaś mnie tak wiele. Jestem przeszczęśliwy, że nie zraziły cię do mnie moje zniszczone ciało i dusza. Sprawiałaś, że dostrzegłem, jak wspaniała jest nadzieja, i zapragnąłem popracować nad sobą, by marzenia stały się rzeczywistością. Jillian, byłaś moją listą rzeczy do zrobienia przed śmiercią, a nawet o tym nie wiedziałem.

– Christopherze – mówi Jillian, przybliżając się, przez co muszę ją puścić. Dziewczyna wtula twarz w moją pierś i obejmuje mnie w pasie. – Wiem, że był czas, gdy nie wierzyłeś, ale myślę, że teraz zdołasz to zaakceptować. Łatwo cię kochać.

Stoimy w tej pozycji Bóg wie, jak długo. Jillian obejmuje mnie w pasie, ja trzymam ręce na jej plecach. Policzek dziewczyny spoczywa na mojej piersi, gdzie czuje bicie mojego serca, mój znajduje się na czubku jej głowy, ogrzewanej przez słońce.

Nie luję się, że od tej pory moje życie będzie pełne tęczy i jednorożców. Właściwie spodziewam się trudności, jakie los rzuci na nas na zakrętach, ale moje serce jest otwarte, tak jak i umysł, ponieważ dowiedziałem się o sobie całej prawdy.

Dostałem wielki dar od życia. Co z nim zrobię, zależy wyłącznie ode mnie, ale w razie potrzeby mogę oprzeć się na przyjaciółach. Wiem również, że nie każdy potrafi czerpać z życia, niektórzy przegrywają tę walkę – celowo czy też nie – a te przegrane naznaczą piętnem moją duszę.

Ale wybieram szczęście.

Wybieram miłość.

Wybieram określoną drogę.

Wybieram życie.

EPILOG

Cztery miesiące później...

Śmierć nigdy nie jest przyjemna, a ponieważ kochaliśmy Connora, była straszniejsza niż zazwyczaj. Chłopak trzymał się życia o wiele dłużej, niż powinien, pomimo tego, że rodzice błagali jego nafaszerowany środkami przeciwbólowymi umysł, by w końcu się poddał i odpuścił. Pod koniec Connor zapadł w śpiączkę. Nie jestem pewien, czy zdawał sobie sprawę z naszej obecności, jednak nigdy nie pożałuję, że Connor McCann był moim przyjacielem, nawet jeśli jego śmierć była najboleśniejszym przeżyciem, jakie mnie kiedykolwiek spotkało.

Jillian i ja spędziliśmy z nim wiele czasu, chyba zostaliśmy nawet zaadoptowani przez jego rodziców. Spaliśmy w ich domu, gdy przychodziliśmy na seanse filmowe, a kiedy chłopak czuł się jeszcze w miarę dobrze, zabieraliśmy go na plażę lub w góry. Jednak dzień po dniu rak się rozrastał, zajął zdrowe do tej pory miejsca w ciele Connora, który wychudł, ponieważ stracił apetyt, a jego skóra przybrała szarą barwę. Nim zaczął brać naprawdę silne środki przeciwbólowe, przez które tracił przytomność, był tak zmęczony, że często zasypiał w trakcie rozmowy.

Jednak mimo wszystko nie tracił uśmiechu i tego swojego złośliwego poczucia humoru, dzięki któremu całą sytuację dało się jakoś znieść.

Kiedy stoimy na cmentarzu pod pochmurnym niebem, a przez siąpiący deszcz zamarza mi nos, próbuję powstrzymać drżenie spowodowane paskudną grudniową pogodą, które nie ma nic wspólnego z tym, że uznaję śmierć za coś strasznego.

Jednak to nie jest nasz pierwszy raz – takie stanie nad grobem.

Oplakiwanie.

McCannowie byli na tyle hojni, że pochowali Barb na tym samym cmentarzu, zaraz obok kwatery przeznaczonej dla Connora. Dziewczyna nie miała

żadnej rodziny ani przyjaciół. Aby państwo nie potraktowało jej jak kogoś, kto nic nie znaczył, cóż... Wydaje mi się, że w ten sposób McCannowie adoptowali także Barb.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy rozmawiałem z Connorem po raz ostatni, zanim chłopak zapadł w głęboką śpiączkę. Stwierdził, że jest pewien, że Barb będzie na niego czekać po drugiej stronie, więc nie powinienem się o niego martwić.

Mam nadzieję, że to prawda.

Kiedy ksiądz rozodzi się nad trumną o życiu wiecznym, zerkam w lewo, na grób Barb. Choć McCannowie zapłacili za pochówek, to ja sfinansowałem płytę nagrobną. Chciałem zrobić dla tej dziewczyny coś dobrego, mam więc nadzieję, że to docenia. W przeciwnym razie, jeśli ktokolwiek zdoła kiedyś wrócić z za grobu i mnie nawiedzać, będzie to ona.

Módlmy się, aby słońce zawsze świeciło nad nami,

byśmy nigdy nie zapomnieli całej prawdy o szczęściu.

Jillian wymyśliła to epitafium dla Barb. Pod spodem umieściliśmy prosty napis:

Barbara H. Stiles

Przyjaciółka

Nie trzeba było nic więcej dodawać. Postanowiliśmy nie pisać lat jej życia, ponieważ, prawdę mówiąc, wydawało mi się, że ona przestała żyć tej nocy, gdy jej wujek dotknął ją po raz pierwszy.

Jillian ścisną moją dłoń, dlatego na nią spoglądam.

– O czym myślisz? – pyta cicho.

– O tym, czy Barb zacznie mnie kiedyś nawiedzać – odpowiadam.

Jillian śmieje się cicho.

– Myślę, że Connor nad nią zapanuje.

Boże, mam nadzieję. Stojąc pośród kupek ziemi zawierających dusze i wyschnięte kości – serce mi się ścisną na myśl o niej, o nich – wiem, że będę miał wyrzuty sumienia, ponieważ czuję, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

A wszystko dzięki dziewczynie ze szklanką do połowy pełną.

Nie... chwila.

To nie tak.

Szklanka Jillian jest pełna po brzegi.

Uwielbiam tę kobietę.

Ponownie spoglądam na nagrobek Barb, czytając piękne słowa wybrane przez Jillian. Są wzruszające i tak wiele dla mnie znaczą. Kiedy kilka miesięcy wcześniej powiedziała mi, że po każdej burzy wychodzi słońce, nie sądziłem, że będzie to oznaczać coś więcej niż zwykłą filozofię życia Jillian Martel. Nie spodziewałem się, że te słowa tak mocno wpłyną zarówno na mnie, jak i na innych.

Mimo to nie sposób im zaprzeczyć.

Niezależnie od tego, czy rozumiemy prawdę, jaką Jillian starała się przekazać, jej słowa pozostaną, by nam przypominać.

Koić.

Prowadzić.

Próbuję skupić się na modlitwie księdza stojącego nad trumną Connora, ale nie potrafię w pełni zaakceptować jego pocieszenia. Pogodziłem się ze śmiercią chłopaka, tak samo jak zaakceptowałem samobójstwo Barb. Oboje są teraz w lepszym miejscu, ale ja także. W efekcie muszę wierzyć, że wszyscy jesteśmy już szczęśliwi.

– Gotowy? – pyta Jillian, ściskając moją dłoń. Mrugam, gdy trumna zostaje opuszczona do grobu, a ludzie podchodzą, by się pożegnać. McCannowie są zdruzgotani, przyjmując kondolencje. Zapewne zostaniemy z nimi na noc, by nie byli sami, jednak na razie Jillian musi iść do pracy.

Zatrudniono ją na infolinii w firmie farmaceutycznej. Nie ma to nic wspólnego z jej studiami, ale jest zadowolona, mając prawdziwe zajęcie, a wypłacana co miesiąc pensja sprawia, że czuje się niezależna. Nie było łatwo, ale jej rodzice w końcu nieco odpuścili i pełni obaw pozwolili rozwinąć córce skrzydła. Oznacza to również, że dziewczyna zamieszkała ze mną w mojej norze, chociaż zamierzamy się przeprowadzić, kiedy tylko znajdziemy coś nowego. Ja również zacząłem pracę – zatrudniłem się w miejscowej siłowni specjalizującej się w treningach osób niepełnosprawnych. Zacząłem jako członek, jednak dokonałem tak niesamowitych postępów, że właściciel zaproponował mi pracę trenera i motywatora.

Szalone, prawda?

Jednak gdy spoglądam na najlepsze, co mnie w życiu spotkało, wiem, że nie mogę wątpić w swoje umiejętności przekazywania nauki, jaką dała mi ta kobieta.

– Jasne, chodźmy – mówię, zakładając sobie jej dłoń na przedramieniu. Jednak zanim odchodzimy, zauważam jej mokre policzki, więc unoszę moje pół dłoni i palcami pełnymi blizn ocieram jej łzy. Uśmiecham się, na co ona odpowiada

w ten sam sposób.

Kiedy odwracamy się, by odejść od grobu, czuję na głowie ciepło, niemal jakby spoczęła tam kojąca dłoń pragnąca mnie pocieszyć. Uświadamiam sobie, że pogoda się poprawia, więc unoszę głowę i widzę rozstępujące się chmury.

Pojawia się błękitne niebo, po czym promień słońca uderza we mnie tak mocno, że muszę zamknąć oczy.

Pali moją skórę, dlatego mimowolnie się uśmiecham.

To właśnie cała prawda o szczęściu.

PODZIĘKOWANIA

Jeśli znasz moją twórczość, wiesz, że *Cała prawda o szczęściu* jest całkowicie inna niż pełne humoru romanse, które zazwyczaj piszę. Pomysł na tę książkę tkwił w mojej głowie przez dwa lata, aż w końcu musiałam spisać tę historię.

Widzisz... kilka lat temu na lotnisku w Orlando spotkało mnie coś, co mną wstrząsnęło. Naprzeciw mnie siedział młody weteran czekający na ten sam samolot. Chłopak stracił nogę i część dłoni. Cały pokryty był bliznami. Zauważyłam, że ludzie mu się przyglądali, a miejsca wokół niego stały puste.

Nieobcy mi są weterani wojskowi. Tata służył w Wietnamie, został ranny na polu walki. Wychowywałam się w społeczności wojskowych. Wielu z moich przyjaciół służyło w armii, niektórzy również odnieśli rany. Niedziwni mi też ludzie z tragicznymi obrażeniami. Podczas szesnastu lat praktyki prawniczej reprezentowałam wiele osób okaleczonych w straszny sposób.

Jestem również zagorzałą patriotką, nigdy nie darowałam sobie okazji, by podziękować weteranowi lub żołnierzowi w służbie czynnej za poświęcenie dla kraju. To dla mnie niemal instynktowny zwyczaj.

Ten młody weteran siedzący na lotnisku w Orlando (wiem, że służył w piechocie morskiej, ponieważ miał bordowy podkoszulek ze złotymi literami oznaczającymi tę formację) został poważnie ranny. Wciąż miał krótką, schludną fryzurę, domyśliłam się więc, że nie został jeszcze wydalony z wojska przez komisję lekarską. Ponieważ leciał do Karoliny Północnej, założyłam, że wracał do domu, do bazy Camp Lejeune. Kiedy zastanawiałam się nad przebiegiem jego służby, nad odniesionymi ranami i ich historią, chłopak wstał i zaczął chodzić, prawdopodobnie, by rozciągnąć zdrętwiałe mięśnie.

A może chciał zejść z oczu gapiącym się na niego ludziom.

Skorzystałam z tej okazji i podeszłam do niego, ponieważ chciałam podziękować mu za jego poświęcenie. Obserwował uważnie, jak się zbliżam, ale

nie powstrzymało mnie to przed wyciągnięciem ręki z zamiarem uściśnięcia jego poranionej dłoni, która miała wiele blizn i której brakowało palców. Ze szczerym uśmiechem powiedziałam:

– Chciałam jedynie podziękować ci za służbę dla kraju.

Młody żołnierz nie podał mi ręki. Odpowiedział, piorunując mnie wzrokiem.

Następnie warknął z czystą wrogością:

– Nie potrzebuję podziękowań.

Odwrócił się i odszedł.

Jego zachowanie tak mnie oszołomiło, że nie mogłam się ruszyć. Było mi wstyd, ponieważ wielu musiało to widzieć. I byłam zła, że potraktował mnie po chamsku.

Przez kilka następnych tygodni myślałam o tym żołnierzu, próbując zrozumieć jego niechęć.

Próbując pojąć jego gorycz.

Złość na los.

Cierpiał zapewne na zespół stresu pourazowego. Miał też niechybnie wiele problemów, których nie mogłam być świadoma.

Wywnioskowałam jednak z całej tej sytuacji, że źle zachowałam się ja, a nie ten młody weteran. Wydaje mi się, że uległam typowej dla społeczeństwa gloryfikacji żołnierzy ranionych na polu walki. Widzimy ich na lotniskach, gdzie są pozdrawiani przez nieznanymi. Czytamy o ich heroicznych wyczynach. Inspirują nas. Patrzymy na nich jak na uosobienie odwagi i męstwa. Chcemy wierzyć, że wykonując swoją pracę, są zaszczytzeni, składając ofiarę. Powiedzmy sobie szczerze... w naszym mniemaniu to niemal bogowie.

Jednak nie sędzę, bym była blisko zrozumienia, co dzieje się z żołnierzem po powrocie z wojny do domu. Nie jestem naiwna. Wiem o stresie pourazowym i wysokim współczynniku samobójstw wśród weteranów. Ale to tylko liczby. Nie myślałam, co się za nimi kryje, byłam przekonana, iż ci ludzie powinni mieć świadomość, że ich doceniamy.

Na tamtym lotnisku spotkałam człowieka, który nie był zły na mnie. Wydaje mi się, że był wściekły na cały świat.

Nie chciał podziękowań ani docenienia, a kiedy zaczęłam szukać informacji na temat rannych na polu walki, tych po amputacjach i ze stresem pourazowym, zrozumiałam, jak wielka jest emocjonalna trauma tych osób.

Nie uważam już, aby młody weteran potraktował mnie po chamsku, myślę, że nie potrafił zaakceptować tego, co mu wtedy chciałam ofiarować. Był jedynie wierny sobie.

Musiałam spisać tę historię, by móc zrozumieć, przez co przechodzą nasi dzielni żołnierze.

Chciałam podziękować moim konsultantom: Lisie, Darlenee, Janett, Beth

i Karen za zachętę do napisania tej książki. Przepraszam, że doprowadziłam Was do łez.

Dziękuję Ci, tato, za Twoją służbę. *Semper Fi*, żołnierzu!

Dziękuję również wszystkim, którzy służyli z odwagą, męstwem i honorem, naprawdę szczerze dziękuję za wasze poświęcenie. To ważne, byście wiedzieli, że cały kraj polega na Was, wszyscy czujemy się bezpiecznie tylko dzięki temu, że nas chronicie.

O AUTORCE

Od pojawienia się w styczniu 2013 roku na rynku jej debiutanckiej powieści *Off Sides* Sawyer Bennett wydała ponad trzydzieści książek, niezliczoną liczbę razy gościła przy tym na listach bestsellerów zarówno „USA Today”, jak i „New York Timesa”.

Sawyer jest adwokatem procesowym w Karolinie Północnej, dzięki swojemu doświadczeniu tworzy realistyczne, romantyczne historie, które przyciągają szerokie grono czytelników. Pisze dla każdego – począwszy od książek dla młodzieży, po nowoczesne romanse erotyczne.

Sawyer lubi mocną Krwawą Mary i wytrawne martini, jej postacie są jak mieszanina tych dwóch trunków. Kiedy nie tworzy fikcyjnych historii, jest szoferem, stylistką, kucharką, pokojówką i osobistą asystentką bardzo aktywnego malucha, a także pełnoetatową służącą dwóch uroczych i niegrzecznych psiaków. Wierzy w dobro innych ludzi oraz w to, że nawet najgorszy dzień może zostać naprawiony za pomocą pracy i troski lub kombinacji obu tych rzeczy.

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: The Hard Truth About Sunshine

Copyright © 2017 by Sawyer Bennett

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Emotions Studio/Shutterstock

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-369-3

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Sawyer Bennett

*Cała
prawda
o szczęściu*

Będę tu bez względu na wszystko...



FILIA

